

MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt VII.

za

LIPIEC

1900.



TREŚĆ:

- I. Cesarz niemiecki u grobu św. Wojciecha *Józef Szeński.*
- II. Niektóre legendy warszawskie w świetle krytyki i historii *W. P.*
- III. Wielkanoc żydowska (powiastka humorystycz. z hebrajskiego).
- IV. Niepotrzebna trwoga.
- V. Drzewa — olbrzymy.
- VI. Podróż Anglika po krajach zakazanych.
- VII. W ojców ślady... *K. Laskowski.*
- VIII. Dusiele w Bengalu (dokonczenie) *L. Boussebard.*
- IX. Maki azjatyckie.
- X. Ze świata kobiecego. *E. Żmijewska.*
- XI. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki

Marszałkowska N. 141.

SKŁAD PAPIERU, GALANTERJI I DRUKARNIA POSPIESZNA

R. KRUCZEK

Wierzbowa N. 1, Telef. N. 1016.

POLECA REGISTRA GOSPODARSKIE


Księgi buchalteryjne.

Materiały piśmienne.

Własna drukarnia na miejscu.

Cms. 2922 | 1900 | 4/8.

OD REDAKCJI „KRAJU” W PETERSBURGU. „KRAJ” WYCHODZIC BĘDZIE W DRUGIEM POLROCCU R. B. CO TYDZIEŃ, POD TYM SAMYM KIERUNKIEM, I BRONIĆ BĘDZIE TYCH SAMYCH ZASAD I SPRAW, KTÓRYCH BRONIŁ W CIĄGU 18-LETNIEGO SWEGO ISTNIENIA. KAŻDY N. „KRAJU” SKŁADA SIĘ Z 40 DO 48 STR. TEKSTU, OPRÓCZ OGŁOSZEŃ, ORAZ KILKUNASTU ILUSTRACJI I KARTY ALBUMOWEJ, ODTWARZAJĄCEJ DZIEŁA SZTUKI POLSKIEJ I OBCEJ. „KRAJ” POSIADA OKOŁO DWUSTU WSPÓLPRACOWNIKÓW, PRENUMERATA „KRAJU” WYNOŚI KWARTALNIE 3 RUB. ADRES ADMINISTRACJI „KRAJU”: PETERSBURG, JEKAT. KANAŁ. 82; WARSZ. KANTORU: MARSZAŁKOWSKA 141. REDAKTOR I WYDAWCA „KRAJU” ERAZM PILTZ.


K 492 | 56 | 8



Cesarz Otton III-ci i Bolesław Chrobry.

Cesarz niemiecki u grobu św. Wojciecha.

W roku bieżącym przypada dziewięćsetna rocznica wielkiego momentu dziejowego. Opis jego, skreślony piórem wielkiego męża stanu i wielkiego historyka, podajemy użej.

Cesarz Niemiecki był wówczas władcą najwyższym na Zachodzie katolickim. Młode i małe państewko słowiańskie, tworzące się na krańcu wschodnim ówczesnego świata chrześcijańskiego, nie mogło wogóle wejść do grona państw i narodów bez sankcji Papieża i Cesarza. Zaś pozyskanie przyjaźni i uznania cesarskiego mogło być skutkiem mądrości panującego, siły narodu, jego uzdolnienia do kultury, jego zasobów.

Dzieła tego ukończył Chrobry. Od tego momentu państwo Piastu naprawdę wchodzi w skład Europy i poczyną żyć jej życiem. Niemcy, patrząc już nie mogą na Polskę jako na swego wasala, jako na pastwę swej dumy i chciwości. Wzniesiony został wał ochronny dla zaborczych dążeń germanizmu.

W odległe czasy mam zamiar przenieść czytelników moich. Ośm wieków wstecz mam zwrócić umysły nasze,

wprowadzić w świat i pomiędzy ludzi, dalekich od nas różnicą wyobrażeń, obyczajów, warunków cywilizacji. Ale człowiek zawsze jeden i świat zawsze jeden, zmienia on tylko szatę, zmienia treść wewnętrzną, pochodzącą z wrażeń go otaczających: dlatego zrozumiałem nam będzie, jeśli tę szatę i treść wewnętrzną poznamy, jeżeli zechcemy żywo się przenieść w czasy i okoliczności ówczesne.

Jesteśmy w roku Pańskim tysięcznym, pod najwyższą duchowną władzą papieża Sylwestra II. Mapa Europy inaczey trochę wygląda jak dzisiaj. Najpierwszem mocarstwem świata chrześcijańskiego jest rzymsko-niemieckie państwo, powstałe z dwóch działów dawnej monarchji Karola Wielkiego, świeżo posunięte aż do południowych kończyn Italji, na wschód zaś przekraczające granice Łaby pogranicznymi Markami, aby podbić, shodłować, lub wytepić żywioł słowiański. Nad mnogimi a potężnymi lennymi książęty, zawładnął tam od 920 r. dom książąt saskich, który, dawszy się we znaki, szczególnie Słowianom, obalił samodzielne królestwo Italji (Berengara) i podjął myśl odnowienia zachodniego rzymskiego cesarstwa, przeprowadzenia teokracji cesarskiej nad światem. Myśl ta jednakże, po pamiętnym fakcie koronacji Karola Wielkiego przez papieża Leona, skrzywioną została przez Ottonów saskich, przez naruszenie wolności wyboru głowy Kościoła, której władza cesarska miała być świeckiem ramieniem. Wpłynął na to duch niemiecki, autonomji Kościoła uszanować nieskłonny, wpłynął przykład cesarstwa bizantyńskiego, od IX wieku, od czasów patryjarchy Focjusza zapadłego w szyzmę. Otton II ożenił się z Teofanią, księżniczką grecką, a syn ich Otton III panuje obecnie rzymsko-niemieckiemu światu, dziewiętnastoletni, wychowany pod wpływem idei wschodnio-rzymskich, które mu wpajała matka, światowładczych tradycji swego rodu i wyobrażeń polityczno-religijnych, które czerpał z nauk św. Wojciecha i obecnego papieża Sylwestra.

Obok Cesarstwa rzymsko-niemieckiego, Cesarstwo wschodnie stoi w pozornym blasku, pokrywającym wewnętrzną rozstrój i przykre położenie zewnętrzne. Z północy cisną je Bułgary i normańskie państwo Rusów Włodzimierza Wiel-



Ksiądz Stablewski, Arcybiskup poznański.



Ks. Andrzejewicz, biskup gnieźnieński.

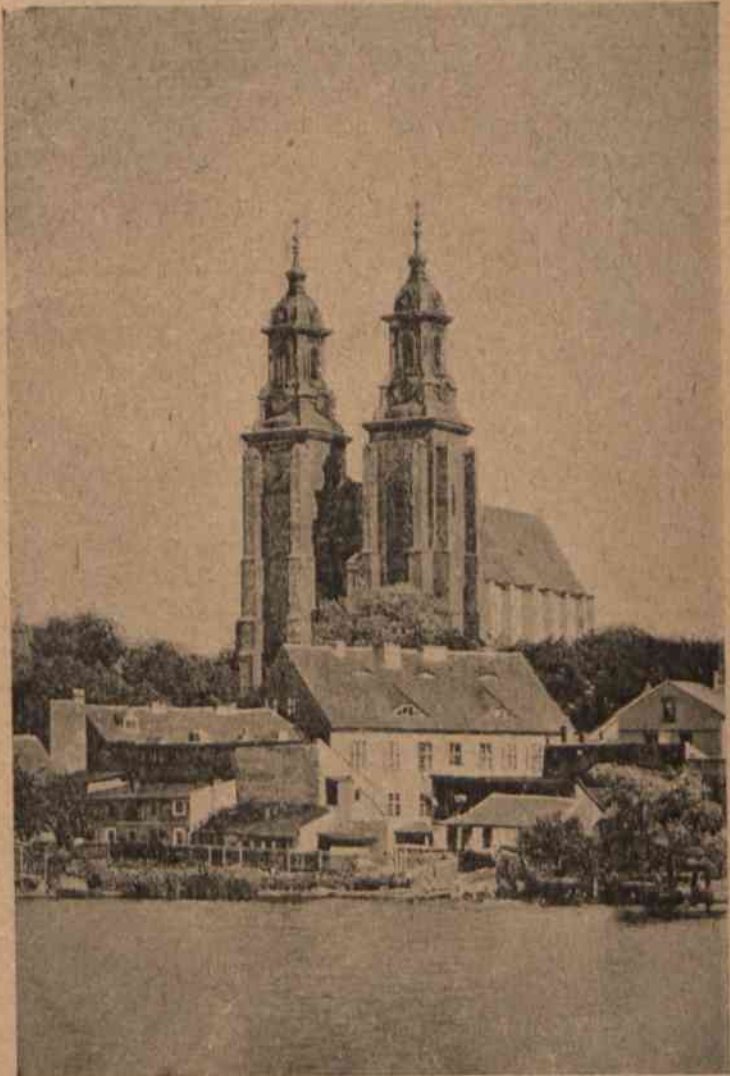


Ks. Likowski, biskup poznański.

kiego, z południa państwa islamskie Hamadanidów, Buidów, Zeiridów. Potęga Islamu nawiedziła Sycylię i Sycylię, a Kalifat Kordowy jest panem całego półwyspu pirenejskiego, z wyjątkiem walecznych królestw Kastylji i Leonu. Francja niedawno, po wymarcu Karolowingów, weszła w nową fazę życia pod Kapetyngami. Północne brzegi morza roją się od rycerskich drużyn normañskich, które za lat kilkadziesiąt owdadną królestwem anglo-saksoñskim. Polska od kilkudziesięciu lat zaledwie weszła na widownię historyczną.

Pomimo, że już sześć prawie wieków minęło od wędrówek ludów, świat ówczesny dziwnie ma dziką fizjonomję. Na kaźdej karcie jego dziejów spotkasz wybryki surowej natury młodych narodów, którym Opatrzność kazała osiąść na gruzach dawnej cywilizacji pogañskiego świata. Krewkość przyrodzona pędzi ludzi do wojny i okrucieñstw, do gwałtów i rozboju, do nieustannej walki o władzę i znaczenie, do targania węzłów rodziny i pokrewieñstwa. Zdaje się, jakoby sam Kościół, z tego dzikiego świata sług swoich dobierający, nie mógł już podołać zadaniu zwalczania tej do złego skłonnej, twardej natury ludzkiej, bo oto i on sam upadać się zdaje pod ciężarem złego, pod zepsuciem obyczajów i dzikością świata. Wszakże wiek IX widział świeżo przykład sponiewierania tjary przez Jana XII, widział ograniczenie wyboru papieża mieszaniem się władzy świeckiej cesarza Ottona I. Zdaje się, mówię, jakby ulegał już w tej pracy przetworzenia świata prawdą moralną, którą przynosił i krzewił.

Ale nie! nie uległ on i owszem, w porównaniu z poprzednimi wiekami, widać ogromny postępn jego działania, widać zbliżającą się chwilę, gdzie pod pastorałem wielkiego Hildebranda, Grzegorza VII, przedsięwzięcie wewnętrzzną reformę, odrodzi się, i jako najwyższa potęga nad Chrześcianaństwem zawładnie. Objawy jego działania, jak nić złota snują się przez ciemny wątek dziejów ówczesnych, są to miejsca wypoczynku dla strudzonej duszy badacza. Ówdzie opactwa benedyktyñskie, jak Cluny, garnące w swoje mury naukę i uczonych, między którymi Eudes Benedyktyn wo-



Katedra w Gnieźnie.

jującemu światu podsuwa myśl owych zawieszén broni, zwanych „*treuga Dei*“, wprowadzonych później z pożytkiem cywilizacji—opactwa, które wedle pięknego wyrażenia protestanta Leona „wyniańczyły nasiona przyszłej reformy Kościoła i cywilizacji“—wszędzie, gdzie świątynia Pańska—szkoła, otwarta możliwym i prostaczkom—tu i ówdzie mąż Boży, idący nawracać dzikie ludy, wzbudza podziw—na puszczy przybytek anachorety, działającego przykładem na lud zdziczały—u tronów kapłani, jako kanclerze i pisarze, rozbudzający cześć i poszanowanie dla nauki, która w ich wyłącznym była prawie posiadaniu. W blizkiem też, bezpośredniem sąsiedztwie z ową surowizną obyczajów, ową krewkością rycerską—spotykamy dziecinne przywiązanie i poszanowanie Kościoła, a zabobonną cześć dla nauki, garnięcie się do niej, wysokie o niej wyobrażenie, dziwne uszanowanie dla ludzi, będących w jej posiadaniu. Otto I na starość uczy się po łacinie, dla synów garnie zewsząd nauczycieli, brat jego, uczony Bruno, arcybiskup koloński, jest właściwą duszą jego rządów. Największą chwałą rodu Ottonów było, że prawnuk Ottona I Bruno, jako Grzegorz V, zasiadł na tronie papieżkim. Kobiety, których dzieje odkrywają nam zawsze najistotniejszy charakter wieku, wyprzedzają barbarzyńskich mężów w pobożności i zamiłowaniu nauki. Matylda, żona Henryka Ptasznika, Edyta, kochanka Ottona, Adelajda, żona jego i Teofania jego synowa słynęły jako uczone i pobożne niewiasty. Władcy świeccy, o ile czasem gwałtowną ręką posiągają się na sług Kościoła, o tyle czują, że bez pomocy tej cywilizacji, którą daje, bez pomocy władzy duchownej, którą wyższy cel kieruje, nie potrafią dać sobie rady z namiętnościami najbliższych sobie feudalnych panów i książąt, przerastających im głowę, gotowych każdej chwili rzucić się na nich dla odebrania im tej władzy. Pogańskie lub świeżo nawrócone społeczeństwa widzą w Kościele główną rękojmię samodzielności własnej, wolności narodowej, bo krzyż przyjęty, zażegnywa miecz zaborców, idących w imię krzyża, zapewnia opiekę innej duchownej, moralnej władzy. Słowem, dzikość pierwotna wiąże się już z uznaniem, pragnieniem gorącym czegoś lepszego, wyższego, a tem wyższem

jest Chrześcijaństwo. Świat ów półbarbarzyński ma sumienie chrześcijańskie—dopuszcza się tysiąca zbrodni—ale zaraz



Wielki ołtarz w Katedrze.

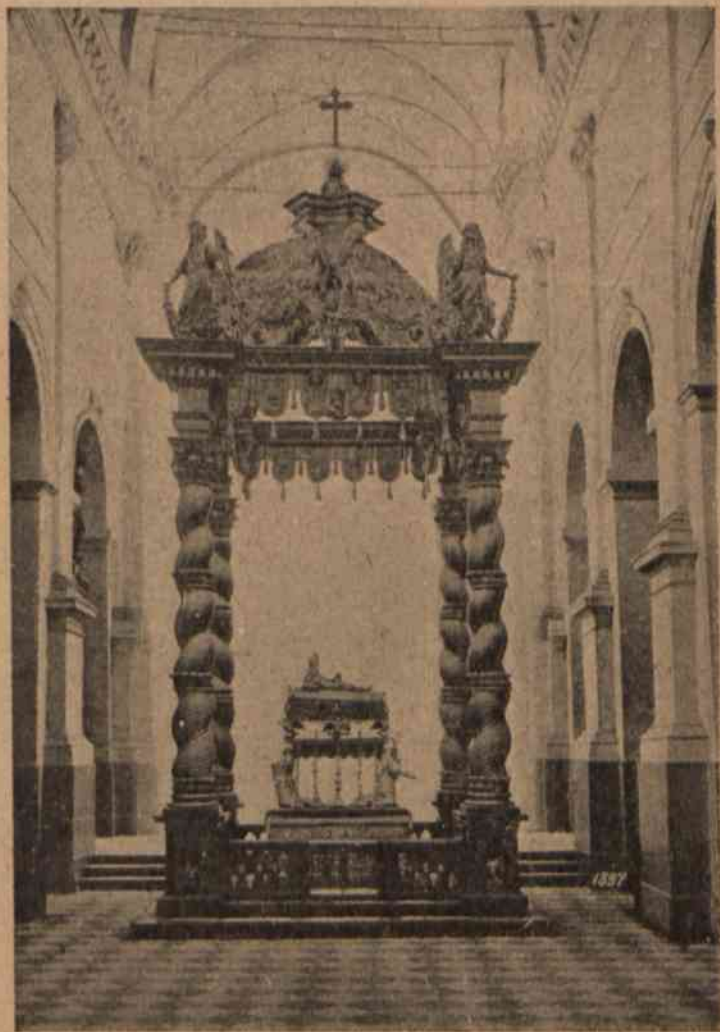
w chwili ochłonięcia przeraża się niemi, mocarz chyli kark i odprawia publiczną pokutę; a widok złego, tem czarniej-

szego, że ideał Chrześcijaństwa stoi przed nim jasny, jak przed dziecięciem—pobudza go do uczucia strachu przed karą Bożą, dochodzącego do takich rozmiarów, że w całym świecie ówczesnym spodziewano się w r. 1000 ery końca świata, zniszczenia ziemi i sądu ostatecznego. Ztąd obok rozpasania pobożność, ztąd liczniejsze niż kiedy pielgrzymki do miejsc świętych, do św. Jakóba z Kompostelli, Marcina w Tours, do Jerozolimy, ztąd owa niezmierna cześć dla ludzi, którzy, odbijając się od grzesznej reszty, czystością życia, namaszczeniem duchowem, po śmierci policzeni w poczet świętych, modlitwami swemi mogli przejednywać mściwą rękę sprawiedliwości Bożej.

Po tym wstępie, który nam w właściwem świetle wypadek, o którym mówić mamy, wystawi, pójdźmy do wiecznego miasta, do Rzymu, w odwiedziny historyczne, gdzie znajdziemy pierwszy związek naszego wypadku.

Bawi tam właśnie (pod koniec 999 r.), otoczony książętami i komesami swymi młody, zaledwie 10-letni cesarz, Otto III. Nazwano go cudem świata (*mirabilia mundi*) i w istocie był to młodzieniec dziwnej natury. Po dziadku i pradziadku odziedziczył gwałtowne usposobienie książąt saskich; tak, utłumiając bunt Krescencjusza, przed kilku laty kazał wieszać jego współników za nogi, a antypapę Jana XVI wydał publicznie na pośmiewisko Rzymu. Matka Teofania natchnęła go dumą cywilizacji rzymskiej, marzył o przywróceniu starego rzymskiego państwa i kazał sobie otwierać grób Karola W., aby przypatrzeć się siedzącemu na cesarskiem krześle nieboszczykowi, który go pierwszy urzeczywistnił. Gdy jeden z najgłośniejszych uczonych i znawców rzymskiej starożytności tego czasu, Francuz Gerbert, ubogich dziecię rodziców, opuścić musiał biskupstwo w Rheims, Otton III wzywa go do siebie pokornym listem: „Wytępiaj we mnie chłopską naturę saską, znajdziesz we mnie krew starożytną. Niech umiejętności twej płomień podziąła na mnie, a duch starożytny we mnie się odezwie“. Jakoż Gerbert zostaje doradcą Ottona III, arcybiskupstwo otrzymuje w Rawennie, a teraz ów Gerbert jest papieżem, jako Sylwester II.

To jedna strona Ottona. Druga, to głęboka pobożność, wszczepiona mu nauką i przykładem drugiego, dawniejsze-



Grobowiec św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej.

go nauczyciela, św. Wojciecha z domu Sławników, Czechą rodem, później biskupa praskiego. Przed trzema laty zgi-

nał ten nauczyciel i doradca duszy śmiercią męczeńską, w krainie pogańskich Prusów. Wypadek ten głośnym się stał po całym ówczesnym świecie, a rozślawiła się z nim historia ostatnich lat biskupa. Wracającego z Rzymu nie przyjął Bolesław król czeski na djecezję, znalazł on gościnne przyjęcie u księcia Polan Bolesława, później Chrobrym zwanego; ten wyprawił go na apostołkę, wykupił jego ciało od pogan, pochował je w trzemesznieńskim, a następnie gnieźnieńskim kościele.

W obie te struny duszy Ottona wybornie umie uderzyć papież Sylwester II, a uderzyć w myśl zarówno wzniosłą, jak dla Kościoła zbawienną. Któż lepiej od niego, największego podówczas znawcy rzymskiego świata i jego literatury, w miejscu, gdzie każda piędź ziemi mówiła o wielkości cesarów rzymskich, mógł natchnąć młodego Ottona gorącą żądzą powrotu do tych czasów, tak świetnie odbijających od niemieckiego barbarzyństwa? Któż lepiej od niego, głowy Kościoła i następcy Apostołów, mógł zapanować nad umysłem pobożnym i skłonić go do ekspiacji win ojców i własnych? Jakoż nigdy zwycięstwo wyższości umysłowej i broni duchowej nie było łatwiejszem i zupełniejszym, jak to, które obecnie syn wieśniaczy w tjarze odnosił nad najpotężniejszego narodu władzcą, młodym Ottonem.

Przypatrzmy się znanym szczegółom pobytu młodego Ottona w Rzymie. Oto słyszymy, jak z margrabią tokańskim Hugonem i z papieżem Sylwestrem naradza się nad „przywróceniem *imperium* rzymskiego“. I znowu z biskupem wormackim Frankonem trawi czternaście dni w kaplicy św. Klemensa, boso, w worze płóciwym. Hojność jego uposaża kościół w Vercelli, gdzie się odbywały owe narady nad przywróceniem *imperium*. Z dalekiego Hamaburga (Hamburga), wracają za rozkazem Ottona zwłoki papieża Benedykta V, który tam z woli jego dziada (Ottona I) umarł na wygnaniu. Jest to zadosyćuczynienie za gwałt na Kościele popełniony. Przed synodem rzymskim ma stanąć, jako oskarżony, jeden z najdumniejszych dostojników Kościoła niemieckiego, Gisilher, arcybiskup magdeburski, za nieprawne połączenie infuły swojej z merseburską. Rzym ma od-

tąd być najwyższą świecką, jak jest duchowną Stolicą, co więcej, prawo rzymskiego obywatelstwa ma być owym najwyższym celem, o który się Niemcy, wasale Ottona III, ubiegać winni, aby otworzyć sobie drogę do dostojenstw



Trumna św. Wojciecha.

przeobrażonego państwa. Tak ów pobyt w Rzymie plecie się w dziwaczną na pierwszy rzut oka tkankę, złożoną z szaty pokutniczej i purpury cesarów — zrozumiała zaś wtedy dopiero, jeżeli po za nią dostrzeże się myśl Sylwestra.

Stolica w Rzymie, to stałe panowanie wyższości chrześcijańskiej nad barbarzyńskim młodych ludów obyczajem. Formy rzymskiego państwa, to zastąpienie podbójczej i występającej polityki niemieckiej polityką szerszą, pozwalającą się ostać indywidualnościom innych państw narodowych. Przy wprowadzeniu tych form miał cesarz w ksiąźetach, nad którymi dotąd jak pan feudalny panować się starał, w polskim Bolesławie, w węgierskim Stefanie zyskać sprzymierzeńców „*populi romani*“. Co zaś dla Kościoła najważniejsza, kraje tych władców, nie będące już w dawnym z Niemcami poniewolnym związku, miały otrzymać indywidualność kościelną, oddzielne metropolje, wprost od Rzymu zależne i z Rzymem się znoszące. Nie miała Polska należeć do arcybiskupstwa magdeburskiego, Węgry do dalekiego ratybońskiego.

Jakby w porozumieniu z tą główną myślą Sylwestra, myślą tem większą, iż wychodziła z przekonania o zgubnych skutkach niemieckiego nawracania mieczem i krzyżem, o potrzebie wolności i opieki dla młodych winnic pańskich, śle Stefan węgierski opata Astryka do Rzymu, a Długosz przechowuje nam wskazówkę, że i polscy posłowie „po duchownych“ jeździli podówczas do Stolicy Apostolskiej. Można twierdzić prawie z pewnością, że sprawa Kościoła polskiego szła przed węgierską w naradach ówczesnych między Sylwestrem i Ottonem, że posłowie Chrobrego, najprawdopodobniej św. Gaudenty, brat św. Wojciecha, w Rzymie podówczas obecnymi być musieli. Kanonizacja św. męczennika, nauczyciela Ottona, a przyjaciela papieża, wtedy przysłała do skutku, co wymagać musiało świadków jego chwil ostatnich, a Bolesław Chrobry musiał być na czas uprzedzonym o odwiedzinach cesarza w Gnieźnie, u grobu św. Wojciecha, skoro się mógł tak świetnie na nie przygotować i cesarza na granicy państw swoich w celu przyjęcia go i towarzyszenia mu w drodze oczekiwać. W Annalach benedyktyńskich cytuje Mabillon dokument z 2 grudnia 999 r., na którym Gaudenty podpisanym jest jako świadek z tytułem: „Arcybiskup pod wezwaniem św. Wojciecha męczennika“, dokument, który świadczy, że Gaudenty otrzymał kon-

sekrację w Rzymie, że w Rzymie już z końcem roku 999 sprawa metropolji polskiej, bez oznaczenia jej siedziby, załatwioną została.

Świeża pamięć św. Wojciecha, stosunek, w jakim do cesarza i papieża zostawał, duch pokutniczej pobożności i chęć wyprawy w celu rozpoczęcia w praktyce nowej rzymskiej polityki, potrzeba zyskania potężnego sprzymierzeńca, który nawet w razie oporu Niemców mógł wielkie oddać usługi—wszystko to razem złożyło się na myśl pielgrzymki Ottona III-go, myśl, powstałą najprawdopodobniej w genialnej głowie papieża, której tem chętniej chwycił się Otton III, że zaspakajała tyle jego marzeń i uczuć. Pomodlić się u grobu nauczyciela, i dojść tam, gdzie nie sięgła stopa żadnego z Cezarów, roztoczyć blask imperatorskiej wielkości i pokazać wszem wobec skrucę chrześcianina, stwarzać królów i metropolje, a być królem nad królami — ile tu zadosyćuczynienia dla młodej, gorącej, dumnej duszy Ottona!

Patrzmy, jak występuje zewnętrznie wśród onej pielgrzymki przez Włochy i Niemcy do dalekiej Polski. Sam nazywa się teraz: *Caesar Otto Augustus*, konsulem rzymskiego senatu i ludu. Otoczenie jego jest senatem, jego wojsko składa się z legionów. Niemcy otaczający go muszą się silić, aby mówić po grecku i po łacinie. Cesarz ubiera się w koszulę z najcieńszego bessysu, chlamydę i tunikę, kładzie pas z 72 ogniów z napisem: *Roma caput mundi, regit orbis frena rotundi*, na klamrze obraz świata. Na tem dalmatyka różowa i płaszcz w wyszyte złotem figury z Apokalipsy. Urzędnicy otrzymują łacińskie i greckie tytuły. Towarzyszy cesarzowi gubernator Rzymu Ziazo, towarzyszy Robert, oblacjonariusz papieżki z kardynałami. Po drodze witają go biskupi regensburski, magdeburski, z którym się tymczasowo godzi (zapewne jak się słusznie domyśla Gfrörer, pod warunkiem nie sprzeciwiania się metropolji gnieźnieńskiej). O niemieckich książętach, wyjeżdżających przeciw panu, nie słyhać. Widocznie nie po myśli była im cała wyprawa, nie po myśli ten przepych i formy obce, które cesarza otaczały. U wstępu do ziemi Dedoszów, w okolicach Głogowa,

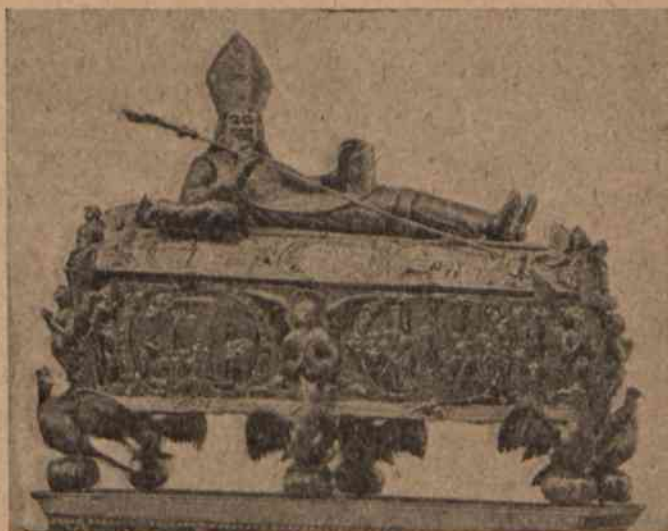
oczekuje uwiadomiony i przygotowany na przybycie cesarskie Bolesław Chrobry.

Książę, który szedł na Ottona spotkanie, był w pełnej sile męskiego wieku i bardzo korzystnie odbijał od młodzieńszka cesarza, upadającego pod ciężarem teatralnej toalety. Sława, którą już nabył, czyniła go przedmiotem powszechnej ciekawości. O cztery lata starszą była od niego pierwsza dokładniejsza wiadomość o jego ziemi. Dopiero w 962 ojciec jego Mieczysław, jako książę Lachów pomiędzy Wartą i Wisłą, zetknął się z zaborczą i nawracającą mieczem Germanią. W 962 przyjął chrzest, wzięwszy za żonę chrześcijańską księżniczkę czeską, niemłodą i niepiękną Dąbrówkę. Chroniąc się przed eksterminacyjną wojną, wydaną przez Niemców Słowianom, nagabywany prócz tego przez pogańskich Pomorzan, chwycił on się krzyża, a w konsekwencji przyjął i zwierzchnictwo cesarza. Pokorny nowochrzczeniec nie śmiał usiąść w obecności margrabi Marki granicznej Udon, ale gdy się sposobność okazała, zbił go pod Cydynem tak dobrze, że Otton I, nie mając czasu i ochoty wdawać się z nim w boje, zaprosił zwycięzcę i pokonanego na zjazd do Kwedlinburga, gdzie go z Udonem pogodził i obdarowanego odesłał do domu. Kmieca gospodarność i podstępność była cechą Mieczysława wobec potęgi i cywilizacji niemieckiej; towarzyszy on wyprawom przeciw poganom i zachowuje dobre z dworem stosunki, otrzymuje nawet od Teofanji posiłki na wojnę z Czechami, ale gdy te posiłki wpadają w ręce jego wroga, a ten grozi, że Niemców wymorduje, jeśli mu Mieczysław grodu nie odda, odpowiada Mieczysław: „Cesarz potężny, uwolni lub pomści swoich, ja nic tracić nie mogę“.

Syn jego i następca idzie śladem polityki ojcowskiej, towarzyszy dwu wyprawom cesarza przeciw poganom, podbija dokuczające ojcu Pomorze i Gdańsk, przejmuje zawód wojennej apostołki, walcząc z Prusami. Świeżo ugościł św. Wojciecha i rozstąpił po świecie cześć mu oddaną — świeżo zdobył Kraków, na Czechach przesładowcach jego. Dzięki rozumnej gospodarce jego ojca, dzięki jego zdolności, zasoby jego kraju, siły wojenne, urosły niezmiernie. Na obyczaj

niemiecki obwarowywano grody, a obok wojska słowiańskim obyczajem, lekką tylko tarczą opatrzonego (clypeati), stanęły poważne hufce tak zwanych *loricati*, łukowych, ciężkich rycerzy, wedle niemieckiego obyczaju. Kościół i wojsko, oto dwa przedmioty pieczołowitości Bolesława — odpowiadające pojęciom dzisiejszym. Oświata i siła—i wyższe o jedno pojęcie, dzisiaj nie dość cenione, siła duchowna.

Bolesław Chrobry ma wszystkie cechy prawdziwego geniuszu. Pod szczęśliwą jego ręką łączą się i wiążą niesforne słowiańskie rzesze, umie on łączyć stare z nowem,



Trumna św. Wojciecha.

umie być twardym a popularnym, nadewszystko zaś orlim wzrokiem upatrzeć chwilę stosowną. Nie uszedł jego baczności zwrot w cesarstwie, jakoż stosuje się do niego, wchodzi czynnie w wielkie, światu gotowane przetworzenie, nie miłe śmiertelnym jego wrogom, z którymi temporyzował, a których całe życie bacznie śledził okiem, korzystne jemu przetworzenie, bo gotujące upragnioną niepodległość.

Otwórzmy teraz dwa walne pielgrzymki gnieźnieńskiej świadectwa: nieprzyjazne Dytmara Merzeburskiego i spisane

z tradycji przechowanych w Polsce wiek cały później, Marcina Gallusa; świadectwa, które po tem, cośmy powiedzieli, będą nam doskonale zrozumiałe.

„Jak przyjął Bolesław cesarza, jak prowadził go ziemią swoją aż do Gniezna, mówi Dytmar, rzecz to nie do uwierzenia i do wypowiedzenia trudna. Cesarz, zobaczywszy zdala upragnione miasto, zbliżał się do niego w błagalnej postaci, bosy, przyjęty przez biskupa Ungera z uszanowaniem; wszedł do kościoła łyż przelewając, aby za modlitwą świętego męczennika łaskę Chrystusa wyjednać. Potem ufundował tam niezwłocznie biskupstwo w sposób, jak mniemam, prawny, chociaż bez zezwolenia biskupa, któremu ten cały kraj jest poddany. Oddał zaś to biskupstwo bratu męczennika, Radymowi, któremu biskupów, Reinberna, kołobrzeskiego, Poppona, krakowskiego, Jana, wrocławskiego, poddał, wyjmując z pod jego władzy tylko Ungera, biskupa poznańskiego. Ufundował tam także ołtarz i włożył weń wśród uroczystych obrządków relikwie. Skończywszy to wszystko, otrzymał od księcia bogate dary, pomiędzy którymi znajdowało się także trzystu pancernych rycerzy, najwięcej sprawiających cesarzowi radości. Odjeżdżającemu towarzyszył Bolesław z wielkim przepychem do Magdeburga, gdzie wśród wielkiego natłoku ludu odprawiono kwietnią niedzielę“¹⁾.

„Niemniej godnem podania pamięci mniemamy, opowiada Gallus, że za panowania Bolesława I, to jest r. 1000, Otto Rudy, cesarz, dla uczczenia i zjednania świętego Wojciecha, i dla poznania sławnego Bolesława, przybył do Polski (jako w księdze *De passione Martiris* doczytać się można), którego Bolesław z uczciwością i wspaniałością przyjął, jako królowi cesarza rzymskiego i tak wielkiego gościa przyjąć przystało“.

„Z zadziwiającą albowiem wspaniałością wystąpił na wjazd cesarza. Na przodzie rozmaite pułki rycerstwa, za niemi na rozległej płaszczyźnie orszaki panów rozstawił, któ-

1) Wielkanoc przypadała r. 1000 dnia 30 marca, kwietnia niedziela 23.

re rozmaitej barwy ubiory rozróżniały. W ochędóstwie zaś rycerskiem niepospolita była różnaitość wszystkiego, co kiedykolwiek najdroższego w świecie znaleźć się mogło“.

„Za czasów Bolesława rycerstwo i białogłowy u dworu, zamiast bawełnianych lub wełnianych sukien, kożuchy nosiły, których choćby były kosztowne i nowe, bez pokrycia i złotogłowiu nieużywano. Złoto albowiem wtedy tak było pospolite, jak dziś srebro, a srebro tak mało ceniłone, jak bartóg“.

Zapatrzywszy się cesarz na sławę, potęgę i bogactwa Bolesława, rzekł z zadziwieniem: *Per coronam Imperii mei!* więcej widzę, niżeli mi powiedziano; na radzie zaś z panami swoimi powiedział w obecności w s z y s t k i e h: „Nieprzystoi takiego męża, jakby jakiego pana, książciem tylko albo komesem nazywać, ale trzeba go ozdobić koroną i na tron królewski wywyższyć“. Zdjąwszy więc z głowy swojej koronę, włożył ją na głowę Bolesława, jako zadatek przyjaźni, a zamiast chorągwi tryumfalnej, gwóźdz z krzyża Chrystusowego z włócznią św. Maurycego darował; wzajemnie Bolesław darował mu ramię św. Wojciecha.



Głowa św. Wojciecha.

„Tak ściśłą przyjaźnią tego dnia połączyli się, że go cesarz sąsiadem i obrońcą cesarstwa postanowił, a przyjacielem i sprzymierzeńcem ludu rzymskiego mianował. Nadto w sprawach kościelnych, cokolwiek do władzy cesarskiej należało, wszystko poddał pod władzę jego i następców jego

w królestwie Polskiem i w ziemiach pogańskich, przezeń zawojowanych, lub zawojować się mających, której to umowy wyrok Sylwester Papież przywilejem św. Kościoła rzymskiego pótwierdził“.

„Bolesław, tak chlubnie wywyższony od cesarza na królestwo, wynurzył się z całą wrodzoną sobie hojnością, obchodząc koronację swoją ucztą po królewsku i cesarsku



Kielich i ręka św. Wojciecha.

przez trzy dni trwającą. Każdego dnia wszystkie naczynia i sprzęty odmieaniał, inne kosztowniejsze zastawiając. Po skończonej uczcie, rozkazał cześnikom i stolnikom swoim zgromadzić z trzechdniowych stołów wszystkie naczynia złote i srebrne (albowiem tam nie było wcale drewnianych); wszystkie puhary, kubki, misy, półmiski, zasta-

wy, rogi i cesarzowi, nie jakoby dary osobliwsze, ale dla uczciwości tylko złożyć. Podobnież dał rozkaz komornikom swoim zebrać opony, wiszące kotary, obrusy, ręczniki i wszystko, co do używania służyć mogło, do izby cesarskiej odnieść. Prócz tego darował cesarzowi wiele rzeczy, jako to: naczynia złote i srebrne rozmaitej roboty, opony różnej farby, ochędóstwa osobliwsze i kamieni drogich tyle, że cesarzowi takowe dary cudem się wydawały. Panów także z cesarzem będących

tak wspaniale obdarzył, że z nieprzyjaciół przejednał ich w najprzychylniejszych sobie; trudnoby było wyliczyć, jakie i jak wielkie dary znakomitsi dostali, gdy w tak licznym orszaku cesarskim nie było parobka, coby bez podarunku odszedł“.

„Zadowolony cesarz powrócił z wielkimi podarunkami dla siebie“.

Dytmar, widocznie niechętny, cedzi niejako przez zęby opis pielgrzymki, a przyznając, że Kościół polski usamowolniono, podnosząc, że usamowolniono go zapewne prawnie, a więc może nie zupełnie prawnie, pomija polityczną stronę pielgrzymki, którą Gallus wyłuszcza. Wszystko też w opisie Gallusa, prócz może obrazu o zdjęciu korony z głowy i uwieńczeniu nią Bolesława, tchnie prawdą, najzupełniej do stosunków ówczesnych przystającą; symboliczne zaś oddanie włóczni św. Maurycego i gwoździa Chrystusowego, wychodzi na jedno z oddaniem i uznaniem władzy, bo włócznia była znamię władzy pretorskiej w Rzymie, była berłem Cezarów jako pretorów, a tegoż roku co Bolesław otrzymał i Stefan węgierski, też same symbolistyczne od Ottona III dary. Wyrażenia *cooperator imperii, socius et amicus populi Romani, imperium in superatis et superandis regionibus*; wszystko to czerpane żywcem z wielkiej myśli Sylwestra i Ottona, która tu po raz pierwszy przyoblekła się w ciało. z myśli wprowadzenia w świat ówczesny rzymskiego systemu polityki. Nawet takie szczegóły jak zmiana sreber stołowych codzienna, wzięte się zdają z ceremoniału cesarzów, do którego się gościnnie Bolesław, tak świetne odnoszący



Św. Wojciech.

korzyści, chętnie zastosował. Układ potwierdza Papież Sylwester, któregośmy jako autora całej sprawy poznali. Galus, chociaż o wiek późniejszy, zasługuje na najzupełniejszą wiarę, podaje rzeczy, które umyślnie jako niemiłe i niegodne wedle niego pamięci, pominął Dytmar. Zdradził się zresztą ów Dytmar na innym miejscu, że nie wszystko powiedział o pielgrzymce Ottona do Gniezna, co mógł i powinien był powiedzieć. „Bóg niech przebaczy cesarzowi (Ottonowi III) pisze pod r. 1002, że z obowiązanego do płacenia dani Bolesława uczynił pana samodzielnego, gdy jeszcze ojciec jego Mieczysław nie śmiał w futrze wchodzić do mieszkania margrabiego Udon, albo usiąść w jego obecności“.

Ta niechęć do cesarza Ottona przebija się w innych współczesnych, jednogłośnie potępiających reformy jego rzymskie. Większą jeszcze obudził właściwy ich autor Papież Sylwester II. W osmdziesiąt lat jeszcze po jego śmierci, z tradycji, które o nim krążyły, kleci mnich Benno, stronnik Henryka IV, w jego walce z Grzegorzem VII, bajkę, że Sylwester, djabłu duszę zapisawszy, otrzymał tjarę. Dzisiaj Waitz nazywa Ottona niespokojnym chłopcem, fantastą, bigotem, Sugenheim zowie Sylwestra Mefistofeilesem Ottona, a czyny młodego cesarza nazywa błazeństwami. Sąd to niezawodnie nie dosyć spokojny i sprawiedliwy, sąd natchniony wspomnieniem ówczesnej, światowładczej buty niemieckiej. Młodziuchny Otton pokazał samodzielność w wyborze wpływu, któremu się poddał; przeniósł oświatę nad barbarzyństwo, pobożność nad dzikość, przeniósł uczonego Papieża Sylwestra nad nieokrzesanych i ponurych panów niemieckich. Stał się narzędziem w rękach Papieża, ale niebezwiednem; szedł za myślą cudzą, ale myślą piękniejszą od instynktu podboju, którym tchnęło jego niemieckie otoczenie. W wyborze między polityką Gerona, który trzydziestu ksiąząt słowiańskich, na biesiadę zaprosił, pomordował, między duchem niemieckiego duchowieństwa, które śmiertelną nienawiścią prześladowało niedawno temu słowiański Kościół Cyrylla i Metodego, a duchem polityki rzymskiej, która wyępała tylko współzawodników, ale żyć i oddychać ludom pozwalała duchem wolności Kościoła i centralizacji duchownej

władzy w Rzymie,—Otton przychylił się do polityki rzymskiej, do wolności Kościoła. Młody umysł szedł za ideą wielką, ideą cywilizacji. Idei tej zawdzięczamy my i Węgrzy, powstanie metropolij naszych; myśli tej zawdzięczamy po części indywidualność polityczną, która otrzymała niebawem swój chrzest krwi w wojnach między rokiem 1002 — 1018 pod wodzą największego z naszych królów, Bolesława Chrobrego.

Józef Szujski.

Niektóre legendy warszawskie

w świetle krytyki i historii.

Jak wszystkie starożytne miasta, tak i Warszawa posiada legendy, przechodzące tradycją z ust do ust i ubarwiający pewnym poetycznym urokiem niektóre gmachy lub pomniki przeszłości. Legendy te w większości wypadków mają podkładkę autentyczną, ale w opowieści ludowej tak zmienioną i przeistoczoną, że nieraz trudno się jej doszukać. Mimo to historyk Warszawy nie powinien tych podań pomijać, bo one, niejako nadają barwę, powiedzialnym życie i krew, suchym relacjom dziejowym. Zadaniem naszym jest opowiedzenie paru takich legend, ich rozbior krytyczny i zbadanie, o ile one opierają się na prawdzie i dokumentach historycznych.

I.

Widma na b. Zamku Królewskim.

Zamek warszawski, sięgający początkami swemi XIII, a w każdym razie co najmniej XIV wieku, należący tym sposobem do najstarszych gmachów w naszym mieście, świadek licznych scen najdonioślejszego znaczenia historycznego, z natury rzeczy, jak wszystkie stare mury, musi mieć przywiązane do siebie legendy o duchach i marach, w nimi się zjawiających. Jest to właściwością wszystkich mieszkań ludzkich, w których pokolenia za pokoleniami żyły, cierpiały i weseliły się, w których rozgrywały się ważne wypadki historyczne i przesuwały się postacie dziejowego znaczenia. Niema bodaj w Europie, a zatem i w kraju naszym, ani jednego odwiecznego zameczyska, w któremby niepokutował

jakis duch; jakieś widmo, mówiące albo o zbrodniach, albo świadczące sobą o jakimś wypadku. Do omszonych i upoetyzowanych długiem istnieniem swoim murów, wyobraźnia ludu chętnie przywiązuje takie fantastyczne podania, zwykle oparte na jakimś fackie zamglonym, źle zrozumianym lub niepojętym dla prostych umysłów tłumu. Ma je więc i zamek warszawski, w którym rezydowali niegdyś książęta mazowieccy, w którym Anna Jagiellonka pełen goryczy żywot pędziła, w którym ostatnie swe lata przebył Zygmunt August, w którym mieszkali wszyscy późniejsi królowie, którego ściany nakoniec widziały tyle postaci i wypadków dziejowych.

Pierwszem z takich podań jest legenda o widmie ukochanej małżonki ostatniego Jagiellończyka, Barbary Radziwiłłówny. Legenda ta, o ile wiemy, nie istnieje weale w ustach ludu warszawskiego, ale tylko w piśmiennych zabytkach przeszłości. Pierwszy miał ją opowiedzieć Joachim Possel (Posselius), lekarz i nadworny historjograf króla Zygmunta III-go. Rękopism jego historii miał się znajdować niegdyś w bibliotece Załuskich, a obecnie w Bibliotece Cesarskiej w Petersburgu. Otóż dziejopis ten, według K. Wł. Wójcieckiego ¹⁾, opowiada co następuje:

„Żalostny król Zygmunt, po utracie ulubionej swojej żony Barbary Radziwiłłówny, cień jej przynajmniej oglądać pragnął. W wychowaniu niewieściem młodości swojej, nasłuchał się tysiącznych powieści, jakoby dusze osób zgasłych, lub same dobrowolnie, lub wywołane sztuką czarodziejską, ukazywały się żyjącym. O możności więc nie wątpił, a z chęci swojej zwierzył się dworzanom, ubiegającym się w staraniach zadość uczynienia pragnieniu swego pana. Sprowadzono zewsząd do dworu ludzi w sztuce czarodziej-skiej biegłych i obiecano sowitą nagrodę, ktoby dokazał tego, żeby król widokiem drogiego cienia pocieszonym został. Podjął się tego Twardowski, czego inni nie śmieli, i królowę Barbarę chodzącą przyrzekł pokazać królowi. Zawierza Zygmunt August przyrzeczeniu i oczekuje z największą niecierpliwością czasu, oznaczonego po temu. Ostrzega tylko Twardowski króla, aby w milczeniu i spokoju siedząc, na widok ukazującej się królowej, z miejsca swego się nie ruszył, inaczej za duszę i za życie monarchy nie zaręcza. Podaje się Zygmunt August tak twardemu i trudnemu do za-

¹⁾ W „Tygodniku ilustrowanym“ z r. 1862 № 160 — 170. Tytuł historii Posseliusza brzmi: „Compendium historiae polonae ab an. 1387 ad a. 1629“.

chowania warunkowi, byle dopiął celu swych życzeń. Nadeszła pożądana chwila i wywołana z cieniów śmiertelnych, zjawia się mara. Ledwie zdołał Twardowski na miejscu króla zatrzymać, tak żywo się porwał i chciał lubą marę uściskać, a w tem widmo zniknęło“.

Dotąd historyk. W podaniu tem są rzeczy prawdziwe, są i fantastyczne. Prawdą więc jest, że Zygmunt August do końca życia tęsknił i opłakiwał swą żonę. Od jej śmierci chodził ciągle w czarnych sukniach żałobnych; pokoje w zamku warszawskim, w których mieszkał, kirem obić kazał i pamiątki po niej, jak świętość chował; w lat 20 potem suknie jej przekazał testamentem siostrze swojej Annie. Prawdą dalej jest, że był zabobonny. Wierzył w czary i w naukę gwiazdziarską, w „wielkiego ożoga“. Astrolog Proboszczowicz cieszył się łaską królewską. Prawdą jest na koniec, że za jego czasów żył Twardowski, którego podanie robi szlachcicem, z duszą zaprzedaną djabłu i czarnoksiężnikiem. Reszta jednak, owo tajemnicze wywoływanie cienia zmarłej Barbary, dla historii nie przedstawia materiału autentycznego, wygląda na fantazję łatwowiernego dziejopisa. Żadne zresztą piśmienne dokumenta faktu tego nie potwierdzają.

Ale właśnie dla tego swobodne pole miała legenda. Utrzymuje ona, że Twardowski istotnie ukazał choremu i zabobonnemu Jagiellończykowi Barbarę, ale nie był to wcale cień zmarłej królowej, tylko istota żywa, córka mieszczanina warszawskiego Barbara, Giżanką zwana, od ojca Gیزی.

W rzeczy samej w Warszawie rodzina tego nazwiska istniała oddawna. Pisali się rozmaicie: Gisz, Gysz, Gijza, Gissa, Giza, ale najprawdopodobniej nazywali się Gizami. Bałamuctwo ówczesnej pisowni tłumaczy tę różnorodność brzmień w nazwisku, a tak zwane mazurowanie przyczyniało się do tego, że twarde z zmieniało się często w miękkie *ś* lub *sz*. Kobiety tego rodzaju przeważnie w pismach i dokumentach, zowią się Gizynami i Giżankami ¹⁾. W wieku XVI,

¹⁾ Znany historyk A. Kraushar, w artykule, drukowanym w tygodniku „Kraj“ z r. 1899 № 6, stara się dowieść, że wymienieni mieszczanie warszawscy zwali się poprostu „Gyszami“, dla tego że na portrecie jednego z nich (Mikołaja) znalazł podpis „Nicolaus Gisz“. Przeciw temu można liczne przytoczyć dowody. W metrykach chrztu z XVI w., zachowanych w parafii św. Jana w Warszawie spotykamy się bardzo często z tem nazwiskiem jak najrozmaiciej pisanem. Kilkakrotnie np. występuje tam p. Jakób Giza, znany skądinąd szafarz miejski (*Weinert*, *Starożyt. Warsz. II*, 192, nazywa go Giszem, a *Tym. Lipinski*, *Bibliot. Warsz.* z r. 1849, I, 165, Giżą), i za każdym razem inaczej się pisze. Pod r. 1584 jest on Gyszem

to jest w chwili, gdy na widownię historyczną występuje owa, widmo udająca, Giżanka, znamy trzech czy czterech Gizów, mieszkających w Warszawie. Jest więc najprzód jakiś bezimienny przewoźnik, t. j. dzierżawca od skarbu królewskiego przewozu na Wiśle, Giż (oczywiście Giza) ¹⁾; jest dalej p. Jakób Giza, który pełni z wielką skrupulatnością obowiązki szafarza, czyli kasjera miejskiego ²⁾, jest pan Baltazar Giza, pospolicie Balcerem zwany, rajca miejski ³⁾; jest wreszcie Jan Giza, poeta, przezywający się zgodnie z modą wieku, Gysaeusem ⁴⁾. Którego z nich córką była owa królewska kochanica, trudno dziś dociec. Najprawdopodobniej jednak żadnego z nich, gdyż w relacjach współczesnych o królewskiej kochance, ojciec nigdzie nie występuje czynnie, a za to matka i siostra kilkakrotnie są wspomniane. Ztąd wniosek, że ojciec już wtedy nie żył. W aktach radzieckich miasta Starej Warszawy, pod r. 1569, a więc mniej więcej w porze zapoznania się króla z Giżanką, kilkakrotnie jest wspomniana Anna Gizina, wdowa po Janie Gizie (Gyże), konsulu miejskim i obywatelu ⁵⁾. Posiadał on kamienicę w Rynku, bo w pewnej tranzakcji o sprzedaż do-

a pod r. 1587 Gijzą, by w r. 1589 zostać Giżą. Giżanka, miłośnica króla Zyg. Augusta, ⁶⁾ tale przez wszystkich historyków nazywana jest córką Gizy (Gizae cujusdam civis Var-saviensis filia). Historyk Rudawski matkę zwie Giżanką, z rodu Gizów, któremu zresztą przez pychę stara się nadać szlacheckie z Frankonji pochodzenie. W taryfie okupu szwedzkiego z r. 1655 (*Weinert* V, 143) spotykamy się z nazwą Gisse, ale także są tam pp. Gizowie i pani Giżyna wdowa. Świadczy to, jak nie umiano sobie dać rady z ortografią tego nazwiska. W paktach Warszawy z Rakoczym, (*Weinert* V, 341) występuje pan Aleksander Giza, a w opisie najazdu szwedzkiego (Loc. cit. 379), tenże pan Aleksander zwie się Gissą. Jaszewski zwle ich raz Giżami, to znów Giszami (*Niemcewicz*, Zbiór III, 293 i 294). Starowolski w „Monumentach“ (str. 246), podając nagrobek ks. Pawła, należące do tej rodziny, pisze Gissa. W. Gomulicki w opisie rynku staromiejskiego (Ateneum z r. 1897, IV, 468), przytacza napis na nieistniejącej już dziś tablicy na domu № 36, należącym niegdys do tej rodziny, w którym czytamy: „z tym przywilejem w moc Gizom podana, Andrychiewiczów z Gizowskiej została“. Napis jest z początków XVIII-go wieku, gdy już pisownia nieco się ustaliła. Na pomniku Jakóba Gizy, znajdującym się w katedrze św. Jana, nazwisko brzmi Gissa. Pomnik ten nie ma daty, ale zdaje się, że pochodzi z końca XVI-go lub początków XVII-go wieku. W lustracjach Królewszczyzn z XVII-go w., zachowanych w Archiwum akt dawnych, znajdujemy obie formy: są Gissowie (Konstanty, pułkownik wojsk, Mikołaj sekretarz i oberszter gwardji J. K. M. pod r. 1664), ale są i Giżowie (Paweł, Administrator umów solnych pod r. 1620). Być więc może, iż istniały dwie rodziny: Gissów i Giżów, czyli Gizów.

¹⁾ *A. Weinert* Starożytności Warszawy (VI, 127).

²⁾ Loc. cit. II, 192. *T. Lipiński* Bibl. Warsz. z r. 1849 I, 165.

³⁾ *Starowolski* Monumenta 246. W r. 1587 pan Baltazar Giza (Gijza), trzymając chrztu syna niejakiego Wojciecha Orłowskiego (Metryki chrztu w parafji św. Jana).

⁴⁾ Janociana I, 106.

⁵⁾ Archiwum akt dawnych. Akta radzieckie ks. VI, p. 16.

mu Stanisława Szuligi, wojewodzie mazowieckiemu Stanisławowi Łańskiemu ze Strzegocina, dom ten opisano, jako znajdujący się „w rinku w Warszawie między kamienicami sławnych Jana Gyże i niekiedy Jurgy Philipponicza“. Nieżył on już w r. 1561, gdyż żona jego Anna występuje jako wdowa „Gizina“. Była to kobieta swarliwa, energiczna, gdyż ciągle miała spory majątkowe z różnemi osobami, ciągle na nią zanoszono skargi i wogóle niezbyt dodatnio się przedstawia. Odpowiada to w zupełności temu charakterowi, jaki matce królewskiej kochanki nadają historycy. Jest więc prawie pewnem, że ta ostatnia była córką Jana i Anny¹⁾. Bartoszewicz²⁾ nazywa ją wyraźnie „sierotą po ojcu“

Matka wychowywała ją w klasztorze „poza murami Warszawy“, jak opowiada pewna relacja, „ażeby jej dobre obyczaje wszczepić“³⁾. Nie omylimy się chyba, jeżeli powiemy, że owym klasztorem, oczywiście żeńskim, był klasztor Bernardynek, założony około r. 1521, niedaleko Zamku (gdzie dziś Zjazd), które nie małą sobie odrazu zjednały sławę z wychowania panien. Zresztą o innych klasztorach żeńskich w Warszawie w tej dobie nie wiemy. Wszelako nie musiał tam być zbyt ścisły dozór nad uczącemi się dziewczętami, skoro Barbarę Gizankę poznał pokojowiec królewski Mikołaj Mniszech i często tam chodził, przebrany za mniszkę pod nazwą Opackiej, jak później opowiadała głośno mieszczeni warszawskie⁴⁾. Jeżeli wierzyć niektórym relacjom, to Mniszech ją uwiódł; w sprawie tej pośredniczył jakiś żyd Egidjusz, który mieszkał i w wielkiej zażyłości był z bratem Mikołaja Mniszcha, Jerzym, i chodził często do klasztoru z towarami. Że Bernardynki warszawskie z początku nie zbyt ściśle strzegły klauzury zakonnej, świadczy to, że gdy w r. 1595, prowincjał Benedykt Gąsiorowski, zażądał od nich, aby w myśl koncylium trydenckiego i rozporządzenia Piusa V-go ściślejsze regule się poddały, to tylko dziewięć z pomiędzy nich na to się zgodziło, reszta zaś ze zgromadzenia wystała⁵⁾. W takim stanie rzeczy łatwo było Mniszechowi

1) W książce autora niniejszego, wydanej w r. z. p. t. „Z przeszłości Warszawy“, Gizanka jest nazwana córką Jakóba i Jadwigi Fukierówny, bliższe jednak i ściślejsze poszukiwania obaliły to przypuszczenie.

2) Anna Jagiellonka I, 73.

3) Rękopism w Tekach Naruszewicza, cytowany u Prądzińskiego „Jagiellonki polskie“ III, 361.

4) *Orzelski Bezkrońlewie* ksiąg ośmioro I, 65.

5) *Ks. A. Brykczyński*, Kilka słów o klasztorze P. P. Bernardynek w Warszawie (Przegląd katolicki N. 5 z r. 1900).

i żydowi Egidjusowi mieć stosunki z pannami w klasztorze.

Prawdopodobnie Mniszchowie, chcąc mieć wpływ na króla, podsunęli mu Giżankę. Była ona młodą, choć „niepiękną kształtów“, jak zapewniają niektórzy i nosiła miłe królowi imię Barbary, a, jak legenda twierdzi, miała być uderzająco podobna do zmarłej królowej. Z tego to podobieństwa mieli skorzystać Mniszchowie i za pośrednictwem Twardowskiego ukazali zdenerwowanemu „synowi Litwina i Włoszki“, pod postacią widma królowej, Giżankę.

Tak twierdzi legenda. Niekoniecznie zgadza się ona z podaniami historii. Przy śledztwie, jakie prowadzono po śmierci Zyg. Augusta, w sprawie rozkradzenia skarbów królewskich, niejaki Jan Zieliński, dworzanin królewski, zeznał, że do króla przyprowadził Giżankę żyd Egidjus 1); a Jakób piwniczny królewski, opowiadał, że wprowadzili ją do króla służcy: Luboniecki, Łepkowski, Grot i Wypczyński 2). O Twardowskim nigdzie niema wzmianki, ani też o owem legendowem podobieństwie córki mieszczanina warszawskiego do księżęcego rodu Barbary Radziwiłłówny.

Jednakże nie ulega wątpliwości, że ostatni Jagiellończyk przywiązał się mocno do tej mieszczyki, choć, według twierdzeń niektórych, „cnota jej przed poznaniem się z królem była podejrzaną“ 3). Według zeznań wspomnianego Jakóba piwnicznego, Giżanka przyprowadzoną została do zamku „około Trzech Króli“, i akuratnie w dziewięć miesięcy, bo 8 kwietnia, powiła córkę. Zkąd inąd wiemy, że córka ta, której dano imię Barbary, urodziła się w r. 1571 4), więc w tymże roku, na krótko przed swą śmiercią, król zapoznał się z Giżanką. Był już wtedy chory na podagrę i chiragrę, stale przebywał w zamku, w którym Giżanka także zamieszkała, co było bardzo nieprzyzwoitem, ze względu, że w tymże zamku mieszkała również siostra królewska, Anna Jagiellonka. Zamek ówczesny, to nie późniejszy wielki gmach, „w pentagon“ zbudowany ku Krakowskiemu - Przedmieściu, przez Zygmunta III-go, ale ciasny, niewielki, stary bardzo dwupiętrowy dom, przytykający do Kanonji i kościoła św. Jana. W tej ciasnocie łatwo było Annie Jagiellonce widywać i nieomal ocierać się o kochanicę królewską. To też nieustannie ona oburza się, że Giżanka „siada bezwstydnie

1) *Orszelski Bezkrólewic* i t. d. I, 75

2) *Loc. cit.* I, 88.

3) *Teki Naruszewicza, loc. cit.*

4) *J. Bartoszewicz Encyklopedia Orgelbranda Tom. XXVII, 833.*

w oknie z dzieckiem“, że słyhać „jak szczenię płacze“, bo tak nazywała swą niemowlęcą nieprawą bratankę.

Król jednak nie mógł żyć bez Giżanki. Mniszech dwa razy na dzień prowadził do chorego Jagiellończyka ulubioną Basię ¹⁾. Krewni jej wciąż bawili na dworze, opływali we wszystko; dzięki królewskiej miłości, Giżowie stale przez długie lata trzymali dochodny przewóz na Wiśle, trzymali areną grunta miejskie poza murami miasta, z których, dzięki przywilejowi królewskiemu, żadnego czynszu nie płacili ²⁾. Domniemana matka Barbary, Anna Giżyna, jeżeli dotąd stale była pozywana przed urząd radziecki o rozmaite długi, o należności za wzięte towary przez jej męża nieboszczyka, który „był kupcem sławnym“, jak go też akta nazywają, to kupcom Gdańskim, to innym osobom, nieraz dochodzące do wysokości 500 florenów „liczby polskiej“ ³⁾, to od r. 1571, wszystko to nagle ustaje, czasem ona teraz czyni zapisy i darowizny, jak np. zięciowi swemu Krzysztofowi Szawłowskiemu daje aż 2,000 florenów ⁴⁾.

Ale nic w tem dziwnego, że prości mieszczenie warszawscy korzystali z nieprawego źródła łask królewskich. O względy „sokoła“, jak Zygmunt nazywał swe kochanki, ubiegali się możni panowie, wielmoże tej Rzeczypospolitej, kłaniali się Basi nisko, opłacali, karteczki do niej pisywali. Jakoż miała ona niemały wpływ na chorego króla, książd Krasński, dzięki jej zabiegom, otrzymał biskupstwo krakowskie ⁵⁾.

Król bardzo się cieszył z urodzenia córki; matce dał 20,000 czerw. zł. i powszechnie mówiono, że gdyby mu była powiła syna, byłby ją poślubił ⁶⁾. Chorym już będąc, upominał się u senatorów o opatrzenie dziecka, ale odpowiadało mu, że to nie było jego dziecko, bo u Giżanki bywał kto chciał „za ścianą drewnianą“, co już oczywistą było kalmnią.

Zdarzyło się, że w Warszawie wybuchło morowe powietrze i król, uciekając przed niem, wybierał się do ulubionego Knyszynu, który swą melancholijną, posępną, leśną okolicą, odpowiadał melancholijnemu usposobieniu ostatniego Jagiellończyka. Giżanka miała tam także jechać i król zwierzył się Janowi Chodkiewiczowi, że tam w zamku Kny-

¹⁾ S. Orzelski, loc. cit. I, 88.

²⁾ Weinert loc. cit. VI, 127.

³⁾ Akta radzieckie VI, pod r. 1571 i 1572.

⁴⁾ Loc. cit.

⁵⁾ Bartoszewicz Anna Jagiellonka I, 100.

⁶⁾ Przetłuszczycki loc. cit. VII, 195.

szyńskim ślub z nią weźmie ¹⁾). Na senatorów z tego powodu padł strach wielki i w porozumieniu z Prymasem Karnkowskim, pan Piotr Zborowski i Jan Firlej, oraz kilku innych, ułożyli plan porwania i uwięzienia miłośnicy. Zdaje się, że wieść o tem doszła do Zamku, bo z rozkazu Jerzego Mniszcha zbrojni trabanci „w dzień i w nocy strzegli Giżanki ²⁾). Nakoniec wyjechała ona przed królem, na którego oczekiwać miała w Mężeninie. Gdy Zygmunt August przybył do Tykocina, w którego zamku swój skarbiec chował, bawił tam tylko jedną noc, w celu wydobycia ze skarbcza wszystkiego, co potrzeba do ślubu. Przywołał tu do siebie Mniszcha i kazał mu natychmiast wyprawić do Giżanki, do Bronowa, wsi wraz z kilku innymi jej darowanej ³⁾, skrzynię, w której było 13,000 czerw. złotych. W grodzie oblatował akt, uznający Giżankę szlachcianką i nazajutrz d. 23 czerwca 1572 r. pojechał do Knyszyna, gdzie w dwa tygodnie potem ostatnie oddał tchnienie.

Z powodu rozdrapania przez rozmaite osoby skarbów królewskich, wytoczono śledztwo i osobną w tym celu ustanowiono, jakbyśmy dziś powiedzieli, komisją. Rzecz prosta, że wciągnięto do tej sprawy i Giżankę. Wiedziano o owych 13,000 dukatów, o darowiźnie Bronowa, o tem, że staroście wizkiemu pożyczyla 10,000 zł., a Hieronimowi Sieniawskiemu, kasztelanowi Kamienieckiemu 20,000 zł. Oskarżano ją, że matka Barbary „wraz z córką używały czarów na opętanie króla i sprowadziły babę czarownicę z Błonia“. Świętosław Orzelski, późniejszy historyk, zasiadał także w tej komisji i domagał się, by Giżankę uwięziono i wzięto na tortury. Mieszkała ona wtedy w Wiznie i „wielu protektorów pisało do niej, aby nie rozpaczała o swoim zbawieniu i ocaleniu całego dobytku i obiecywało jej swoją opiekę“ ⁴⁾.

Losy jej następne niedokładnie są znane. Wyszła ona później za ks. Michała Woronieckiego, ubogiego księcia wołyńskiego, którego skusiły zapewne bogactwa byłej miłośnicy królewskiej. Miała z nim syna, Florjana, urodzonego w r. 1586, który później wstąpił do zakonu Dominikanów w Warszawie. Córka króla i Giżanki, Barbara, wyszła za mąż za jakiegoś Jakóba Zawadzkiego. Sama Giżanka umarła w r. 1589 ⁵⁾.

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ S. Orzelski, loc. cit. I, 85.

³⁾ Trzy są Bronowy, w powiecie plockim, tureckim i pleszewskim; Bronów Giżanki prawdopodobnie był w plockim.

⁴⁾ S. Orzelski, Loc. cit.

⁵⁾ J. Bartoszewicz, Encyklopedia Orgelbranda loc. cit.

Takie są dzieje tej warszawskiej kochanki ostatniego Jagiellończyka, tej córki mieszczańskiej, wplecionej przez legendę w dziwną, tajemniczą historję o widmie Barbary Radziwiłłówny, wywołanem na Zamku warszawskim przez Twardowskiego. Z całej tej legendy to jest tylko prawdą, że Giżanka istniała i że była gorąco kochaną przez smutną, melancholijną postać ostatniego z wielkiego szczepu Jagiellonów. Nic dziwnego, że jej postać i niezwykle losy wbiły się w pamięć ludu warszawskiego i ustroiły w jego wyobraźni w bardzo fantastyczną legendę.

Niemniej fantastycznym jest podanie o innym widmie, które w dwieście dwadzieścia trzy lata, po cieniu Barbary Radziwiłłówny, miało w tymże samym Zamku warszawskim innemu królowi, i podobnie jak wtedy, ostatniemu z Jagiellonów, tak teraz ostatniemu z królów, się ukazać. Legenda ta jednak wcale w ustach ludu warszawskiego nie istnieje; pierwszy podał ją znany pisarz K. Wł. Wójcicki, który ją miał słyszeć od ojca swego Jana Wójcickiego, wrzeczomego lekarz nadwornego króla Stanisława Augusta. Oto jak ją opowiada sam Wójcicki ¹⁾.

„Było to d. 4 listopada 1794 r. W warszawskim Zamku obok pokoju, gdzie król Jegomość drzemał, zostawałem na służbie. Nagle huk z dział zagrział na Pradze, a kula jedna armatnia utkwiała w murze przy oknie zamkowym tegoż pokoju. Zatrzęsła się ściana i po chwili słyszę krzyk przeraźliwy króla Jegomości. Wpadam przerażony i znajduję króla siedzącego na sofie, na której drzemał, wybladłego, drżącego, ze wzrokiem osłupiałym, wskazującego prawą ręką na okno. Zacząłem go trzeźwić środkami lekarskimi; po kilku chwilach odetchnął przecież i pierwsze jego słowa były: „czy widziałeś ją?“ — „Co takiego Najjaśniejszy Panie?“ — „Ona stała w oknie i groziła mi strasznie. Nie odchodź na krok odemnie!“ Podłożyłem pod głowę poduszki; po chwili spoczynku dopiero mi król opowiedział, że zdrzemnąwszy się nagle usłyszał huk straszny, ściany zamku zadrżały, a kiedy się porwał na nogi i spojrział w okno, w którym jeszcze szyby brzęczały, ujrzał postać niewieścią w długiej białej szacie, jak większą połowę okna zastaniała. Zwrócona była twarzą bładą i wielce smutną do niego; gdy zaś spojrział w jej oblicze, zadrżał na całym ciełe, bo smutek zmienił się w wyraz groźby. „Nie mów o tem nikomu, mój Janie!“ mówił monarcha, ocierając pot z czoła — „nie

¹⁾ Cmentarz Powązkowski III, biografia Jana Wójcickiego.

wpuszczaj tu nikogo i poślij dowiedzieć się, co się dzieje za Wisłą". Spełnił to życzenie króla i do jego zgonu w tajemnicy zachował to zdarzenie. Kulę armatnią, która utkwiła w onym czasie w ścianie obok okna z lewej strony, widziałem sam, bo mi ją ś. p. ojciec pokazywał, gdyśmy szczegółowo oglądali Zamek warszawski w r. 1826".

Takiem jest samo podanie, przekazane nam przez Wójcickiego. Później uzupełnił je tym dodatkiem, że rodzinie Poniatowskich, w dniach wielkich klęsk lub nieszczęść ta biała dama zawsze się ukazywać miała. Widział ją przed bitwą pod Połtawą, ojciec króla Stanisława Augusta, widział ją książę Józef w wigilję bitwy Lipskiej i tragicznej swej śmierci w nurtach Elstery, Nie poprzestał jednak na tem. W czasopiśmie „Kłosa“ ¹⁾, pomieścił rysunek W. Gersona, zdjęty ze szkicu Bacciarelego. O szkicu tym powiada, że „Król Stanisław August, po uspokojeniu się z przerażenia, polecił nadwornemu malarzowi, Bacciarellemu wymalować obraz, uwieczniający to zdarzenie“, że „Włoch artysta, po swojemu go pojął i przeinaczywszy zupełnie, z widnia niewiasty zrobił anioła skrzydlatego, a króla przedstawił w ubiorze uroczystym, ze szpadą u boku, klęczącego przed portretem swego ojca“. Przy tej sposobności Wójcicki jeszcze raz opisał całe to zdarzenie, ale z pewnemi warjantami, a mianowicie, że król drzemał „na szesłagu za parawanem szklanym“, że „suknia widna była jak mgła lekka i przezroczysta, jak i jej (postaci) ciało pod szatą, zachowując wyraźne tylko zarysy postaci ludzkiej“, że „zimny pot wystąpił na czoło (króla), bezwładny upadł na szesłag i zaledwie doktor, będący na służbie, otrzeźwił i przywrócił go do przytomności“.

Legenda ta znalazła uzupełnienie w książce, wydanej niedawno w Krakowie ²⁾, w której opisane jest miejsce zjawienia się widma. „Od wniścia głównemi schodami od Krakowskiego-Przedmieścia, opowiada autor tej książki, druga sala była jakby sypjalnym pokojem Stanisława Augusta, kilka jej okien wychodziło na taras zamkowy, bliżej strony pałacu Pod Blachą. W rogu jej, w pobliżu komina, stał za parawanem szklanym wygodny szesłag, na którym Stanisław August lubił sobie drzemać i marzyć zawsze po każdym śniadaniu i po każdym obiedzie. Tu zaszła scena, którą synowi swemu K. Wł. Wójcickiemu opowiadał ojciec

¹⁾ N. 35 z r. 1866.

²⁾ Warszawa w 1794 r. przez Bronisława Szwarce, p. 10

jego". Jakkolwiek, według Wójcickiego, król zakazał o tem widmie mówić komukolwiek, jednak rzecz musiała się dostać do wiadomości publicznej, skoro w r. 1828 znany powieściopisarz historyczny, Aleksander Bronikowski, wydał romans p. t. „Moina“, którego tematem jest pojawianie się w Zamku warszawskim, w pewnych stałych odstępach czasu, widma kobiety, w białe szaty ubranej i noszącej dziwaczne miano „Moiny“.

Bądź co bądź, całe podanie opiera się wyłącznie na szkicu Bacciarellego i na relacji Wójcickiego, gdyż romans Bronikowskiego nie może być brany w rachubę, jako dzieło fantazji. Szkic Bacciarellego, a raczej obrazek olejny, niewielkich rozmiarów, przedstawia Stanisława Augusta w uroczystym stroju hiszpańskim, podobnym do tego, w jakim się koronował i w jakim jest odmalowany na portrecie, istniejącym dotychczas w sali ratuszowej w Warszawie, ze szpadą u boku i płaszczem, przez lewe ramię zawieszonym, jak przykłęka na jedno kolano i z pewnym entuzjastycznym ruchem spogląda na owalny portret, umieszczony na kolumnie jońskiej w jakiejś wspaniałej sali. Wójcicki powiada, że jest to portret ojca królewskiego, pana Kasztelana Krakowskiego, czemu jednak stanowczo zaprzeczyć należy. Bacciarelli parokrotnie malował portrety ojca króla i są one dość znane. Na nich pan Kasztelan okazuje się zawsze z piękną, okrągłą, jasną, starannie wygoloną twarzą, gdy tymczasem tutaj jest to popiersie mężczyzny niemłodego i niepięknego z gęstą, kędzierzawą brodą. Bacciarelli więc nie mógłby w ten sposób odmalować ojca królewskiego i dlatego, niewątpliwie nie jest to wcale portret kasztelana. Po lewej ręce Stanisława Augusta na poduszce aksamitnej, ze złotymi chwastami leży korona, berło i jabłko, z drugiej zaś strony stoi półnaga postać skrzydlatego gieniuszu czy anioła, który jedną ręką dotyka się ramion króla, drugą zdaje się wskazywać na ów portret. Całość robi wrażenie jakiegoś symbolicznego obrazu i w niczem nieprzypomina nocnego widziadła i dramatycznej sceny, pełnej grozy i huku dzieł Suworowskich. To też historyk naszego malarstwa, Edward Rastawiecki nazywa ten obraz ¹⁾ „Snem Stanisława Augusta“ i uważa go za jakąś, bliżej niewyjaśnioną allegoryę. W r. 1850 obrazek ten był własnością hr. Leona Łubieńskiego, u którego zapewne oglądał go Wójcicki i wytłoma-

¹⁾ E. Rastawiecki, Słownik malarzy polskich I, 34.

czył sobie, że jest to scena z owem widmem nocnem, o którego pojawieniu się pierwszy począł odpowiadać.

Co do samego tego opowiadania, przy bliższem rozpatrzeniu, nasuwają się liczne wątpliwości. Przedewszystkiem sama osoba opowiadającego, ów nadworny lekarz króla, Jan Wójcicki, będący w tak poufałych ze Stanisławem Augustem stosunkach, pierwszy budzi te wątpliwości. Wiadomo z różnych źródeł, że nadwornym lekarzem był Niemiec, Boekler nazwiskiem, który nawet pojechał ze Stanisławem Augustem do Petersburga i był obecny przy śmierci ostatniego króla polskiego. O Wójcickim zaś źródła nie mówią. Wprawdzie E. hr. Tyszkiewicz w r. 1872 ogłosił w „Bibliotece Warszawskiej“¹⁾ urzędowy spis, sporządzony przez generała Bezborodkę, osób, które znajdowały się przy królu w chwili jego śmierci, i w spisie tym między lekarzami figuruje Wójcicki, ale, choć p. hr. Tyszkiewicz zapewnia, że jest to „ojciec zasłużonego w piśmiennictwie krajowem, K. W. Wójcickiego“, my mamy pewne wątpliwości co do wiarygodności tego spisu. Bo najpierw niema w nim Boeklera, a potem nie przytoczono wcale imienia Wójcickiego.

Ale mniejsza o to. Wójcicki mógł się znajdować przy królu w Petersburgu, tylko że nie był lekarzem. W r. 1807 kupił on dworek na Podwalu pod N. 521, na t. zw. „śmietniku“ i w aktach urzędowych tytułowany jest „chirurgus“²⁾. Do niedawna żyły jeszcze osoby w Warszawie, które go znały osobiście i mówiły autorowi niniejszego, że był po prostu felerzem. Oczywiście w niczem mu to ujmy nie przynosi; nie przeczy też wiadomości, podanej przez syna, że należał do służby nadwornej królewskiej, ale właśnie jako należący do takiej służby niższej kategorii, nie mógł być w tak poufałych z królem stosunkach, żeby ten aż miał mu opowiadać tajemniczą historję o widmie „białej damy“.

Ale są jeszcze innego rodzaju wątpliwości co do prawdziwości owego podania. Z relacji, pomieszczonej w książce „Warszawa w 1794 r.“, wynika, że owa dzienka królewska „na szeslongu za parawanem szklanym“, odbywała się po obiedzie. Tymczasem wiadomo, że szturm Suworowa do okopów Praskich, rozpoczął się przed godziną 7-ą rano, o świcie ponurego dnia listopadowego. Wprawdzie w opowieści Wójcickiego, z którego zdaje się pan Br. Szwarce, przepisał całą tę legendę i bujną fantazją swoją uzupełnił, nie po-

¹⁾ Tom IV, 157.

²⁾ Hipoteka pruska (Archiwum akt dawnych).

2109. 2 922 / 1900 / 7.



wiedziano, kiedy się owa drzemka odbywała; być może, że król, jak wszyscy zapewne w Warszawie, owej nocy nie spał wcale i nad ranem rzucił się na sofę, aby się zdrzemnąć trochę, ale są inne niedokładności, że tak powiemy, które każą wątpić o autentyczności tego podania. Wójcicki mówi, że działo się to w nocy, że króla zbudził huk armat i kula, która utkwiała w ścianie zamkowej z taką siłą, że gmach cały się zatrząsł, i że on, Wójcicki kulę tę w 32 lata potem własnymi oczami oglądał. Niechcemy przeczyć, iż kulę tę widział, chociaż jest to rzeczą wątpliwą, bo przy restauracji Zamku, przedsięwziętej zaraz po ogłoszeniu Królestwa, tego rodzaju ślady przeszłości zapewne zacierano, wszakże przypuścimy, że kula ta przez lat kilkadziesiąt tkwiła w ścianie zamkowej. Rzecz jest w tem, że pocisk ów nie mógł się tam dostać przy zmroku późnego świtu jesienno. Szturm, jakeśmy to już powiedzieli, rozpoczął się przed wschodem słońca, o godz. 7-ej rano ¹⁾, bój trwał cztery godziny, nim więc działa rosyjskie mogły podjechać nad brzeg Wisły i ztąd strzelać do Warszawy, był już dobry dzień i widno. Kula więc uderzyła w Zamek nie za zmroku, ale w dzień, i pod tym względem relacja Wójcickiego mija się z prawdą.

Wogólności całe to podanie, może osnute na jakiejś plotce, nie wytrzymuje najpobłażliwszej nawet krytyki i należy je uważać za wytwór fantazji literackiej.

Ale nietylko literacka fantazja kocha się w tego rodzaju marach, włóczących się nocami po starych murach Zamku warszawskiego. Posłuchajmy jeszcze jednej legendy:

„Obiegają wieści, pisze pewien autor rosyjski ²⁾, że w byłym Zamku królewskim w Warszawie, od czasu do czasu zjawia się widmo tajemnicze, pod postacią kobiety. Niewiadomo zresztą, czyja to jest mara. Żyją do dzisiaj te osoby, które widziały to widmo tajemnicze, gdy będąc jeszcze dziećmi przyjechały razu pewnego do ks. Paskiewicza, do cerkwi zamkowej na nieszpory. Po skończeniu nabożeństwa, gdy dzieci owe powracały do pokoi mieszkalnych w Zamku, przechodzić musiały przez salę tronową, słabo oświetloną, i ujrzały z przerażeniem widmo damy tajemniczej, i pamiętają doskonale popłoch, jaki wywołało to osobliwe zjawisko“.

¹⁾ T. Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski VI, 305.

²⁾ L. Karnowicz, Bielaja dama („Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1886. Tom XXIV, 167).

„Mówią również, za autentyczność czego oczywiście nie ręcymy, że jakoby i namiestnika księcia M. D. Gorczakowa, odwiedziła pewnego razu tajemnicza nieznajoma w jego gabinecie, w którym późną nocą słuchał czytania jakiegoś roman su francuskiego. Ks. Gorczakow, jak wiadomo, był krótkowidzem i człowiekiem niezwykle roztargnionym, i zrazu nie dostrzegł, ale raczej odczuł obecność w swym gabinecie zagadkowego gościa. Gdy książę bacznie przez okulary spoj rzał na drzwi, spostrzegł stojącą tam jakąś damę, i odzna czając się zawsze galanterją względem przedstawicielek pici nadobnej, zerwał się zwa wo z krzesła i z uszanowa niem ukłonił się spóźnio nemu gościowi, która ze swej strony oddała mu tak że ukłon głęboki.

„Wtedy przez głowę namiestnika błyskawicznie przebiegła myśl, że w obec ówczesnych burzli wych okoliczności w War szawie, mogła do niego dostać się jaka uparta pe tentka.

„Książę zrobił parę kroków, żeby zbliżyć się do przybyłej tak niespod zianie i cicho, oraz żeby dowiedzieć się o przyczy nach jej odwiedzin nie wczesnych i bez uprze dniego zaanonsowania się, ale jakże się przeraził, gdy dama owa nagle znikła, i według słów samego księ cia, uczuł on tylko odurzającą woń grobową.

„Zrobił się w Zamku straszny alarm, rozpoczęto poszu kiwania, śledztwa, badania straży, ale wszystko to nie do prowadziło do wyjaśnienia tajemniczego zjawiska. Okazało się, że nie widziano wcale nikogo obcego i nie słyszano nic szczególnego; warty były na swych stanowiskach, nie spały i nie drzemały, ale czuwały pilnie, jak to przystoi straży wojskowej, umieszczonej na tak ważnem stanowisku, jakim jest mieszkanie Namiestnika Cesarskiego“.

Autor kończy swe opowiadanie przysłowiem, że za co



kupił, za to sprzedaje tę legendę i nie dodaje do niej żadnych uwag. I my też nie myślimy zastanawiać się nad nią bliżej, jako należącą do dziedziny fantastycznych objawów, o których tyle opowiadają ludzie zabobonni lub chorzy, zdernerwowani i przerażeni wielkimi wypadkami, których jeden z najgłówniejszych czynników stanowią. Zresztą w obec tego, że do wszystkich starych zamków przywiązane są legendy o duchach i widmach, byłoby dziwnem, gdyby takich błakających się mar nie było i w odwiecznym Zamku warszawskim.

II.

Kolumna króla Michała.

Pod laskiem bielańskim, przy szosie, prowadzącej do kościoła, przed kilkunastu jeszcze laty sterczała samotna, mocno już wówczas zniszczona kolumna, wykuta z piaskowca szydłowieckiego, wysoka około 12 łokci. Fundament jej, który oparł się dwuwiekowemu działaniu czasu i burzącej ręce ludzkiej, był bardzo silny, z cementu i kamienia polnego zbudowany. Stopnie atoli już w r. 1872 uległy zupełnej ruinie. Wierzch kolumny zakończony był szczególnem jakimś zaokrągleniem, podobnem do dwóch serc, złączonych razem. Na piedestale, na płycie z szarego marmuru chęcińskiego, obrosłej mchem i pleśnią, widać było napis:

D. O. M.

A. D. 1669.

Więcej nic. Ta tajemnicza kolumna, samotnie wznosząca się na polu, bez żadnego objaśniającego napisu, dla czego i przez kogo została wzniesiona, oddawna na siebie zwracała uwagę. Utworzyła się też o niej legenda następująca:

Córka oficjalisty z folwarku Łomianek czy Łomna, położonego za Bielaniem nad Wisłą, późnym już wieczorem wracając do domu z Warszawy, gdzie kupowała różne potrzeby do swej wyprawy ślubnej, pod samym lasem, na mostku, wzniesionym nad strugą, została napadniętą przez rabusiów. Łotry zrabowawszy biedną dziewczynę zabili ją następnie. Woźnicy udało się zbiedz w gąszcz leśną, konie zaś i bryczka ugrzęzły w błocie. Narzeczony, dowiedziaw-

szy się o nieszczęściu ukochanej, pospieszył z rodzicami jej i swoimi na miejsce wypadku, a na widok zwłok swej wybranki, padł na miejscu nieżywy; pękła mu arterja sercowa. Ciała obojga kochanków rodzice złożyli w jednym grobie, w pobliżu miejsca strasznej przygody; na mogile ich zaś postawili pomnik, z wyobrażeniem u szczytu dwóch serc związanych ¹⁾).

Taką jest legenda, dotycząca owej samotnej kolumny, legenda bardzo poetyczna, nawet bardzo ładna, o tych dwóch sercach u szczytu pomnika skamieniałych na wieki, — cóż kiedy w niej niema ani krzty prawdy. Oczywiście nie myślimy wcale zaprzeczać, że taki wypadek, zamordowanie samotnie jadącej dziewczyny pod laskiem Bielańskim mógł się przydarzyć; okolice tamtejsze dziś jeszcze nie cieszą się zbyt dobrą sławą, a cóż dopiero przed dwustu laty, gdy las był większy, okolica bardziej pustą, a sam kościół i erem budował się dopiero. Mogli zbójcy napaść na wracającą z Warszawy z wyprawą ślubną narzeczoną, mógł narzeczony na widok zamordowanej swej przyszłej, paść trupem na miejscu; wszystko to być mogło i niezwykłością, dramatycznością i okropnością zdarzenia wyręć się głęboko w pamięci ludzkiej; wątpliwem jest wszakże, czy kolumna, stojąca niegdyś na polu pod Bielaniem, na pamiątkę zamordowanej narzeczonej została wzniesioną i na szczycie swoim dźwigała romantyczne wyobrażenia dwóch serc, związanych na wieki, i zaklętych w kamiennej pamiątce.

Przypatrzwszy się bowiem bliżej szczytowemu zakończeniu kolumny, przekonywujemy się, że nie było ono wyobrażeniem dwóch serc związanych, ale przedstawiało poprostu mitrę, czy czapkę książęcą, która skutkiem starości rozpołowiła się od wierzchu, mimo spojenia żelazną klamrą. Przypuszczać należy, że niegdyś, gdy tę kolumnę wznoszono, kończyła się ona gałką i krzyżem, które z czasem uległy zniszczeniu. Jakoż w rzeczy samej wspomniany już przez nas pan I. Starożyk, który tę kolumnę przed jej zniszczeniem opisał i rysunek jej pomieścił w „Tygodniku ilustrowanym“, zapewniał nas, że wdartwszy się po drabinie na szczyt pomnika, znalazł na wierzchu leżący krzyżyk żelazny, który, nie chcąc żeby zginął, wsunął między rozpadłe części mitry kniaziewskiej.

¹⁾ J. Starożyk (Tyg. Illustr. z r. 1872), słyszał w tej formie opowiedzianą sobie tę legendę przez ojca R. H. Kameduła, zamieszkałego od lat 40 w eremie Bielańskim. Mniej więcej w tej samej formie znana jest ona ludowi warszawskiemu.

W każdym razie interesującą jest rzeczą zbadanie, jakie znaczenie miała ta kolumna, z jakiego powodu i na jaką pamiątkę została wzniesiona, zdała za miastem, pod laskiem Bielańskim. Wskazówek niema żadnych, bo oprócz wyrytego na obramowaniu piedestału 1669 roku, żadnego napisu nie było, choć wnęki będące w tymże piedestale świadczyły, że miano zamiar umieścić w nich tablice z napisami, ale tego wcale nie uskutecznilo, dla powodów nam nieznaných.

Pozostaje więc tylko rok, który nam winien służyć za przewodnika w odgadnięciu, jeżeli nie czystej prawdy, to możliwego prawdopodobieństwa.

Cóż się więc stało w tym roku 1669; jaki zaszedł ważny fakt historyczny, któryby był godzien upamiętnienia wzniesieniem kolumny kamiennej?

W roku tym nastąpił wybór księcia Michała Korybuta Wiśniowieckiego na króla polskiego. Ztąd to pochodzi, że pan I. Starożyk, który u nas pierwszy o tej kolumnie pisał, zrobił bardzo prawdopodobne przypuszczenie, że kolumnę tę król Michał na pamiątkę swego wyboru wzniesić kazał. Za przypuszczeniem tem jest wiele danych, ale też jest i wiele wątpliwości.

Król Michał w rzeczy samej okazywał wiele przyjaźni dla Bielańskich Kamedułów, i jak zapewniają niektórzy, żywił szczególną cześć dla św. Romualda, założyciela eremów kamedulskich. Zaledwie obrany został królem, już w parę dni potem, d. 21 czerwca, w dzień św. Romualda, założył fundamenta pod budowę murowanego kościoła na Bielanych, bo dotąd eremici posiadali drewniany. Według niektórych doniesień, będąc jeszcze prywatnym człowiekiem, bardzo często służywał na Bielanych do Mszy św. W czerwcu 1673 r. na kilka zaledwie miesięcy przed swoją śmiercią, uczestniczył on w uroczystości religijnej, podnoszącej znaczenie ulubionych przezeń Kamedułów Bielańskich. W obecności bowiem i przy udziale królewskim przeniesiono obraz św. Bonifacego, arcybiskupa mogunckiego, który jako Benedyktyn był w szczególnej wraz z św. Romualdem czci u Kamedułów. Obraz ten, przy stosownym obrzędzie, zdjęto z ołtarza w kollegiacie św. Jana i poniesiono procesjonalnie przez Rynek Starego Miasta ku kościołowi OO. Dominikanów, a następnie ulicą Mostową ku Wiśle. Krypta odpowiednio przystrojona przy muzyce i pieśniach przewiozła obraz na Bielany, gdzie w obecności królewskiej biskup nominat płocki, Madaliński, uroczyście ołtarz poświęcił. Po tem wszystkim król Michał podążył do celi ojca przeora i tu dał posłucha-

nie postłowi moskiewskiemu ¹⁾. Umierając we Lwowie w tymże 1673 r., nie zapomniał w testamencie o ulubionych swoich Kamedulach i polecał: „serce moje, w dowód przychylności, u OO. Pustelników Kamedulów, na górze Królewskiej pod Warszawą, w kościele tamecznym, którego budowę rozpocząłem, chcę aby umieszczono. Na dokończenie tego gmachu przeznaczam sumę w kodycyłach wypisać się mającą“ ²⁾.

Wszystko to czyni bardzo prawdopodobnem przypuszczenie, że dla uwiecznienia pamiątki swego wyboru na króla, kazał on wznieść w pobliżu ulubionych Bielan, ową kamienną kolumnę samotną, o której mówimy; że zapewne zamyślał w przygotowanych po temu wnękach w piedestale pomieścić odpowiednie napisy, ale krótkie i burzliwe panowanie, rzadki pobyt w Warszawie, wreszcie śmierć przedwczesna, stanęła temu na przeszkodzie i kolumna pozostała bez żadnych wskazówek swego pochodzenia, tajemnicza i opuszczona.

Przeciw jednak tym przypuszczeniom można postawić bardzo poważne zarzuty. Jeżeli bowiem król Michał wzniósł tę kolumnę, to czemuż jej szczyt uwieńczył mitrą kniaziowską, a nie koroną królewską? Wszak nie stawiał jej przed swym wyborem, bo najprzód był to książę zupełnie zrujnowany, a potem, jakizby miał powód wznoszenia tutaj na pustkowiu, samotnej kolumny? Wreszcie rok 1669, rok jego wyboru, stanowczo sprzeciwia się temu, by kolumnę wznosił jako książę jeszcze, a nie jako król. Czemuż więc nie umieścił na jej szczycie korony królewskiej?

Nie umiemy na to odpowiedzieć, i ta wątpliwość podkopuje mocno wiarogodność przypuszczenia, że kolumnę ową wzniósł król Michał. Wprawdzie możnaby sądzić, że stawiał ją przed swą koronacją, która odbyła się w Krakowie, w tymże roku w jesieni, ale u nas król raz obrany, był pomimo nieukoronowania się, królem. Wszak następca Michała, Jan Sobieski, koronację w obec wojny tureckiej odłożył na później, a mimo to nikt nie przeczył mu prawa do tytułu i przywilejów królewskości. Hipoteza więc ta ostać się nie może.

Chcąc rzecz gruntowniej zbadać, czyniliśmy poszukiwania w aktach podskarbiów nadwornych, zachowanych w czę-

¹⁾ *Wł. Korotyński*, Bielany („Kurjer Warsz. N. 155, z r. 1897).

²⁾ Testament ten czytać można w całości w Klimakterze IV W. Kochowskiego.

ści w tutejszem archiwum głównem, w tej nadziei, że jeżeli owa kolumna była stawiana kosztem króla Michała, to przecież w aktach tych powinien się znaleźć jakiś ślad wydatków na ten cel zrobionych. Niestety, akta te nie są w całości zachowane, a w tych szczątkach, jakie istnieją, żadnej wzmianki o owej kolumnie nie napotkaliśmy.

Bądź co bądź pozostaje rzeczą wątpliwą, czy w istocie kolumnę tę stawiał król Michał. Nie istnieje ona już dzisiaj i gdyby nie opis i rysunek p. Starożyka, zgoła nie wiedzielibyśmy o tej pamiątce. Dziś obalona, potłuczona, leży w zupełnej ruinie, a żołnierze pobliskich obozów biorą z niej całe kawały piaskowca dla czyszczenia lub ostrzenia broni. Staraliśmy się wywieźć, kiedy ostatecznie ten zabytek przeszłości i z jakiego powodu popadł w zupełne zniszczenie. Nie umiano mi bliżej określić czasu, dość, że stało się to w ostatniem dziesięcioleciu, a za główny powód obalenia się kolumny opowiadano następującą, bardzo osobliwą historję.

Miała mianowicie istnieć w Warszawie rodzina, w której tradycyjnie przekazywano z ojca na syna wiadomość, że pod ową Bielańską kolumną zakopane zostały w 1812 roku wielkie skarby, które jednak winny być użyte na cele ogólnej i najpoważniejszej doniosłości. Rodzina ceniąc ten warunek, skarbów tych nie tykała, aż w ostatnich czasach, gdy dzięki prądom materialistycznym i filisterskim, tego rodzaju podniosłe cele poczęto uważać za głupstwo, członkowie tej rodziny wybrali się nocą na Bielany i skarby odkopali. Dół, który w tym celu wybrali, miał być kilkułokciowej głębokości, tak że zachwiali fundamentami kolumny.

Gdy głucha wieść o tem rozeszła się, poczęli inni kopać, przyczem w pobliżu kolumny miano znaleźć kościotrup męczyzny i dziecka. Nie śmiemy twierdzić, czy to wszystko, co tu podajemy, jest prawdą, nie ulega jednak wątpliwości, że pod kolumną kopano i że wskutek tego osłabiła się ona, popękała na części i tym sposobem jeden więcej z pomników przeszłości zniknął na zawsze z okolic Warszawy, tak wogóle ubogiej w starożytne pamiątki.

III.

Tajemnicze szkielety.

Od czasu do czasu, w pismach perjodycznych warszawskich pojawiają się krótkie doniesienia, że tu i owdzie, przy kopaniu ziemi w mieście, natrafiono na jakiś szkielet, a nawet całe grupy szczątków ludzkich, których pochodzenia i historii nikt nie zna, i które niewiadomo zkad tam się wzięły. Zwłaszcza w ostatnich kilkunastu latach, przy prowadzeniu robót kanalizacyjnych i wodociągowych, wykryto znaczną ilość tego rodzaju szkieletów, częstokroć w podwórzach domów, gdzie nigdy nie było cmentarzy i gdzie nikt nie spodziewał się napotkać czegoś podobnego. Wykopalska takie z natury rzeczy, już przez to samo, że pokryte są głęboką tajemniczością, musiały przybrać w wyobraźni ludu barwę jakichś skrytych morderstw, owiniętych na zawsze nieprzejrzaną zasłoną. Tem szersze więc pole miała fantazja ludowa do tworzenia fantastycznych legend o owych szkieletach, nagle i niespodziewanie jawiących się z pod ziemi, gdzie nieraz całe setki i dziesiątki lat spoczywały.

Chcemy tu podać opis kilkunastu takich odkryć, o ile one doszły do naszej wiadomości i przyczyny ich ukrycia w ziemi wyjaśnić. Nie zawsze nam się to uda, bo nie zawsze to jest możliwem; częstokroć niema najmniejszych nawet wskazówek, któreby dozwoliły, nie już rzecz samą wytłumaczyć, ale nawet stawiać mniej lub więcej prawdopodobne przypuszczenia. W wielu wypadkach głęboka tajemnica na wieki pokryła historję danego szkieletu; w wielu razach należy sądzić, że jest on szczątkiem człowieka, który padł ofiarą tajnego i przez sprawiedliwość ludzką nie wykrytego nigdy morderstwa.

Szkielety te znajdowano w różnych dzielnicach miasta i w różnych warunkach. Zaczniemy od Staromiejskiej okolicy, bo jej się z wieku i urzędu ten zaszczyt należy.

Stosunkowo nie wiele tu znaleziono takich tajemniczych kościotrupów, ale te, które znaleziono, zakopane były wśród tak szczególnych warunków, że w istocie każą przypuszczać skryte morderstwo. W r. 1893, w maju, przy prowadzeniu robót kanalizacyjnych w domu N. 5/145 na Szerokim Dunaju, w głębi maleńkiego podwórza, tuż przy wejściu do mieszkania stróża, natrafiono na szkielet ludzki, zupełnie zcier-

niały, zaledwie pokryty cienką warstwą ziemi i bruku. Kościotrup leżał twarzą do ziemi, tak, że kopiący za pierwszym poruszeniem rydła uderzył w tył czaszki i rozbił ją zupełnie. Nikt tego szkieletu nie oglądał, pochowano go zaraz na cmentarzu na Brudnie, stąd niewiadomo, czy nie było na nim jakich znaków, mogących zdradzić tajemnicę jego tak osobliwego spoczynku na dzielnicy staromiejskiego domu.

Na dwadzieścia lat przed owym wykryciem tajemniczego kościotrupa na Dunaju Szerokim, w r. 1872 na Kanonji, w domu, oznaczonym № 16, przy oczyszczaniu starych piwnic, znaleziono dość znaczną ilość kości ludzkich. Zdaje się, że niegdyś koło kościoła Św. Jana, zwyczajem średniowiecznym, był cmentarz, na którym z czasem wzniesiono t. zw. kanonje, czyli domy dla kapituły zrazu kollegjackiej, a potem katedralnej. Przypuszczenie to znajduje potwierdzenie w tym fakcie, że gdy w r. 1882 przeprowadzano rury gazowe, a we wrześniu 1895 r. kanał pod № 22 na tejże Kanonji, natrafiono również na wielką ilość kości ludzkich. Kości te pochowano na cmentarzu Powązkowskim.

Na Podwale w paru miejscach i w różnych czasach znaleziono także szczątki ludzkie. W r. 1888, gdy kopano kanał na tej ulicy, przy zbiegu jej z placikiem na Nowomiejskiej, natrafiono na mnóstwo kości ludzkich i zwierzęcych, pomieszanych ze sobą bezładnie. Grunt tu był mokry i grząski, mimo to szczątki te wcale nieźle się zachowały. Ponieważ miejscowość ta leży w pobliżu dawnej bramy Nowomiejskiej, do której główny szurm był przypuszczany w r. 1656 za Jana Kazimierza, w czasie odbierania Szwedom Warszawy, więc przypuszczać należy, że kości te są szczątkami Szwedów, poległych tutaj. W epoce owej miejsce to stanowiło fosę, do której zapewne wrzucono ciała i tam je pochowano. Hipoteza ta jest bardzo prawdopodobną.

Inaczej się atoli rzeczy mają z odkryciem, jakie uczyniono w r. 1889 w domu № 11/499 na rogu Podwala i ulicy Kapitulnej. W roku owym dom rzeczony przebudowywano z gruntu, i pod podłogą jednego z pokoi parterowych znaleziono szkielet ludzki, dobrze zakonserwowany. Nie uległ wątpliwości, że natrafiono tutaj na ślad jakiegoś skrytego i nigdy niewykrytego morderstwa. Starsi mieszkańcy tej dzielnicy miasta utrzymywali wówczas, gdy się wieść o tem tajemniczym szkielecie rozeszła, że w domu owym i właśnie w tem samym mieszkaniu, pod podłogą którego spoczywał snem nieprzespanym kościotrup ludzki, niegdyś był szynk czy kawiarnia, używająca bardzo złej opinji. Przypominano sobie nawet jakiegoś mieszkańca Podwala, który nagle gdzieś

przepadł bez wieści, tak że ani rodzina, ani znajomi nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało. Przypuszczano więc, że w szynku tym padł on ofiarą skrytobójstwa, by po dwudziestu sześciu latach dać znać o sobie nagim i napół zmuszonym szkieletem. Oczywiście gawędy te na żadnych pozytywnych dowodach oparte nie były.

W dniu 13 maja 1896 r., gdy kopano ziemię pod nowe bruki na Zjeździe, przy zbiegu z placem Zamkowym, natrafiono na obszerny grób sklepiony, w którym oprócz kości ludzkich, znaleziono szczątki trumien. Niezwykłe to widowisko zgromadziło tłumy gapiów warszawskich, którzy zaczęli snuć najrozmaitsze fantastyczne historie. Tymczasem istnienie tutaj grobu i trumien da się bardzo łatwo wytłumaczyć. W tem miejscu bowiem, gdzie się dziś poczyna Zjazd, istniał niegdyś kościół i klasztor PP. Bernardynek, który zniesiono jeszcze w r. 1819, a same gmachy, zrazu obracane na różny użytek, zburzono doszczętnie w r. 1844 i na tem miejscu urządzono wspaniały Zjazd do mostu na Wiśle. Odkryty wypadkiem grób był zapewne szczątkiem sklepów, znajdujących się zwykle pod kościołami, w których chowano dostojniejszych zmarłych; a może to był grób samych zakonnic. Zebrane kości i trumny pochowano na cmentarzu na Brudnie.

Gdy w r. 1861 zakładano rury wodociągowe na Krakowskim-Przedmieściu, wprost szpitala św. Rocha, znaleziono mnóstwo kości ludzkich, które zaraz pod powierzchnią ziemi, całemi stosami leżały. Śladu trumien nigdzie nie odzyskano, co zdawało się świadczyć, że ciała chowano naprędce, pokotem i w znacznej ilości. Podówczas zaraz zrobiono przypuszczenie, które znalazło odgłos nawet w dziennikach, że pochowano tu Szwedów, poległych w czasie szturmie Warszawy w r. 1656. Przypuszczenie to jednak nie wydaje się prawdopodobnem. W dokumentach piśmiennych z tej epoki nie natrafiłszy nigdzie na ślad takiego improwizowanego cmentarzyska.

W r. 1895, w Maju, podczas robót kanalizacyjnych pod fundamentami domu Nr. 1, na temże Krakowskiem Przedmieściu, znaleziono znaczną ilość kości ludzkich, które zebrane razem przewieziono na cmentarz na Brudnie. W rok potem, w Listopadzie, przy rozkopywaniu podwórza w tejże samej posesji, znaleziono cztery czaszki i 66 piszczeli ludzkich. Pochodzenie tych szczątków łatwo wytłumaczyć. Rzeczona posesja stanowiła niegdyś własność ks. Misjonarzy i prawdopodobnie dziedziniec jej stanowił cmentarz grzebalny przy kościele Świętokrzyżkim.

W tymże 1895 roku, w Lipcu przy kopaniu ziemi na terytorjum posesji Nr. 23 przy ulicy Bednarskiej, natrafiono na znaczną ilość czaszek i kości ludzkich. Znalezione w tym domu szczątków rzeczonych tłómaczy się tem, że stanowił on niegdyś własność klasztoru OO. Karmelitów i prawdopodobnie chowano tu niegdyś ciała zmarłych. Dom ten nosił nazwę „domu karmelickiego“.

Wspomnieć jeszcze należy o dwóch wykopaliskach tego rodzaju w dzielnicy staromiejskiej. W r. 1854 przy robotach wodociągowych na placu Nowomiejskim, gdzie dawniej mieściła się wspomniana już tutaj brama Nowomiejska, znaleziono piwnice sklepione, a w nich kilkanaście kościotrupów ludzkich ¹⁾. Rozmaite podówczas robiono przypuszczenia i mówiono, że to są szczątki nieszczęśliwych więźniów, może głodem zamorzonych; najprawdopodobniej jednak pochowano tu ciała poległych przy szturmie do owej bramy za Jana Kazimierza. W r. 1853, także przy robotach wodociągowych, prowadzonych około kolumny Zygmunta III, znaleziono znaczną ilość kości ludzkich i zwierzęcych, „które razem zebrane, jak opowiada sprawozdawca ²⁾, mogły być napełnić ćwierć korca ostatniej miary polskiej.“ Żkąd one się tam wzięły, trudno dziś odgadnąć.

Przechodzimy do innych dzielnic miasta. W Listopadzie 1896 r. przy robieniu wykopów kanalizacyjnych w domu Nr. 16 przy ul. Bielańskiej znaleziono cztery szkielety ludzkie, dobrze zachowane, i to nie w jednym miejscu, lecz w odstępach na linii wyznaczonej pod kanał. Ten osobliwszy układ kościotrupów zbudził mniemanie, że na terytorjum tem więcej się musi znajdować tego rodzaju szczątków ludzkich, ale nie robiono dalszych poszukiwań, owszem, odkopane szkielety dla oszczędności, ażeby nie odsyłać ich na cmentarz, napowrót przysypano ziemią. Odkrycie to wywołało wśród okolicznych mieszkańców niezwykłą sensację. Ponieważ niegdyś na terytorjum rzeczonoego domu mieścił się zajazd Białostocki, gdzie jeszcze do r. 1863 furmani frachtowi stawali, więc utworzono na przedce legendę, że owe cztery szkielety ludzkie są szczątkami ofiar, zamordowanych w tymże zajęździe. Legenda ta jednak niema żadnej podstawy. W pobliżu tego domu, przy zbiegu ulicy Długiej i Nalewki, gdzie później mieściły się t. z. „warsztaty artyleryjskie“ aż do r. 1807 istniał kościół św. Trójcy i klasztor Panien Brygidek. Przypusz-

¹⁾ A. Weinert w „Gazecie Warszawskiej z r. 1854 № 150“

²⁾ A. Weinert. Starożytności Warszawy. IV, 409.

czenie jednak, ażeby aż do posesji Nr. 16 na ulicy Bielańskiej rozciągał się ementarz klasztorny, na którym miały być pochowane znalezione przed kilku laty cztery szkielety, jak się zdaje, nie jest uzasadnionem. Prędzej sądziłoby można, że są to ofiary strasznej zarazy morowej, która w początkach XVIII wieku nawiedziła Warszawę. Panny Brygidki, jak i inne klasztory warszawskie, czynną niosły pomoc chorym na mór, nawet wszystkie na tę straszną epidemję wymarły, być więc może, iż znalezione na ulicy trupy, chowano gdzie się da, poza murem klasztornym. Nie twierdzimy, by tak koniecznie było, by szkielety z pod Nr. 16 były szczątkami ofiar morowego powietrza, ale jest to najprawdopodobniejszem. Legenda zaś o tajemniczem morderstwie w zajeździe Białostockim niema żadnej uzasadnionej podstawy.

Takie same zapewne jest pochodzenie licznych kości ludzkich, znalezionych dwukrotnie na terytorjum, należącym do koszar straży ogniowej na Nalewkach. We Wrześniu 1893 r. mianowicie, przy rozpoczęciu robót kanalizacyjnych w tej obszernej posesji, natrafiono na znaczną ilość kości ludzkich. W trzy lata potem, w Październiku 1896 r. przy budowie jamy wywozowej, znów znaleziono także szczątki ludzkie. Tradycja przytem mówi, że w tem miejscu, w różnych czasach i przy różnych robotach, zawsze znajdowano kości, a nawet całe szkielety ludzkie. Niewątpliwie są to ślady dawnego ementarzyska zmarłych w r. 1710 na morowe powietrze.

W tymże 1896 r. w Maju, również na Nalewkach, w domu pod Nr. 12 natrafiono, zawsze w czasie robót kanalizacyjnych, na rozsypane już szkielety, których miała być znaczna ilość. Nie umiemy wytłomaczyć ich pochodzenia w tem miejscu. Dom Nr. 12 znajduje się poza ogrodem Krasińskich; okolica ta niezem w historii miasta się nie zaznaczyła, rzecz więc pozostaje niewyjaśniona.

Ale takich niewyjaśnionych zagadek w kwestji, o której tu piszemy, jest więcej w Warszawie. Któż np. dziś odgadnie, zkąd się wzięły kości ludzkie na dziedzińcu zabudowań Bankowych przy ulicy Elektoralnej? Gdy bowiem w r. 1864 zaprowadzano w tychże gmachach wodociągi, znaleziono niezbyt wielką ilość szczątków ludzkich. W tymże roku w pobliskim szpitalu św. Ducha, a raczej na placyku przed nim, przy takich samych robotach wodociągowych, odkopano fundamenta jakiejś budowli i kości ludzkie. W ogólności ulica Elektoralna wydaje się być jakimś wielkiem ementarzyskiem, o którym jednak niemamy żadnych wiadomości autentycznych. W Listopadzie 1893 r. bowiem, gdy na tej

ulicy kopano kanał, na przestrzeni od Solnej do Białej, natrafiono na tak znaczną ilość czaszek, piszczeli, goleni itp. kości ludzkich, że zapewniono niemi trzy beczki po cemencie i odwieziono na Brudno. Istnienie tych szczątków w tej miejscowości ostanta głęboka tajemnica.

Niemniej tajemnicą pokryte jest pochodzenie około 30 czaszek ludzkich i kości, znalezionych w Maju 1896 r. przy kopaniu dołów pod fundamenta wznoszącego się wówczas domu. Czaszki te przeniesiono nawet na istniejącą wtedy wystawę higieniczną dla dokonania na nich, jak donosiły pisma brukowe, pomiarów antropologicznych. Otóż pomiary te podobno wykazały, że czaszki te pochodzą przeważnie z końca XVI wieku; ale tego rodzaju determinacja wydaje nam się bardzo wątpliwą. Przypuszczano już wtenczas, że w tem miejscu musiał być „w czasach bardzo odległych cmentarz”. Nie sądzimy jednak, że to były czasy tak bardzo odległe. Sąsiedztwo szpitala i cmentarza ewangelickiego, jaki dawniej przy tymże szpitalu istniał i którego ślady i pomniki grobowe do dziś dnia się zachowały, zdaje się wskazywać, że cmentarz ten dawniej znacznie był rozciąglejszy i sięgał aż pod dzisiejszy numer 7-y na ulicy Mylnej.

Zbierzmy teraz pokrótce wiadomości o wykopaliskach kości ludzkich na innych ulicach Warszawy. W Listopadzie 1897 r. przy urządzeniu skweru na placu Grzybowskiim znaleziono trzy czaszki i inne szczątki ludzkie. W tymże roku w Lipcu przy kopaniu dołu pod fundamenta nowej oficyny domu Nr. 10 przy ulicy Ciepłej znaleziono mnóstwo zbutwiałych kości ludzkich. W Sierpniu 1896 r. przy kopaniu kanałów na ulicy Kotzebue znaleziono szczątki kości ludzkich, oraz pewną liczbę pieniążków srebrnych małej wartości. W Październiku 1893 r. w czasie robót kanalizacyjnych w domu Nr. 12 przy ulicy Nowy Świat wykopano kości ludzkie zupełnie zbutwiałe. We Wrześniu 1898 r. przy urządzeniu ogrodu, należącego do Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, natrafiono w głębokości łokcia na szkielet człowieka dorosłego, tak zbutwiał, że się za dotknięciem rozpadł. Zkąd on się tu wziął w głębi ogrodu ten samotny szkielet?...

Ale największą, niemal olbrzymią ilość kości ludzkich, ogromne cmentarzysko, znaleziono przy zbiegu ulicy Szpitalnej i Hortensji. W r. 1892 poczęto w tem miejscu kopać doły pod fundamenta mającej się wzniesć wielkiej i okazałej kamiennicy. Robotnicy, zajęci kopaniem, natrafili w głębokości dwóch łokci na znaczną liczbę kości ludzkich. Stosy czaszek i piszczeli zwabiły tłumy ciekawych, pomiędzy

którymi poczęły zaraz krążyć pogłoski, iż są to szczątki ludzi pochowanych po jakiejś wielkiej bitwie, lub też zmarłych na zarazę morową. I w rzeczy samej co do pierwszego przypuszczenia nie mylono się wcale.

Kości tych była tak ogromna ilość, że wywieziono je na cmentarz brudzieński na dziesięciu wozach szpitalnych. Szczątki były pogrzebane w czterech wielkich dołach, a w jednym z nich, najobszerniejszym i najgłębszym, położonym w bliskości ulicy Szpitalnej, ciała ułożone były w cztery warstwy, jedna na drugiej, a każda warstwa była przesypana ziemią, bez trumien i jakichkolwiek śladów odzieży. Natrafiono tylko na jednego nieboszczyka w trumnie, na pół już przegniłej. W ogólności były to czaszki mężczyzn młodych, liczących od lat 18 do 30 i mniej więcej przed stu laty zmarłych. Cmentarz ten ciągnął się od ulicy Zgoda, przecinał Szpitalną, Hortensją aż do Nowego Światu, a na szerokość od placu Wareckiego sięgał do Chmielnej. To też w tych miejscach oddawna przy budowie domów natrafiano na obfitą ilość szczątków ludzkich. Już w r. 1861, przy kopaniu dołów pod fundamenta domu niegdyś Neubaura (róg Szpitalnej i placu Wareckiego) napotkano tyle kości ludzkich, że dla ich pomieszczenia musiano osobny dół kopać. Zdaje się, że w r. 1892 natrafiono na ten dół, piąty z kolei, w części murowany, w którym złożone były kości. Szósty wielki dół znaleziono przy chodniku ulicy Szpitalnej. Z położenia szkieletów przekonać się można było, że ciała nieboszczyków grzebano w poprzek ulicy Szpitalnej.

Że w tem miejscu i w granicach wyżej oznaczonych istniał cmentarz, świadczył do niedawna skromny pomnik, w kształcie obelisku, stojący w ogrodzie szpitalnym, obok budynku dla kobiet obłąkanych. Wyciosany on był z piaskowca, zakończony trupa głową i wizerunkiem Ukrzyżowanego Zbawiciela, a na piedestale miał wyryty napis:

*„Boże, bądź miłościw zmarłym w szpitalu od r. 1757,
a tu do 30,000 pogrzebionym A. O. 1799“.*

Z drugiej strony piedestału tego pomnika wyryty był plan granic cmentarza, z wymiarami długości i szerokości z każdej jego strony. Obecnie, przy zniesieniu Szpitala Dzieciątka Jezus, pomnik ten usunięto i podobno ma być on przeniesiony na Cmentarz Powązkowski, co niekoniecznie wydaje nam się trafnem. Czy nie lepiej by było zostawić go na miejscu, na pamiątkę dawnego cmentarzyska i tyłu mogił, na grobowcach których wznoszą się i wznosić będą koszarowe kamienice nowoczesne? Niechby w jakim ustronnym

kąciku, w odpowiednim otoczeniu stał dalej ten pomnik śmierci.

Na Pradze także w ostatnich czasach dokonano kilku tego rodzaju odkryć. Umieszczamy je tutaj w porządku chronologicznym, o ile oczywiście doszły one do naszej wiadomości. Więc najprzód w Lutym 1893 r. na pustym placu przy ulicy Białostockiej, przy wydobywaniu piasku, znaleziono szkielet, który według dziennikarskich doniesień, miał tam leżeć koło trzydziestu lat... W Sierpniu tegoż roku, za rogatką Żąbkowską przy kopaniu dołu znaleziono czaszkę ludzką i mały szkielet, samotnie tu spoczywający. W obu tych wypadkach należy przypuszczać tajne i nigdy niewykryte morderstwo.

Ale najważniejszym na Pradze było odkrycie wielkiego mogilnika w Maju 1895 r. na ulicy Wołowej. Prowadzono tam wtedy roboty grabarskie pod kierunkiem inżyniera Preysa i w stronie zachodniej od ulicy Skaryszewskiej natrafiono na wielką ilość trumien, względnie dobrze zachowanych, wśród których było bardzo wiele dziecięcych. Te jednak po większej części zgniły. Trumny leżały nader blisko powierzchni ziemi, prawie na pół łokcia i widocznie chowano je z pośpiechem.

Nareszcie w Listopadzie 1897 roku na ulicy Żąbkowskiej, przy budowie zakładów dla monopolu wódczanego, znaleziono dość znaczną ilość kości ludzkich, a nawet całych szkieletów. Zdaje się, że spoczywały one tutaj koło trzydziestu kilku lat.

Na tem kończymy naszą ponurą, zaiste, litanią cmentarnych wykopalisk. Zdawaćby się mogło i jest tak do pewnego stopnia, że w Warszawie, gdzie poruszyć tylko ziemię, tam leżą pod nią ukryte częstokroć tajemnicze kościotrupy. O ile mogliśmy, daliśmy co do niektórych bliższe lub prawdopodobniejsze objaśnienia, ale ileż to niewyjaśnionych pozostało, a ile jeszcze drzemie snem nieprzespanym pod naszymi stopami!

W. P.

Wielkanoc żydowska.

Powiastrka humorystyczna.

(Z hebrajskiego).

Niedawno zmarły autor tej powiastrki, H. Nejmanowicz, rodem z Lublina, należał do bardzo nielicznych żydów polskich, którzy pisząc po hebrajsku, życzliwem okiem patrzą i przyjaźnie sądzą miejscowe stosunki polskie. Pisał też sam po polsku i był przez jakiś czas współpracownikiem pism polskich, co należy do większych jeszcze wyjątków w sferze literatów hebrajskich.

W powiastrce, którą dajemy w przekładzie polskim — a raczej w streszczeniu, ze względu na jej rozmiary i styl wschodni, nie nadający się do właściwego tłumaczenia — autor maluje w sposób istotnie charakterystyczny życie żydów na wsi polskiej i w małych miasteczkach, odstawiając szczegóły i tajniki bytu tego Okraszu zaś wszystko humorem.

O życie żydów chałatoowych ocieramy się codzień, wpływając oni bardzo na nasz dobrobyt, na pomyślność rodzin i społeczeństwa całego, a o ich wewnętrznych sprawach żadnego niemal nie mamy pojęcia. Taki stan rzeczy musi szkodę przynosić. To też sądzymy iż należy korzystać z niezbyt bogatej miejscowej literatury żydowskiej i w niej chociaż poznawać obyczaje najbliższych, a tak często obcych sąsiadów. Czytelnicy przekonają się z poniższej nowelki, że to są szczególni ludzie, pod wieloma względami niepodobni nawet do znanego nam święta.

I.

Nieopodal Janowa, na skraju wsi Rudnicy, obok mlyna, stoi domek drewniany, który tem się różni od chat wiej-

skich, że dach nie jest kryty słomą, lecz gontami; za szymbami widnieją firanki brudnobiałe. Na oddrzwiach przy wejściu wisi z jednej strony przybity kawałek papieru, zapisanego wewnątrz, a zwanego „mezyzą“. Ozdoba ta, powalana przytem błotem i gnojem, świadczy, że żyd mieszkanie to zajmuje.

Reb Gdale, właściciel młyna, mieszka już tutaj z żoną Blimą lat ośmnaście, w dobrobycie pędząc żywot, gdyż oprócz młyna, ma jeszcze stosunki z dziedzicem wsi; zdarzało się zaś przeważnie, że na interesach tych tracił grubo dziedzic, a zarabiał Gdale, który też dziękował Bogu za to „szczęście“.

W miarę wzrastania majątku gdalowego, przybywało żydowi sprytu i przewrotności, zaostrzył się jego rozum, a ten, jak wiadomo, częstokroć nie chadza w parze z uczciwością.

Gdale też nie przebierał w środkach, prowadzących do wzbogacania się szybkiego. „Kto ma sto, pragnie dwustu“ — orzeka talmud; Gdale nie zadawał się tem, co dotychczas uzbierał, i dalej nie opuszczał żadnej sposobności, nie hacząc na to, czy zgadza się ona z zasadami czystego sumienia, lub z prawami obowiązującymi. Owszem, miał się wszystkiego oburącz.

Aż przysła katastrofa. Gdale grubo się zaplątał w jakąś sprawę nieczystą, a zdradził go jeden z dwudziestu żydów, mieszkających w sąsiedztwie. Parę tysięcy chrześcian z okolicy znało również Gdale, żaden jednak mu nie zazdrościł majątku. Mieli go za szachraja skończonego, ale mówili sobie: „Przecież to żyd! A któryż żyd lepszy?“ Chrześcianie przytem byli zawsze zajęci pracą koło roli i dobytku i nie mieli czasu myśleć o Gdali. Żydzi zaś na wsi, próżnując często po całych dniach, ogromnie mu zazdrościli powodzenia niezwykłego; w końcu znalazł się jeden, który doniósł, gdzie trzeba, o sprawkach młynarza.

I od trzech miesięcy siedzi Gdale w Warszawie, lata po sądach i konferuje z adwokatami, usiłując się oczyścić z zarzucanych mu występków. Żona jego Blime oczekuje z niecierpliwością powrotu męża do domu na święta wielkonoce, rozpoczynające się już za dwa dni. Lecz przed wie-

czorem otrzymuje list od męża, który jej pisze: „Wątpię bardzo, czy uda mi się wrócić na święta; czasu mało, a roboty dużo“.

Blime, zrozpaczona, rozplakała się gorzko, i nie spała noc całą, martwiąc się nietyle o osobę męża, z którym zresztą nie kochali się zbyt gorąco, ile o to, że nie będzie miała „króla“ na dwie noce świąteczne podczas „sederu“, ceremoniji, odprawianej przy pierwszych dwóch kolacjach święta „Pesach“, trwającego dni ośm.

Jako bowiem kobieta, nie uczona w „chederze“, ani nie obowiązana do pełnienia czynności religijnych, z wyjątkiem trzech: kąpieli rytualnej, palenia „chały“ i zapalania świec w piątek wieczór, — nie miała innej roli, jak piastowanie godności „królowej“ przy mężu, podczas wielkanocnego sederu.

Uważała też męża za wielce uczonego w rzeczach wiary i rytuału, miała go za lepszego od sąsiadów, którzy byli „prostymi wieśniakami“, nie znającymi się na „małych literkach“.

— Jego czytanie „tory“, jego mówienie psalmów, są droższe od pereł i złota szczerego: on nie ma sobie równego we wszystkich wsiach w około — chwaliła Blime swego męża, który w istocie, będąc bardzo bogaty, z łatwością odgrywał rolę uczonego, choć nie miał o niczem pojęcia. Czytanie „tory“ było rzeczywiście „jego“, bo Mojżesz, jej twórca, nie poznałby swego dzieła w tem czytaniu; toż samo z „mówieniem psalmów“, którychby nie zrozumiał król Dawid.

Ale Blime nie miała zmysłu krytycznego. Bardzo więc była stroskana na wieść o tem, że mąż nie przyjedzie na „seder“.

— Co teraz zrobimy?—mówiła nazajutrz rano do „meszuresa“ Binema, młodego, pracowitego młynarczyka swego—pan („bał-bues“) nie wróci na Pesach do domu, kto nam urządzi „seder“? kto opowie szczegółowo o wyjściu żydów z Egiptu? kto nam będzie dawał wskazówki, jak i kiedy się zajada „macę“ i ziola gorzkie, i pije cztery kielichy wina?

— Niech się pani („bałbuste“) nie troska! — odrzekł Binem dobrodusznie—a gdzie ja jestem? Przecież i ja potrafię chodzić koło tego. Wiem, co się robi z kieliszkami, z pieczonką i z jajem, jak maczać pietruszkę w maści „chrojses“, jak „mace“ połamać i maczać je w wodzie słonej, i jak się owija razem „macę“ z pieczonką. Prawda, że rok jest długi, i nie można mieć wszystkiego w pamięci, ale jak tylko zajrzę do „Hagady“ (opisu książkowego tej ceremonji), to mi już pójdzie gładko, pojedę, jak po szosie.

— Idź do djabła, głupi durniu! Co tobie do „Hagady“, idź lepiej do koni i krów, z niemi wiesz, jak się obchodzić, a nie z tem, co należy do znawców „tory“, uczonych i biegłych. Poślę cię teraz do miasta po sprawunki świąteczne, to mi sprowadzisz stamtąd uczonego („lamdena“), który już sobie poradzi z tem dobrze. Pośpiesz się tylko, zaprzęgaj konie i sprowadź mi *reb* Tanchema „Piecucha“, tego, co nam odczytał historję Hamana („megilę“) w ostatki. Jeszcze wczynie, to zdążysz wrócić do Rudnicy dzisiaj, aby *reb* Tanchem mógł wieczorem „szukać chumecu“.

Wieczorem przed wigilją Wielkiejnocy odbywa się ceremonia poszukiwania chleba po kątach, celem spalenia go nazajutrz, ponieważ przez ośm dni „Pesachu“ nie wolno jeść żadnego ciasta („chumec“), prócz „macy“.

Młynarczyk pojechał do miasta, mając z sobą spis rzeczy pani Blimy, które mu poleciła sprowadzić z miasta: 1) garniec wina, 2) pół kamienia mydła, 3) butelkę wódki „pesachowej“, 4) *reb* Tanchema Piecucha, 5) buty od szewca, 6) żywe ryby i 7) białe guziki do koszul.

II.

W Janowie znać zbliżającą się Wielkanoc żydowską. Na ulicach pełno błota i kałuż. Przed każdym domem żydówki szorują i „koszerują“ sprzęty domowe. Stare sienni-

ki leżą na ulicy. Sługi dźwigają kotły wody wrzącej, panie noszą na łopatach kamienie rozżarzone do czerwoności, które wrzucają do wody. Para się unosi gęsta, woda kipi i pryska w około, a wtedy naczynie jest już „koszerowane“ i zdadne do użycia na święta.

Mężowie bielą domy i oblewają przechodniów wapnem. Tragarze potracają wszystkich, dźwigając na plecach kosze, pełne „mac“ na ośm dni. Słowem w mieście rejwach, krzyk i hałas, sprzątanie ogólne, walne, doroczne.

W jednym tylko domu panuje spokój i cisza względna. Domem tym jest „Bethamidrasz“, w którym niema nawet zwykłych „próżniaków“ („batlunem“), studujących po całych dniach talmud, bo i oni zajęci są teraz robieniem porządków po domach. W „Bethamidraszu“ siedzi tylko kilku młodzieńców, pośpiesznie czytających jakiś traktat talmudyczny, aby go dokończyć na wigilję. W tym dniu bowiem żydom pierwородnym nic jeść nie wolno, ale kto nie chce pościć, musi przedtem przeczytać jakikolwiek z 60 traktatów talmudu; całkowicie uwalnia to „pierwородnego“ od postu.

Oprócz tych młodzieńców, siedziało przy piecu trzech żydów, grzejących się i podpierających go plecami. Ubranie mieli wilgotne, sami byli wychudzeni. Dwóch z nich, starców siwych, siedziało obok siebie, zażywając co chwila tabaki; trzeci, człowiek około 40 letni, siedział nieopodal, paląc lulkę.

Trzej ci żydzi należeli do „dziesiątka próźniaków“, jakich ma każda bóżnica żydowska, a których się zaprasza na każdą ucztę religijną, na zaręczyny, wesela, na modlitwy w domu po nieboszczyku. Oni też za pieniądze mówią psalmy, gdy zachoruje jakiś bogacz, lub kiedy kobieta rodzi ciężko.

— Ach, tu się dopiero czuję dobrze!—odezwał się stary *reb* Tewel, trąc plecy o piec ciepły—tu kości ogrzewam, wolę tu siedzieć, aniżeli u mojej gospodyni, Rajzel przekłętą, która mnie obdziera za pokoik marny. Piec się popsuł, zimno jest straszne, okno i sufit gniją, i pełno tam dziur i szpar tyle, ile „anioł śmierci“ ma oczu. Przez dach przecieka, w pokoju pełno wody. Na nieszczęście moje zbiła

się szyba w oknie, zatkałem dziurę poduszką i byłem kontent, że tak jakoś sobie dałem radę. Aż tu przychodzi jakiś „kozak“ (tak żydzi nazywają policjanta), pyta się o mnie i przedstawia mi papier, że jestem winien rubla rządowi. Nie miałem czem zapłacić, to mi zabrali poduszkę i znowu jest w pokoju takie zimno, że tu dopiero czuję się dobrze.

— To zwykły los biedaka — pociesza go stary *reb* Munisz.

— Ale cała ta historia z „kozakiem“ jest bardzo dziwna i mam na to trzy pytania—mówił dalej *reb* Tewel.

III.

Trzej „próżniacy“ ożywili się niezwykle, gdy się nadarzyły „dziwne pytania“. Jedyłą bowiem ich rozrywką w „Bethamidraszu“ była dysputa gorętsza, to też rozprawy wielce ożywione, gdy nawet szło o rzecz błahą, należały do porządku dziennego.

— Pytajcie, pytajcie!—odezwał się z zajęciem, zażywając tabaki, *reb* Munisz.

— Przedewszystkiem—mówił r. Tewel—nie rozumiem tego, że takiego „kozaka“ tęgiego, który dużo je i pije, przysyła się do mnie ze stolicy z papierem po odbiór jednego rubla, zaległego za podatek. Przecież koszt wyprawy przenosi rubla, to rząd jeszcze na tem traci.

— Dobrze pytałeś—mówił r. Munisz — ale pytaj dalej. Może drugie pytanie będzie zarazem odpowiedzią na pierwsze?

— Powtóre — pytał dalej r. Tewel — skąd wiedzą tam w skarbie rządowym, jak ja się nazywam? Czy był kto stamtąd na moich chrzcinach? Nie znają mnie, nie miałem z nimi żadnych stosunków, a jednak wyraźnie napisali moje imię na papierze. To dziwne!

— Po trzecie—kończy *reb* Tewel—w kasie rządowej jest pieniędzy bez liku, obyśmy za rok wszyscy trzej, jak tu

siedzimy, mieli dziesiątą część tego! A jednak starają się o jednego rubla, który się odemnie należy. Miasto, pełne słomy, stara się o jedną słomkę!?

Na te trzy „wielkie“ pytania pośpieszył z odpowiedzią *reb* Tanchem, który nie był tak ciemny, jak bywa zazwyczaj „próżniak“ bóżniczny. On tylko pomyślał, iż „należy odpowiadać głupiemu wedle głupoty“:

— Co się pytasz o „kozaka“, którego utrzymanie kosztuje przez ten czas więcej, niż rubla—to nie żadne pytanie. Jego bowiem utrzymują po drodze rozmaici obywatele zupełnie za darmo.—Na pytanie, skąd znają w kasie twoje nazwisko, muszę ci przypomnieć, że przed dwoma laty przechodził przez nasze miasto, około bóżnicy, oddział wojska. Dowódca jego zatrzymał się chwilę, akuratnie wtedy Chemie próźniak wołał ciebie po imieniu. Naczelnik usłyszał i powtórzył je swym kolegom z kasy rządowej.

— Co zaś do trzeciego pytania, to ci dam przykład. Podług „kabały“ za każde błogosławieństwo, zmawiane przez żyda, rodzi się anioł. Żyd ma obowiązek zmawiać sto błogosławieństw dziennie, czyli stwarzać po sto aniołów dziennie. To jest przecież pytanie, po co Panu Bogu tylu aniołów, kiedy ich bez tego ma dużo? Ale na to jest odpowiedź, że pytać nie wolno, tylko należy wypełniać swój obowiązek. To samo jest i z twoim rublem, albowiem królestwo ziemskie jest podobne niebieskiemu.

— Ta odpowiedź jest słodsza, niż miód—odrzekli z zachwytem obaj próźniacy, mlaskając językiem z wielkiej rozkoszy. Z zachwytem niewysłowionym rozpowiadali kunsztowną tę dyskusję wszystkim szkolnikom, a ci ją roznieśli dalej, aż stała się wiadomą całemu Izraelowi.

IV.

Słynny szermierz bethamidraszowy, *reb* Tanchem, miał młodość dosyć szczęśliwą. Ojciec jego był człowiekiem bo-

gatym i „uczonym“. Z chwilą jednak ukończenia lat 13, kiedy Tanchem podług prawa mojżeszowego był już pełnoletnim, ojciec zaczęło się źle powodzić. Stracił wszystkie pieniądze swoje i cudze, a z niemi i honory, jakie mu dawniej oddawano, co go tak silnie zabolalo, że zmarł ze zgrzytot.

Na młodego Tanchema, znanego, jako nadzwyczajnych zdolności i pilności talmudystę, znalazło się wnet wielu amatorów, którzy go pragnęli wziąć za zięcia. Wszystkich jednak pokonał bogaty rzeźnik; oddał mu córkę jedynaczkę i posag „magnacki“. Na zaręczynach przyszły teść (mechytan“), Icek Zalman Dyndak, zobowiązał się:

— Dam mu wieczne utrzymanie wraz z żoną i dziećmi. A gdy będzie „koszernym żydem“, to nie będę się tak liczył z czasem, dołożę mu kilka lat utrzymania („kest“), niech mi tak Bóg pomaga!

Tanchem dotrzymał warunków. Był „koszernym żydem“, studjował pilnie talmud, nie myśląc o niczem więcej. Ale jego teść Dyndak nie bardzo był słowny, 2,000 rubli, jakie złożył był 4 tygodnie przed ślubem, jako posag dla młodej pary, odebrał w 4 tygodnie po ślubie, zagarniając nawet procent. Utrzymanie przestał dawać po paru latach.

Opiekunem Tanchema był wujaszek jego, *reb* Mordche „Czytający“ (odczytywał zawsze w bóżnicy ustępy z pięcioksięgu Mojżesza). On też doradzał siostrzeńcowi ożenić się z córką bogatego rzeźnika, choć to był mezalians dla Tanchema.

— W talmudzie napisano: srebro i złoto oczyszczają nawet bękartów—mówił *reb* Mordche.

Opiekun po ślubie przystał na propozycję Dyndaka, który twierdził, że korzystniej będzie, jeżeli pieniądze młodej pary będą w jego ręku—teścia. Wystawił tylko kwit na 2,000 rubli na imię Tanchema i jego żony Sury, a rewers wręczył opiekunowi. *Reb* Mordche Czytający wymówił sobie za trudy, że co piątek będzie mu rzeźnik przysyłał z jatek darmo wątrobę, płuca, nerki i kışkę.

Rzeźnik, otrzymawszy z powrotem pieniądze posagowe, był ogromnie kontent z tego, że się pozbył córki, dal jej męża „uczonego“, i to go kosztowało bardzo niewiele.

Nie zadawalając się jednak stanowiskiem, rzeźnik Dyndak wdał się w spekulacje różne. Chciał być człowiekiem między ludźmi, a nie rzeźnikiem. Pragnął zamienić tę nazwę na tytuł „kupca”. Rezultat tej zachcianki był taki, że stracił pieniądze wszystkie wraz z posagiem *reb* Tanchema, swego zięcia.

V.

Dwa lata po weselu Tanchem się przekonał, że nie stanowi pary dobranej z żoną, że się sprzedał wraz ze „sławą” swą za „garnek soczewicy” człowiekowi biednemu i przebiegłemu. Albowiem teść jego, Icek Zalmen Dyndak, wiedział zrazu, że musi bankrutować, ale myślał sobie: dopóki się trzymam, niech się przynajmniej wystaram o zięcia „uczonego”.

Ale cóż mógł Tanchem wtedy rozumieć. Miał wszystko w dniu ślubu lat siedemnaście, ulegał ślepo woli opiekuna i wuja, *reb* Mordche, który zagarnął schedę, pozostałą po ojcu, a syna sprzedał rzeźnikowi. *Reb* Mordcha Czytający uprawiał także lichwę, ale już o nim mówić nie wolno, bo wybrał się na świat lepszy, jest teraz nieboszczykiem.

Tanchema zaś teść, zbiedniawszy, wypędził z domu.

— Ożeniłeś się—mówił mu—to musisz myśleć o utrzymaniu dla rodziny. Rób, co chcesz.

Tanchem tedy stał się „metamedem”. Znajomi i przyjaciele powierzali mu chętnie swe dzieci, wiedząc o jego wielkiej „uczoności”. Na nowem stanowisku Tanchem chciał zaprowadzić ład i porządek, uczyć podług jakiego systemu i metody, nie „przeprowadzać słońca przez ucho igielne”, zwyczajem, praktykowanym w „chederach”. Ale oparli się temu rodzice uczniów, twierdząc:

— Jak się uczyli nasi ojcowie, jak nas uczyli nasi „rebowie”, tak i my uczyć będziemy dzieci nasze. Porządki

i systemy w szkołach nie są nic warte. W chederach „dzięki Bogu“ nie było nigdy systemów i metod, a jednak wyszli z nich męże uczone w talmudzie...

W rzeczywistości zaś, pomimo tych pochwał rodziców, w chederze bywa zupełnie inaczej. Mełamedzi po upływie lat kilku pracy ciężkiej, całodziennej, bezładnej, tracą siły i zdrowie, stają się ludźmi ułomnymi fizycznie i duchowo. Uczniowie zaś z małemi wyjątkami, wychodzą z chederu bez nauki, rozumu, są „wojtkami“, jak mówią po żydowsku, czyli chamami, i kwalifikują się jedynie na furmanów.

Tak się też stało i z Tanchemem; po kilku latach nauki osłabł tak strasznie, że lekarze mu zalecili spokój zupełny, a przedewszystkiem porzucenie fachu nauczycielskiego. I musiał ich usłuchać. Ale pozostał bez środków do życia.

Na szczęście Tanchem należał do „chasydów“, odznaczających się niezwykłą solidarnością. W innym środowisku człowiek taki zginąłby marnie z głodu, „chasydzi“ jednak mają świętą zasadę popierania swych współwyznawców zawsze i wszędzie, materialnie i moralnie.

Usłyszawszy o złym stanie majątkowym Tanchema, postanowili urządzić naprędce składkę dobroczynną wśród znajomych; zebrali w ten sposób sporą sumkę, wręczyli ją Tanchemowi, i zaproponowali mu założenie za te pieniądze sklepiku. Wyrobili mu także kredyt u większych kupców, a jego żona Sura stała się dzielną kupcową. Tanchem bowiem dalej czas spędzał na studjowaniu talmudu, lecz już nie w celach zarobkowych. Uprawiał teraz naukę dla nauki, na parę godzin tylko dziennie przychodząc do sklepu, aby sobie wyrobić pojęcie o tem zajęciu, obcem mu zupełnie.

Wszyscy chasydzi kupowali wyłącznie w jego sklepie.

— Przyniesź ryżu i mąki, ale od „naszej“ bory—mówiły chasydki swym sługom.

— Najlepszy tytuń znajdziesz u „naszego Tanchema“ — mówili sobie chasydzi.

Przy takim poparciu sklep prosperował wyśmienicie, przynosząc znaczny dochód właścicielowi. Tanchem po dwóch latach zapłacił wszystkie długi, zwrócił nawet pieniądze,

jakie dlań zbierano u różnych chasydów, i żył sobie wygodnie i szczęśliwie.

Atoli szczęście ludzkie nie bywa długotrwałem. Żona, przepracowawszy się w sklepie, zachorowała, a po długich cierpieniach zmarła. Tanchem odbył pokutę dni siedm w domu po śmierci Sury, która mu zostawiła córkę jedynaczkę, w chwili zgonu matki liczącą lat dziesięć.

Sklep trzeba było wkrótce zwinąć, bo Tanchem nie znał się zupełnie na towarach, kupnie i sprzedaży, za życia żony studując tylko talmud i chwilami jedynie zastępując główną i wszechwładną kupcowę. I znowu „uczony“ Tanchem został bez środków do życia.

VI.

Oprócz talmudu, Tanchem czytywał również hebrajskie książki naukowe i gazety, miał pojęcie o świecie i jego sprawach, dysputował z chasydami w wielu kwestjach, nie odstępując jednak od ich poglądów i obyczajów zasadniczych. Ale to wszystko razem wzięte, nie zaspakajało pierwszych potrzeb życiowych Tanchema i jego córki jedynaczki.

Gdy im bieda poczęła doskwierać, ojciec był zmuszony naprzód zaciągać pożyczki u wszystkich znajomych, a później nawet przyjmować datki drobne od ludzi, którzy wręczali mu je w formie grzecznej. Zaczął też wraz z innymi „próżniakami“ nieproszonymi uczęszczać na uczty religijne podczas zaręczyn, ślubów, dojsścia chłopców do lat 13, chrzein i wykupienia pierworodnych. Dołączał się do dziesięciu próźniaków i zmawiał z nimi za pieniądze psalmy na intencję uzdrowienia chorych, -modlił się i czytał „misznę“ w domu po nieboszczykach, zmawiał „kadysz“ po zmarłych bez potomstwa męskiego. Potrzeba bowiem uciekania się do pomocy „próżniaków“ towarzyszy żydowi na każdym kroku, od kołyski do mogiły.

W początkach kariery „próżniaczej“ wypadło raz Tanchemowi być obecnym na weselu córki bogacza, *reb* Heszla. Przy stole nakrytym, urządzonej w największym pokoju, siedziało na naczelnem miejscu towarzystwo weselne, składające się z samych mężczyzn; dla kobiet nakryto w oddzielnym pokoju. Przy tym samym stole męzkim, lecz bliżej drzwi, na szarym końcu, siedziało również towarzystwo „próżniaków“, pedłów bóżniczych i innych biedaków i żebraków.

Wśród „próżniaków“ znajdował się i Tanchem. Bogacz, *reb* Heszlel, rozmawiał z nimi przyjaźnie, zapraszał do jedzenia i picia obfitego, pocieszał i życzył wszystkiego dobrego. Biedacy zajadali z apetytem ryby i mięsa, podano im nawet po kawałku indyka i wina nie żałowano.

Ale Tanchem siedział markotny, z głową spuszczoną, twarzą bladą, a łzy mu kapały z oczu na obrus biały. Biedacy w około nie zwrócili na to uwagi, zajęci pilnie biesiadą bogatą, rozkoszując się każdą ością rybią i skórką indyczą. Tanchem zresztą zasłaniał sobie twarz i łzy ocierał potajemnie, bo wstyd mu było zdradzić swe rozżalenie przykre.

Powodem smutku było wspomnienie, budzące się w Tanchemie na widok pokoju i sprzętów, które kiedyś należały do jego ojca, a które odkupił właśnie wyprawiający wesele, *reb* Heszlel, od opiekuna tanchemowego, wuja Mordche. Po tym samym pokoju, w którym on siedzi teraz, jak żebrak, lubił dawniej przechadzać się ojciec Tanchema uroczyście w stroju sobotnim i Tanchem mały tam siadywał przy stoliku okrągłym, kiwając się nad księgą dużą, komentarzem do talmudu, i czytając głośno, że aż „dzwoniło“. Ojciec się radował, a matka rozkoszowała głosem donośnym syna, dochodzącym do kuchni, w której przebywała zwykle.

A oto, na co mu teraz przyszło. W tym samym pokoju siedzi, ale jaka tu jego rola! Rola żebraka!

Smutek Tanchema spostrzegł prędko Chaskiel, starszy zięć *reb* Heszla, czyniący także honory domu, pełniąc obowiązki gospodarza. Chaskiel był w wielkiej zażyłości z Tanchemem, bo obydwoj jeździli do jednego rabina, podczas gdy

teś Chaskiela, nie uznający tego rabina, jeździł na święta do innego. Jako „chasyd“ tego samego rabina, Chaskiel, choć znacznie młodszy, tykał wszystkich nawet najstarszych chasydów tegoż rabina i rozmawiał z nimi „po chusedzku“.

Widząc oblicze stroskane Tanchema, podszedł doń i uderzył go w plecy:

— Ogonie!—rzekł mu krótko—jedz i pij i używaj.

Biedacy, zebrani koło stołu, ogromnie zazdrościli Tanchemowi zaszczytu, jaki go spotkał ze strony zięcia bogacza. Nielada to honor, gdy taki Chaskiel jest z kimś na stopie poufałości, że go aż tytułuje „ogonem“ podług etykiety chasydów...

Gdyby Chaskiel nazwał Tanchema „szanownym panem“, „wielmożnym“, lub nawet „jaśnie wielmożnym panem“, nie pochlebiłby mu tyle, ile tym jednym wyrazem „ogon“. bardzo wśród chasydów rozpowszechnionym.

Skutek też był zadziwiający. Tanchem się ożywił, nabrał otuchy i—apetytu.

— „Lchaim“ Tanchem! (na życie) — odezwał się dalek Chaskiel, podając mu rękę i częstując wódką. — Napiwszy się, mówił jeszcze:

— To nie dla nas wódka. Za słaba. Wstydzi się nas, to zbladła. Chodź, ja ci dam czerwonej. Kto to słyszał, żeby „chused“ się smucił? To się sprzeciwia zasadzie naszej głównej, która zaleca przedewszystkiem: precz ze smutkiem!

Chaskiel podał mu czerwonej wódki i zachęcał do picia. Przysiadł się też do Tanchema, jadł z nim z jednego talerza i powtórzył mu „naukę“, jaką słyszał kiedyś od „rebege niech żyje“, na temat „Ufaj zawsze Bogu, a on cię będzie karmił“. Rebe to mówił podczas jednego z półświąt, przypadających każdego pierwszego dnia miesiąca.

Po jedzeniu Chaskiel zaprowadził Tanchema do starszego gminy, który siedział na naczelnem miejscu przy stole. Usiadł tam obydwaj i Tanchem zapomniał zupełnie o swym smutku i złym stanie interesów.

Z czasem przyzwyczajał się coraz bardziej do tego życia „próżniaka“, nie trzeba mu już było pocieszyciela. Za-

czął przesiadywać przy piecu w Bethamidraszu z innymi „próżniakami“ i pogodził się z losem.

VII.

Teraz Tanchem ma już lat 36 i żyje ze swą córką z tego, że jest znanym „batlenem“ (próżniakiem), używanym do posług religijnych. Po niego też przysłała swego parobka Binema, pani Blime, żona młynarza Gdale, dowiedziawszy się, że mąż nie będzie mógł przyjechać do domu na Wielkanoc, by „seder“ odprawić.

Męża miał zastąpić Tanchem.

Binem przyjechał do miasteczka z poleceniem pani Blime, zostawił wózek i konie pod opieką *reb* Lemla, „żyda mlecznego“ („milch-ijd“), czyli tego, co handluje mlekiem, a sam udał się pieszo na poszukiwanie Tanchema „Piecucha“, z batem w rękę.

A tak mu śpieszno było go odnaleźć, że po drodze potrącał wszystkich, przewracał garnki z wodą gorącą, jakie żydówki wystawiały przed sieniami domów, podczas sprzątania wielkanocnego. Żydówki go za to przeklinały głośno, lecz on na to nie zważał i śpieszył dalej, coraz większą trawiony nieciepliwością.

Nie szło mu tyle o akuratne wypełnienie zlecenia pani Blimy, która życzyła sobie, aby dzisiaj jeszcze sprowadził *reb* Tanchema—ile o coś innego zupełnie.

Przed kilku tygodniami swat, *reb* Jojchenen, przyszedł do niego z propozycją, żeby się ożenił z córką Tanchema, Lają. Mówił mu, że to dziewczyna ładna, rozumna i młoda. Ciekaw więc był bardzo widzieć ją, a może i porozmawiać chwilkę. Przed wyjazdem z domu zastanawiał się, czy włożyć w tym celu kapotę szabasową. Postanowił jednak nie stroić się, lecz wystąpić w ubraniu codziennem od roboty.

— Jeżeli się jej tak spodobam, jak „stoję i chodzę“ —

mówił sobie—to dobrze, a jeżeli nie, to bierz ją lichy, niech pójdzie do djabła, na złamanie karku.

Wziął nawet z sobą bat furmański, żeby niczem się nie maskować wobec przyszłej narzeczonej.

— Czy tu mieszka *reb* Tanchem?—pytał Binem, stojąc we drzwiach mieszkania.

— Tutaj mieszkamy—odrzekła Laja, zbliżywszy się do drzwi. W lewej ręce trzymała koszulę nową, białą, w prawej igłę z nitką, a na końcu palca miała naparstek.

Binem wszedł, ale nie mógł więcej słowa wymówić. Nie wiedział, od czego zacząć, jak się zachować: czy przywitać naprzód pannę, czy pytać bez wstępów: gdzie jest *reb* Tanchem? czy opowiadać córcę, że z polecenia swej pani chce zabrać ojca na święta, czy mówić jej, że pan nie przyjedzie na święta, czy zacząć od razu od pani?

Po całej drodze, jadąc sam jeden na wózku, układał rozmowę, obmyślał dokładnie, co i jak mówić. Lecz gdy tylko przestąpił próg mieszkania i ujrzał „ją“, zapomniał języka w gębie. Zastał pannę samą jedną; ubrana jest, ubogo, lecz chędogo, ma śliczne czarne włosy, zachowuje się skromnie, w domu czysto, porządnie, znać rękę gospodyni, zajmuje się też szyciem domowem, słowem Binem był oczarowany widokiem.

Po wymianie kilku zdań wstępnych, Laja również sobie przypomniała propozycję swata Jojchenena i bardzo była zadowolona ze sposobności poznania bliższego człowieka, który może będzie jej — wszystkim. Prosiła go siadać i wdała się z nim w gawędę długą. Rozprawiali naprzód o partjach wogóle, o kawalerach i pannach, o narzeczonych, a w końcu dotknęli nawet propozycji *reb* Jojchenena.

Binem przebywając ciągle na wsi z naturą, posiadał ów zdrowy rozum chłopski, który oceniła należycie Laja, również bardzo rozsądna dziewczyna.

Kiedy Laja miała zaledwie lat dwanaście, oddał ją ojciec w ręce Małki, wdowy młodej, która ją uczyła szycia i innych robót ręcznych. Ta wdowa była dla niej drugą matką, mówiła jej dużo o ludziach i świecie całym, zapoznała ze swą kljentelą, którą stanowiły przeważnie osoby

bardzo inteligentne. Laja się także sama kształciła, czytała dużo książek, a nauczywszy się gruntownie rzemiosła, była w stanie zarobić nietylko na własne utrzymanie, lecz nawet z zarobku tego wspomagała obecnie ojca, którego wydobyła w ten sposób z nędzy.

Swat Jojchenen widząc jdziewczynę ładną, pracowitą, zaczął myśleć o jej przyszłości, a raczej o swojej kieszeni. Przyjętym zwyczajem nachodził ciągle ojca, przedstawiał mu różne partje, a każda była „szczęściem“. Lecz Tanchem wbrew zwyczajowi, nie chciał sam decydować, odsyłał więc swata do córki, zostawiając jej wolny wybór. Swat tedy musiał wdać się w rozprawy z dziewczyną, lubo uważał to za ubliżenie swej godności.

— Jak objedziesz tysiąc miast — mówił jej — nie znajdziesz takiego chłopca, jakim jest syn rzezaka. Oprócz swej „uczoności“, umie doskonale rysować nawet „ptaka, latającego w powietrzu“, lwy, jelenie i t. d.

— A jak będę głodna — odrzekła fluternie Laja — to mi narysuje bochenek chleba i będę syta, czy tak *reb* Jojchenen?

— A może ci się podoba syn pedela—proponował swat dalej.—On także uczony i śpiewa ślicznie, jak ptaszek.

— A jak go poproszę jeść—żartowała dziewczyna—zaśpiewa mi cienko: „nie mam“. To są zresztą wszystko chłopcy młodzi, których czeka jeszcze służba wojskowa, a jak ich wezmą do wojska, to zostaną „aginą“ (samotna).

Swat zajrzał teraz do swego rejestru kawalerskiego, w którym figurowały nazwiska licznych młodzieńców, od rabinowego syna począwszy, a na wyrobnikach skończywszy. Odnalazł w nim nazwisko Binema, człowieka pracowitego, wolnego od służby wojskowej. A chociaż i on się Lai nie podobał z powodu swej ciemnoty, zdołał ją jednak swat przekonać, że Binem nie jest tak zupełnie ciemny, jak się zdaje powierzchownie, a jest za to bardzo uczciwy i dobry, i ma znaczne oszczędności po ośmiu latach pracy.

Poznawszy obecnie Binema osobiście, nabrała dlań sympatji. Podobała jej się jego prostota i pewna rubaszność

dobroduszna. Woląa też mieć męża zdrowego, rosłego, aniżeli jednego z chorowitych i chuderlawych, a „uczonych“ mieszczuchów, którzy się od pierwszej młodości szykują na „dobrych obywateli życia pogrobowego“, nie myśląc o sprawach doczesnych. Podobał jej się nawet strój Binema, który nie nosił chałatu długiego, lecz kurtkę kusą i buty z wysokimi cholewami, „jak myśliwy“. A Binem jej powiedział w rozmowie długiej:

— Mówię prawdę, że chciałem naprzód wystroić się, zanim tu przyjdę, ale potem to sobie pomyślałem: e, nie, niech dziewczyna zobaczy, że nie jestem „Bethamidraszni-kiem“, że się nie może po mnie spodziewać „krzesła honorowego w raju“. Jestem człowiekiem pracy, wieśniakiem, który z pomocą Boską potrafi zarobić na utrzymanie żony i dzieci dziesięcioma palcami. Ale i „drobne literki“ nie są mi obce, bo do lat 13 uczyłem się w „chederze“ uważnie, pilnie, a i teraz, gdy mam wolną chwilę, zaglądam do książki, „obym tak żył i był zdrów i silny“.

Po chwili ujrzeli przez okno Tanchema, wracającego z Bethamidraszu. Wyszedłszy na spotkanie ojca, Laja opowiedziała mu, że Binem przyjechał, aby go zabrać na święta do swojej pani. Nie taila też przed nim rozmowy, jaką prowadziła z Binemem, przyznając się, że się jej podoba bardzo. Namawiała ojca do wyjazdu, bo po pierwsze zarobi na tem porządnie, a powtóre będzie miał sposobność zbadania Binema i jego trybu życia, oraz warunków materialnych przyszelego zięcia.

Na propozycję wyjazdu Tanchem zgodził się wnet bez szemrania, drugi jednak projekt małżeński nie przypadł mu do gustu.

— A co ludzie powiedzą?—odezwał się. — Wszyscy będą mówili, że ja nie szanuję „uczonych“, bo talmud pisze: „kto szanuje uczonych, będzie miał zięciów uczonych“.

— A co ciebie ludzie obchodzą? — Niech mówią, co chcą—zaprotestowała Laja.

— Przecież talmud pisze, iż „kto oddaje córkę nieukowi, to jakby ją spętał i rzucił lwu pod nogi“.

— To ojciec powiesz, że córka się sama spętała i rzucała. A zresztą on nie jest takim nieukiem, jak się zdaje.

— A ty skąd wiesz o tem?

— A bo mi sam mówił.

— „Przyznanie się pozwanego równa się zeznaniu stu świadków“ — zacytował w odpowiedzi orzeczenie talmudyczne.

VIII.

I pojechał Tanchem z Binemem. Po drodze młynarczyk zabawiał przyszłego teścia opowieściami o koniach, których był dobrym znawcą. Sądził, że w ten sposób uda mu się rozmowę skierować i na córkę tanchemową. Pomylił się jednak, bo ojca nie interesowały wcale sprawy końskie, a przeto i o córce mówić nie było sposobności.

W Rudnicy pani Blime ogromnie się ucieszyła z przyjazdu Tanchema, bo już była pewną, że ceremonia święteczna odbędzie się teraz z całym porządkiem. Przyjęła go też prawie owacyjnie, oddała oddzielny pokój, bardzo wygodny i ładnie urządzone.

Tegoż wieczora, zaraz po przyjeździe, Tanchem odprawił ceremonję „poszukiwania okruców“. Binem służył mu za przewodnika, nosząc świeczkę woskową w ręku. Ze szczególną starannością zbadał niszę, łączącą mieszkanie żyda z lokalem „starego Bartka“ i wogóle wszystkie te kąty, gdzie leży zazwyczaj pieczywo „kwaszone“. Od jutra bowiem przez dni ośm wolno będzie używać jedynie „macy“, czyli pieczywa niekwaszonego.

Ukończywszy to zajęcie, zebrał wszystkie po drodze znalezione okrucy chlebne, złożył je do warząchwii drewnianej, obwiązał szmatką i położył na żyrandolu, wiszącym w środku pokoju. Warząchew leży tam zwykle do dnia ju-

trzejszego, wigilji „Pesachu“, kiedy się odbywa publiczne palenie okruców.

Załatwił się jeszcze ze sprzedażą fikcyjną, jaka obowiązuje żyda podczas Wielkanocy, jeśli posiada przedmioty nieświęteczne, których nie można „koszerować“. Do przedmiotów takich należał młyn z całym urządzeniem. Jako przesiąknięte nawskroś okrucami mącznymi, należało je koniecznie „sprzedać“ na święto chrześcianinowi. Spisano tedy „akt sprzedaży“, mocą którego stary Bartek stał się niby to właścicielem młyna. Po świętach zaś należało go odeń „odkupić“.

Nazajutrz, w wigilję wielkanocną, nie mając już nic do załatwienia, Tanchem wyszedł w pole. Przypatrywał się robotom różnym rolników, zazdrościł im życia spokojnego i żałował, że żydzi nie znają tej pracy w szczerem polu, uprawy ziemi.

Rozmyślającego Tanchema ujrzał młody p. Adam, syn dziedzica, student instytutu agronomicznego w Nowo-Aleksandrji, który wrócił również do domu na święta wielkanocne, przypadające o tym samym czasie, co żydowskie. Młody panicz zaczął się wypytywać Tanchema o szczegóły z jego życia. „Próżniak“ dobrze usposobiony odpowiadał obszernie na wszystkie pytania. Rozprawa trwała dość długo, przyczem Tanchem zdradzał wiele rozsądku i doświadczenia życiowego. Radził zaś sobie w ten sposób, że czego nie mógł wyrazić należycie po polsku, wyjaśniał po niemiecku, bo „to język, który znają wszyscy żydzi“.

W rozmowie zwierzył się p. Adam Tanchemowi, że objął niedawno dziedzictwo po nieboszczyku swym ojcu, ale w tej chwili potrzeba mu trochę gotówki dla uregulowania sprawy spadkowej. Tanchem znowu opowiadał, że bardzoby pragnął mieszkać na wsi, ale bieda go trzyma w mieście.

Kiedy wrócił do młyna, zastał Blimę nie w humorze. W ostatniej chwili bowiem żal się jej zrobiło męża, który nie wróci na święta do domu. Po chwili jednak, gdy wyszła do Binema na podwórze, ten ujrzał z daleka wózek, zbliżający się szybko ku ich domowi. Binem pośpieszył uwiadomić panią:

— Zdaje się, że będziemy mieli dwóch odprawiaczy „sederu“ na tę Wielkanoc, „dwa koty w worku“.

Blime ucieszyła się ogromnie z nagłego przyjazdu męża. Gdale za to, usłyszawszy, że żona sprowadziła już sobie „gościa“ na święta, bardzo był z tego niezadowolony. Domyślał się bowiem, że w towarzystwie „uczonego“ Tanchema, on, nieuk, musi się skompromitować w oczach żony, a zależało mu bardzo na tem, żeby u niej uchodził za człowieka o szerokiej wiedzy religijnej. Prócz tego wiedział, że Tanchem lubi wszystkich krytykować, błędy więc, jakie popełni, staną się głośnemi wśród żydów. A zresztą, jako sknera, żałował pieniędzy na opłacenie Tanchema.

Gniew swój Gdale wywarł na żonie, którą złażał bardzo ostro. Niepowodzenie w sprawach, jakie miał Gdale w sądach warszawskich, spotęgowało jeszcze miarę gniewu. Ale Blime nie chcąc zakłócać spokoju świątecznego, zbyła wyrzuty męża milczeniem.

IX.

Wieczorem przy „sederze“ było istotnie, jak przewidywał Gdale. Tanchem mu ciągle poprawiał błędy, które on popełniał na każdym kroku.

Przez pierwsze dwa dni świąt panował smutek przynębiający, który powiększały nadchodzące z Warszawy listy o stanie niepewnym spraw sądowych. Blime gniewała się na męża za jego połajanki, a Gdale na Tanchema za naukę, nieproszenie udzielaną. Tanchem żałował wyjazdu z domu własnego, gdzie byłby spokojnie przepędził święta. Tylko jeden Binem nie martwił się, drażniąc wszystkich śpiewką: „nie miała baba kłopotu i t. d.“

Drugiego dnia świąt wieczorem, przy kolacji Gdale był nieco pod dobrą datą, bo miał zwyczaj w kieliszku szukać pociechy na wszelkie utrapienia. Zasiadł do stołu na na-

czelnem miejscu, mając po prawej ręce gospodynię, a po lewej — nieszczęsnego gościa. Binem był wtedy u koni, poił je.

Gdy wszyscy umyli ręce przed jedzeniem, jak każe zwyczaj, pan domu, Gdale, pierwszy zmówił głośno błogosławieństwo: „Błogosławionyś, Boże, Panie nasz, Królu świata, coś nas poświęcił Swemi przykazaniami i nakazał jeść macę“. Tanchem spojrział nań, jak na warjata, czy nieuka i zmówił również głośno inne błogosławieństwo: „Błogosławionyś, Boże, Panie nasz, Królu świata, wydobywający chleb z ziemi“.

Gdale, usłyszawszy takie błogosławieństwo, porwał się z miejsca i uderzył Tanchema w twarz tak silnie, że biedak przewrócił się wraz z krzesłem.

Powstał hałas, rwetes. Blime rozpaczała, zgromiła ostro męża za napaść na gościa. Po długich wyjaśnieniach pokazało się, że Gdale do reszty się skompromitował w oczach żony, bo jako skończony nieuk, nie wiedział wcale, jak się odprawia „seder“, a sądząc, że Tanchem jeno drwi z niego przy tych poprawkach ciągłych, pomścić zapragnął swą krzywdę za pomocą pięści.

Po świętach zaraz Tanchem powróciwszy do miasta, wystarał się u bogatego *reb* Heszla o kredyt dla pana Adama, dziedzica, który był bardzo wdzięczny Tanchemowi za tę przysługę. Gdale zaś zaczął coraz niżej upadać, rozpił się, żona go znenawidziła i w końcu wystarała się u rabina o rozwód z mężem. Rabin nakazał Gdali dać żonie rozwód, bo na zasadzie orzeczenia talmudu, kto mieszka lat dziesięć z żoną i niema z nią dzieci, winien się rozwieść, a Gdale z Blimą byli już dwanaście lat po ślubie i nie mieli dzieci.

Po rozwodzie interesy Gdali szły coraz gorzej. Było już z nim zupełnie krucho. Pewnego dnia zgorzał mu młyn doszczętnie, który był ubezpieczony na sumę, przynoszącą dwukrotnie wartość istotną. Okoliczni jednak chłopci, z których Gdale skórę zdierał za pomocą procentów lichwiarskich, świadczyli w sądzie, że Gdale sam młyn podpalił. Uwięziono go natychmiast i osądzono ciężko.

Tanchem osiadł na jego miejsce na wsi, cieszył się względami dziedzica i wydał córkę za młynarczyka Binema, a sam się ożenił z rozwódką Blimą.

I pierwszej Wielkanocy po ślubie przy „sederze“, kiedy się nalewa pełny kielich wina, otwiera drzwi i oczekuje nadejścia niewidzialnego Eljasza proroka, który spija trochę wina z kielicha — wszedł do mieszkania Tanchema Gdale w stroju podróznym. Podpalacz tylko co był opuścił więzienie, w którym odsiedział karę przez sąd naznaczoną. Tanchem i była jego żona przyjęli Gdale ze łzami współczucia w oczach.

Po świętach dali mu trochę pieniędzy, któremi Gdale teraz handluje, jako biedny handlarz podwórzowy.

Opracował podług oryginału hebrajskiego.

J. O.

Niepotrzebna trwoga.

Sławny historyk niemiecki Curtius powiedział, że niewiele jest na świecie krajów, gdzieby nagromadzono tyle dziejów na tak niewielkiej przestrzeni, jak w Azji Mniejszej. Uwaga to trafna o tyle, o ile dotyczy udziału Azji Mniejszej w dziejach starożytnych i średniowiecznych. Od czasu jednak zawojowania jej przez Turków, traci ona już wszelkie prawie znaczenie dla ogólnego rozwoju ludzkości. Zei wszystkich prowincji państwa Ottomańskiego okolice Azji Mniejszej najmniej zaprzętały uwagę świata cywilizowanego. Przeciętny czytelnik pism perjodycznych rzadko kiedy spotkał się z jakąś wiadomością z tych krajów, skazanych na zastój, dzięki swemu położeniu na uboczu dróg handlu wszechświatowego i martwocie, towarzyszącej fatalnemu wpływowi rządów tureckich, a w znacznej części także wskutek pogorszenia się warunków przyrodzonych, głównie klimatycznych, obecnie mniej sprzyjających rozwojowi kultury, niż w okresach dawniejszych.

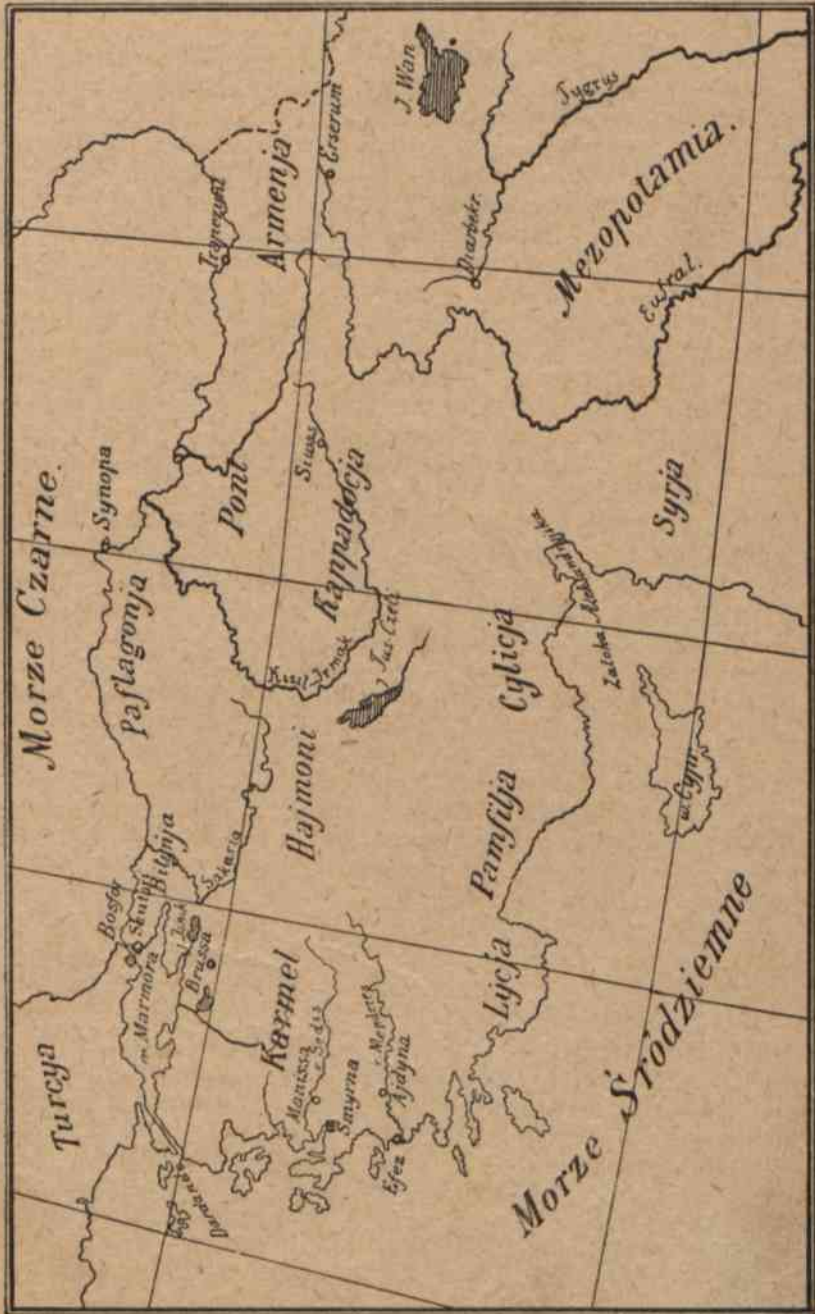
W czasach jednak ostatnich zaszły wypadki, które ten kraj tak zaniedbany nie tylko przez władające nim państwo, lecz i wzgardzony przez chciwych zysku kapitalistów i przedsiębiorców europejskich, wciągają w sferę handlu wszechświatowego i tem samem zapowiadają mu poważną rolę w polityce państw, zainteresowanych w tej zmianie położenia w Azji Mniejszej. Od chwili udzielenia przez Portę koncesji na budowę kolei żelaznej od morza Egejskiego do Bagdadu niemieckiemu towarzystwu akcyjnemu, zaczyna się nowa era w życiu tych okolic. Jak bowiem donoszą dzienniki rosyjskie, Rosja domaga się słusznej kompensaty dla swoich wpływów, i ma pozyskać koncesję na przedłużenie swej

sieci kolejowej zakaukaskiej z Trebizondy i dalej ku Bosforowi. Wiadomość o koncesji, otrzymanej przez kapitalistów niemieckich, słusznie zaalarmowała prasę rosyjską, lecz, jak to bywa w wypadkach podobnych, przesadzono w ocenieniu doniosłości tego sukcesu na bliższym Wschodzie. Wskazywano, między innymi, na niebezpieczną dla rolnictwa Rosji konkurencję Azji Mniejszej, w której upatrywano nowy w przyszłości „Spichlerz Europy“ i t. p.

I w niektórych organach naszej prasy odczuwały się echa tych przesadnych wieści i zapowiedzi. Sądzymy więc, że nie od rzeczy będzie sprostować te błędne głosy i poinformować czytelników naszych o rzeczywistym stanie Azji Mniejszej, o jej zasobach przyrodzonych i o widokach na przyszłość, w obec nowych warunków, które stworzy dla niej przeprowadzenie przez cały ten kraj kolei żelaznej, posiadającej niemałe znaczenie dla handlu Europy z Azją, oraz niewątpliwy w następstwie tej budowy napływ przedsiębiorców i kapitałów europejskich.

Przedewszystkiem winniśmy określić, co właściwie trzeba rozumieć pod nazwą Azji Mniejszej, czyli Anatolji. Pod tym względem geografowie zgadzają się lepiej z sobą, niż w oznaczeniu naturalnych granic wielu innych krajów, nie stanowiących określonej jednostki politycznej lub wyodrębnionej pod względem administracyjnym dzielnicy jakiegoś państwa. Według sławnego geografą francuskiego E. Reclus, granicę wschodnią Anatolji, stanowią: zatoka Aleksandrecka, wrzynająca się głęboko w głąb lądu pomiędzy Cylicją a Syryją; następnie łańcuch gór i wyniosłości, stanowiących dalszy ciąg gór Syryjskich i oddzielających porzecze rzeki Dziguna (Pirama) od dopływów Eufratu, a dalej od płaskowzgórza Siwas do przylądka Jazun na morzu Czarnem—odnogi gór Armeńskich, wybitnie wyróżniających się znaczną swą wyniosłością i bogactwem roślinności od jednostajnych, graniczących z nimi od zachodu równin Anatolji.

W tych granicach Azja Mniejsza zajmuje (razem z wyspami pobliskimi, na otaczających ją morzach) 480,000 kilometrów kwadratowych. Przestrzeń tę, równającą się prawie Francji, zamieszkuje niewiele więcej nad 6,000,000 ludzi, czyli zaledwie 13 mieszkańców na 1 kilom. kwadr. (załudnienie więc jest 64 razy słabsze niż w Królestwie Polskiem). Przeważną jednak część powierzchni Anatolji zajmują góry lub wysokie płaskowzgórza, tak, że średnia wyniosłość całego kraju ponad poziom morza stanowi nie mniej

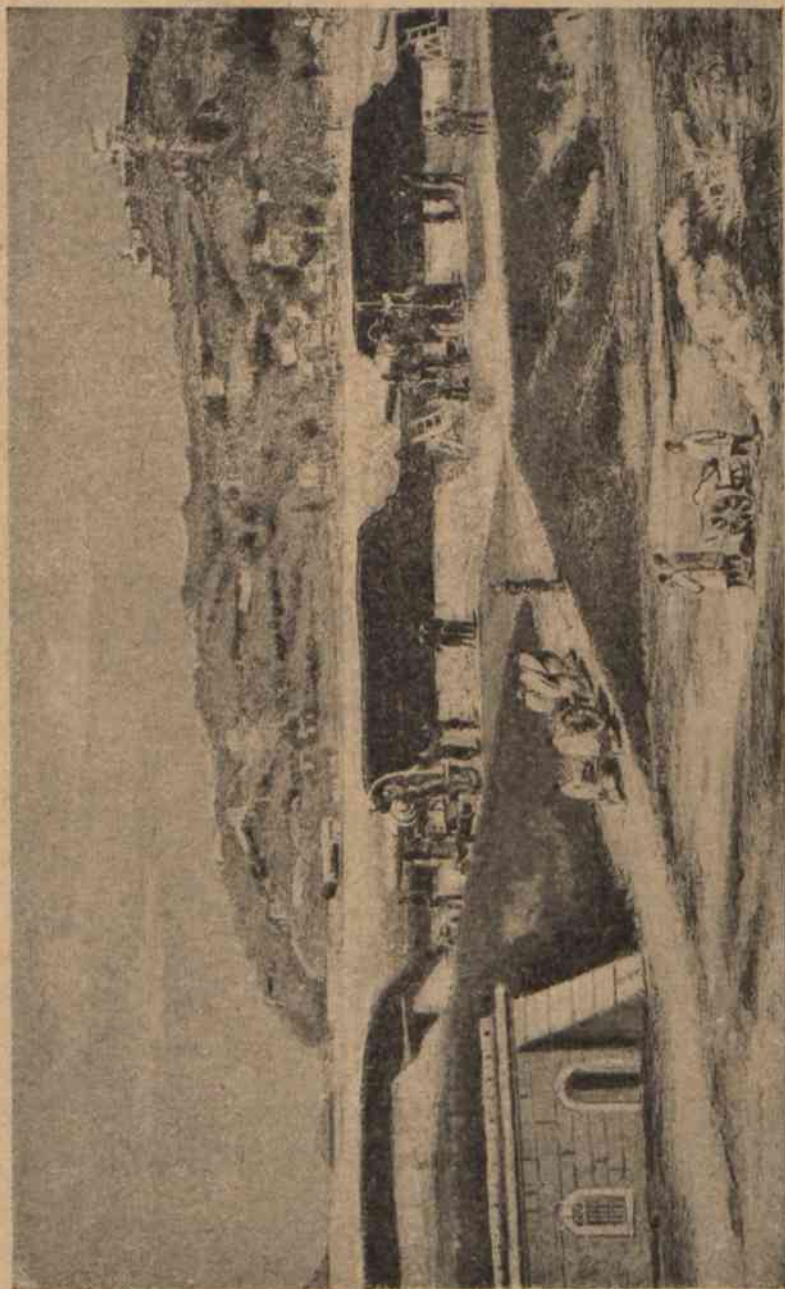


Mapa Azji Mniejszej.

niż 1000 metrów. Cała zresztą powierzchnia Azji Mniejszej wykazuje pewną pochyłość ku Czarnemu morzu.

Wybrzeża mórz, od północy, zachodu i południa, okalających Anatolję, prawie wszędzie oddzielone górami od jej środka, stanowią najlepszą jej część, tak zw. „podkowę anatolską“ i posiadają doskonałe warunki tak dla handlu, jak i dla kultury. Znaczna długość brzegów morskich w stosunku do ogólnej przestrzeni kraju jest ogromną zaletą w geograficznem położeniu Anatolji. Szczególniej korzystnym jest brzeg zachodni, gdzie biorąc w rachubę jedynie główne wygięcia, ogólna długość wybrzeża jest przynajmniej cztery razy większą, niż wymiar w linii prostej, a pospołu z długością brzegów pobliskich wysp — dziesięć razy większą. Korzyści z takiej długości brzegów morskich są w tem, że obfitują one w dogodne dla żeglugi zatoki, które stanowią porty naturalne, albo dadzą się bez zbyt wielkich trudności i nakładów zamienić w porty sztuczne. Komunikację jednak tej „podkowy“ z wnętrzem kraju utrudniają wielce łańcuchy gór, pozostawiających dla ludności wybrzeży tylko wązki pas ziemi. Nawet doliny rzek, wpadających do morza Egejskiego, nie wiele zaradzają tej wadzie organicznej w naturalnych warunkach Azji Mniejszej. Dzięki temu na wybrzeżach, już w starożytności opanowanych przez Greków, rozwinęła się i w znacznej mierze przechowała inna, europejska cywilizacja i kultura, tuż prawie obok azjatyckiej. Często bowiem te obce światy dzieli tylko pas gór skalistych, zaledwie kilka mil szeroki, lecz stanowiący nieprzebytą tamę dla wszelkiej komunikacji. Składa się więc Anatolja z dwóch jak najwyraźniej odrębnych krajów. Jest to obszerny kraj azjatycki, wprawiony w wązką ramę europejskich wybrzeży.

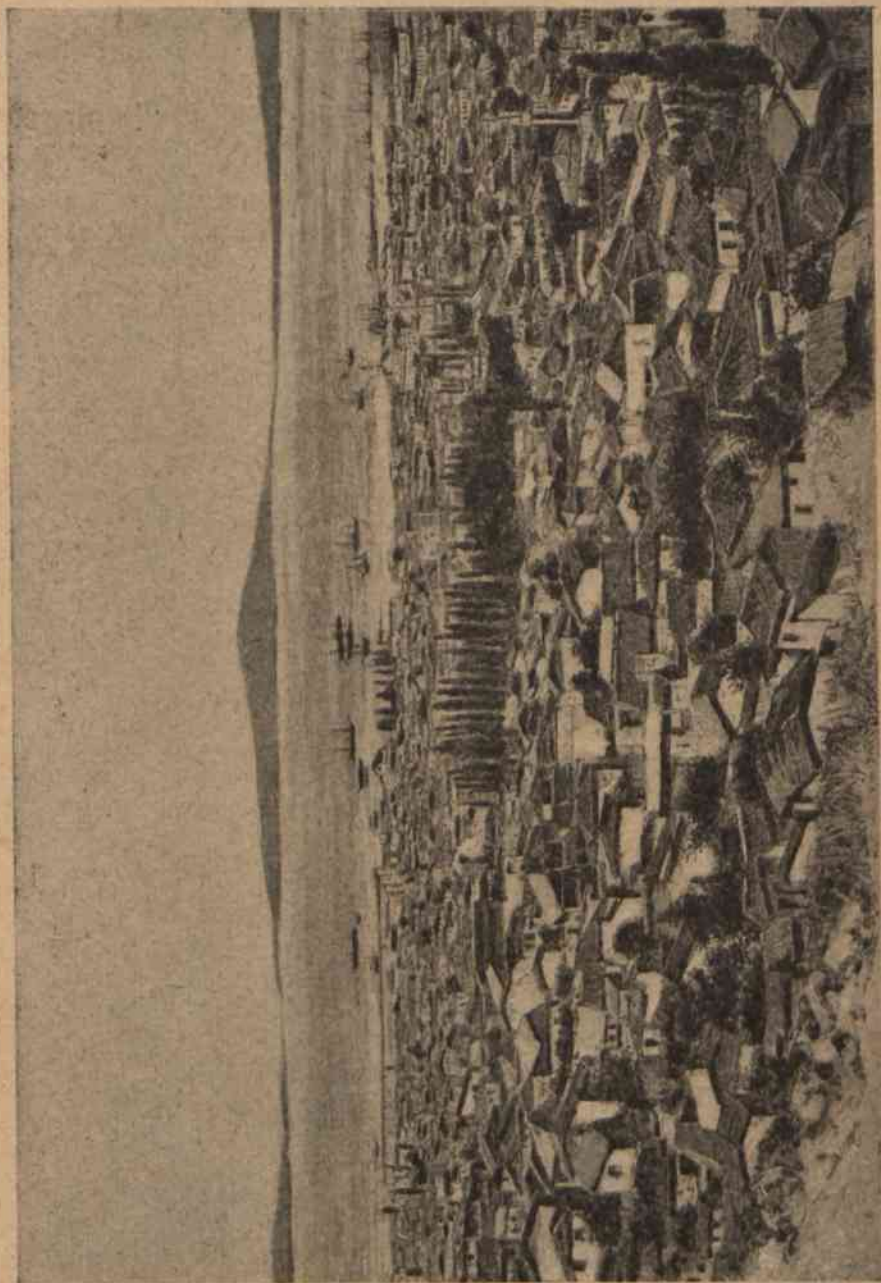
Pomówimy najprzód o środkowej jego części, wogóle mniej znanej i dopiero w ostatnich lat dziesiątkach jako tako zbadanej przez europejskich uczonych i podróżników. Wszyscy zgadzają się na to, że cały niemal kraj ten stał niegdyś znacznie wyżej pod każdym względem, niż obecnie. Na wielu płaskowzgórzach (t. j. w okolicach najdogodniejszych lub jedynie dogodnych dla grupowania się większych mas ludności w krajach górzystych), gdzie obecnie podróżnik spotyka tylko namioty szczepów koczowniczych, pasących swoje stada, ziemia jest usiana ruinami przed wiekami zburzonych miast, których ilość obliczają *na setki!* Przymuszać można, że nie same tylko wojny i najazdy były powodem tak strasliwego i zupełnego upadku; winna temu także i nieopatrzność mieszkańców, która nie mało przy-



Turecka baterja u wejścia do Bosforu.

czyniła się do pogorszenia klimatu i warunków kulturalnych, bo lasy do tego stopnia wyniszczono, że obecnie Azja Mniejsza, a zwłaszcza środkowa jej część należy do krajów najbardziej ubogich pod względem zalesienia. Mnóstwo dawnych dokumentów mówi o lasach, które niegdyś istniały w tych miejscowościach Azji Mniejszej, gdzie obecnie spotyka się tylko zupełnie obnażoną ziemię, lub w najlepszym razie drobne krzewy. Zniszczenie lasów wywołało, z samej natury rzeczy, znacznie większe różnice krańcowych temperatur rocznych, zwiększyło mrozy podczas zimy i upały w lecie; wpłynęło także na stosunek opadów atmosferycznych, spowodowało nieznaną dawniej długość posuch, oraz nagłość i gwałtowność wiosennych wylewów wód. Wylewy te z biegiem czasu splukały wierzchnią, urodzajną warstwę gruntu, obnażając albo skały, albo rzadko kiedy podglebie, przydatne pod uprawę, lecz kosztem pracy i nakładów, przekraczających możliwość ubogiej i leniwej miejscowej ludności. Wody, coraz mniej regulowane w następstwie groźnego wyniszczenia lasów, potworzyły obszerne bagna, które zaraziły powietrze i zamieniły ogromne przestrzenie, dawniej uprawne i gęsto zaludnione, w dzikie pustynie. Mieszkańcy wsi niektórych, położonych w nizinach na miejscu starożytnych, wielkich i ludnych miast, zmuszeni są w lecie opuszczać swoje siedziby z obawy przed złośliwą malarją i dżumą. W niektórych najniebezpieczniejszych okolicach, zabójczy wpływ zarazków dżumy daje się we znaki nawet na wysokości 1800 metrów ponad poziomem morza. Wiadomo, że właśnie Azja Mniejsza wielokrotnie była dla Europy Zachodniej ogniskiem dżumy, przenoszonej przez okręty płynące z Lewantu do portów Włoch, Hiszpanji i Francji.

Wogóle klimat Azji Mniejszej jest zimniejszy, niż klimat półwyspów europejskich, położonych na tej samej szerokości geograficznej, a co gorsza, i wahania temperatury, tak roczne, jak i dzienne, są tam daleko znaczniejsze. Zwłaszcza przestrzeń pomiędzy Synopą a Konstantynopolem odznacza się mroźną zimą, a latem cierpi od nadmiernych upałów i częstych posuch. Tylko południowy, nadbrzeżny pas Azji Mniejszej, dzięki broniącym go od wiatrów północnych góróm Taurydzkim, posiada klimat znacznie cieplejszy i równiejszy, niż reszta półwyspu. Swoją drogą nawet w Cylicji ludność podczas lata musi wynosić się w góry i pozostawać tam aż do jesieni, t. j. do listopada, czekając na charakterystyczne, właściwe tej tylko miejscowości zjawisko klimatyczne, a mianowicie na nagłe przejście od lata do jesieni, trwające około 8 dni, tak zw. *kassima*, kiedy gwał-

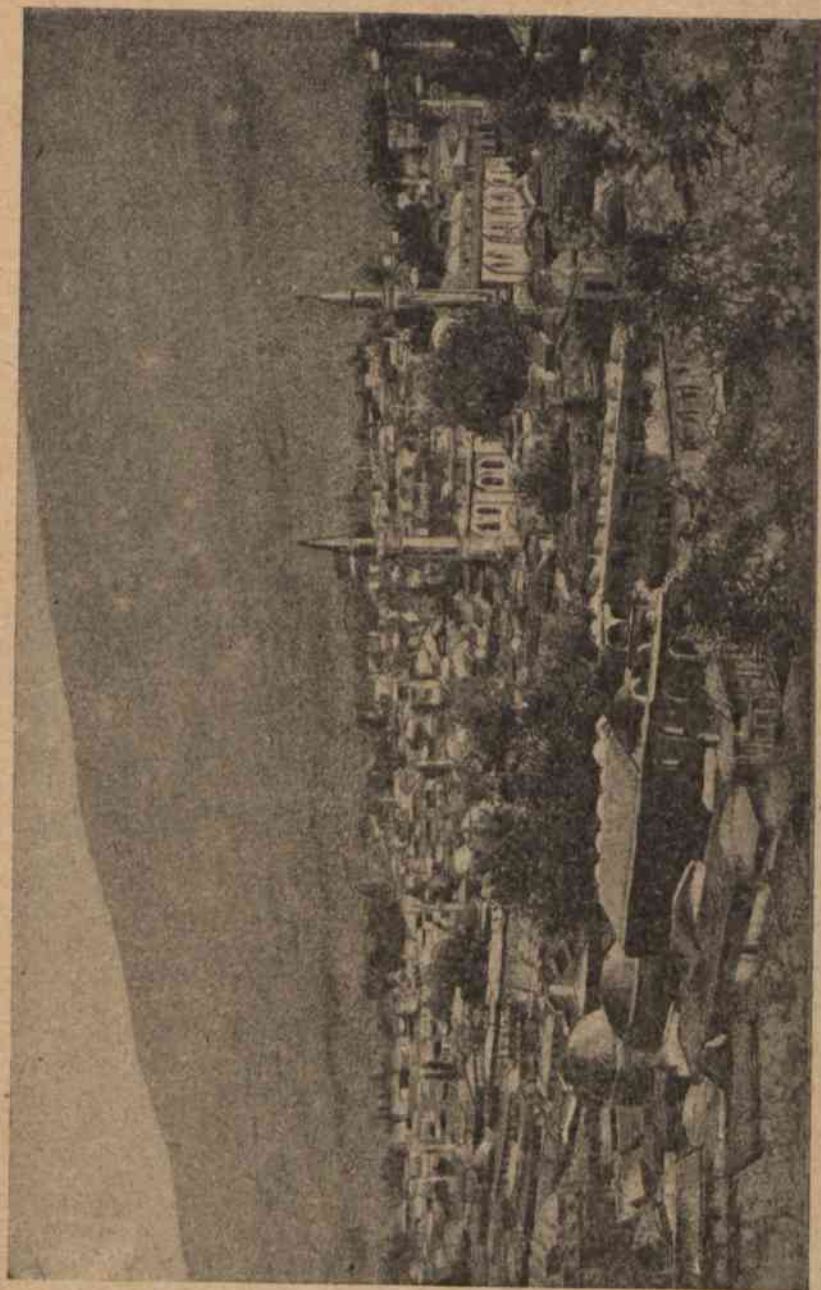


Smyrna.

towne burze, ulewy i grady oczyszczają powietrze od kurzu, pełnego niebezpiecznych, chorobotwórczych zarazków. Dopiero po takiej dezynfekcji ludność wraca z gór do swoich mieszkań w dolinie. Cóż na podobne warunki klimatyczne, na taki *porządek naturalny* poradzi chociażby największa potęga wiedzy i kultury europejskiej?

Pomimo znacznej różnicy w temperaturze wewnętrznych dolin i wyniosłości, główną cechą klimatu środkowej części Azji Mniejszej stanowi rzadkość deszczów. Nawet wybrzeża nadmorskie otrzymują z atmosfery znacznie mniej wody, niż Europa Zachodnia. W porównaniu np. z Francją, deszcze przynoszą zaledwie trzecią część wilgoci. W Smyrnie, pomimo bliskości morza, w ciągu trzech miesięcy letnich ilość opadów nie przenosi 4 centymetrów. W daleko gorszych warunkach znajduje się wnętrze półwyspu, gdyż w niektórych miejscowościach w ciągu 6 — 7 miesięcy nie pokaże się ani jedna chmurka. Pomimo tak skąpo udzielanej przez przyrodę atmosferycznej wilgoci, Anatolija należy do krajów, najbardziej cierpiących od malarji. Świadczy o tem miejscowe przysłowie: „nasza królowa—febra“. Dlaczego to deszczów mało, a zaraźliwych bagien tak dużo? Dla tego, że bardzo wiele rzek zmieniło swe koryta, wiele bagien utworzyło się wskutek powodzi w porze wczesnej wiosny, kiedy na górach, zajmujących ogromne przestrzenie, topnieją masy śniegu obficie padającego zimową porą; wiele jezior z wiosną napelnia się wodą, ulatniającą się podczas strasznych upałów letnich. Nie ulega wątpliwości, że od czasów cywilizacji jońskiej, klimat Azji Mniejszej ze zdrowego stał się jednym z najgorszych na całej kuli ziemskiej dowodzą tego liczne ruiny miast, w kwitnących niegdyś miejscowościach, obecnie zupełnie niezaludnionych. Gdy brzegi bagien obnażają się, wysychając na palącym słońcu, ludność musi uciekać w góry. Krajowcy obierać umieją dla swoich letnich mieszkań w górach miejsca, zastonięte przez skały lub wyniosłe szczyty od szkodliwych, podnoszących się z bagien oparów. W niektórych okręgach wynoszą się w góry nie tylko całe wsie, lecz i miejscowa administracja, z całym swym personelem. W górach ludność mieści się w namiotach lub domkach, nie murowanych, lecz luźnie ułożonych z kamieni.

W północnej Anatolji, gdzie w górach jeszcze przechowały się lasy, budują drewniane chałupy z całych kłoców jodły, na znany sposób ruskich domków wiejskich, sposób tak zwanych *izb*. Bardzo wiele z tych czasowych wsi, mieści się na ruinach miast starożytnych i w nich, podczas

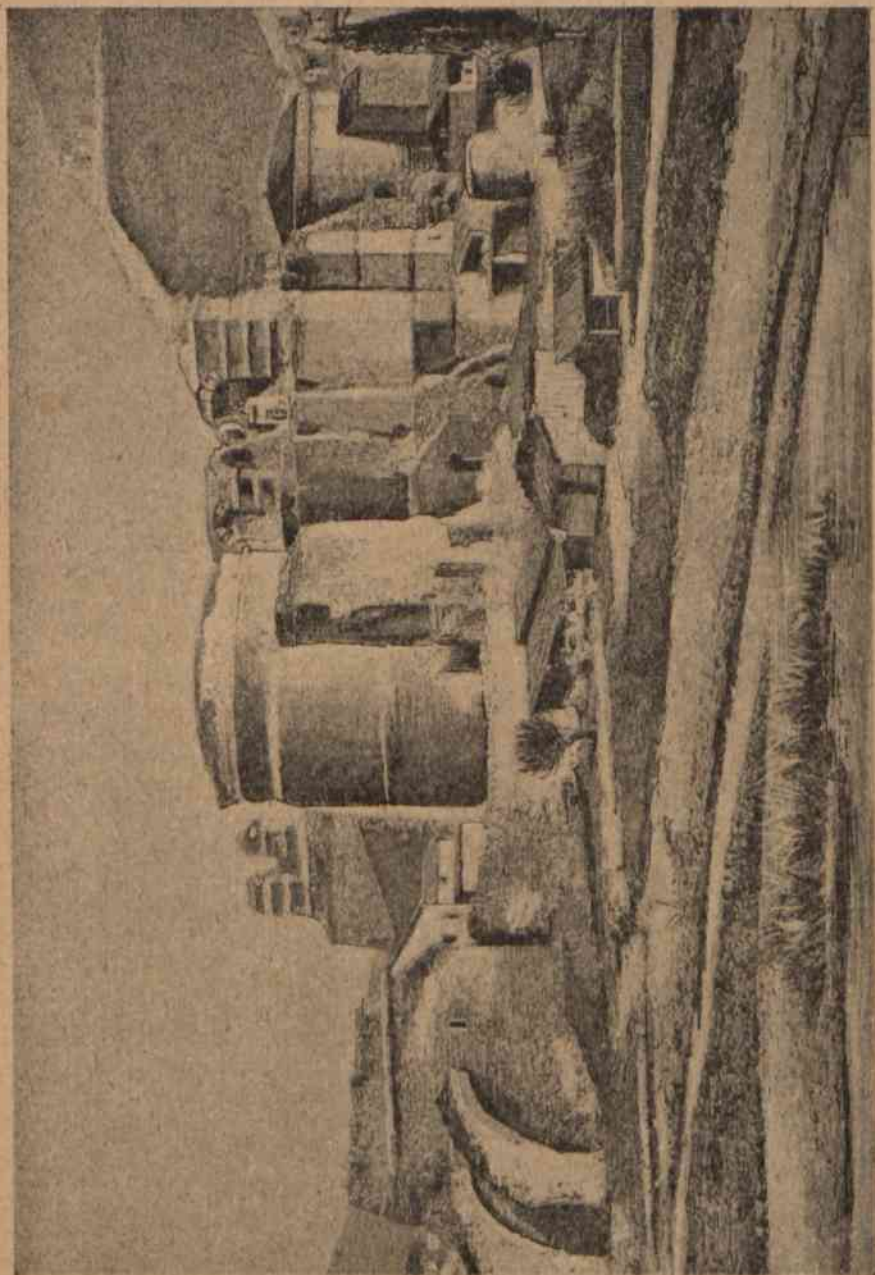


Brusa.

lata, odbywają się targowiska na bydło, owoce i na różne produkty hodowli.

Za klimatem idzie i roślinność, więc i co do flory Azja Mniejsza należy do dwóch stref bardzo różnych. „Podkowa anatolska“ stanowi pod tym względem część pasu śródziemnego, a płaskowzgórza wewnętrzne stanowią przedłużenie stepów Azji środkowej. Na tych ostatnich, otoczonych górami, flora jest względnie ubogą i życie większej części właściwych jej dzikich roślin ogranicza się na porze wiosennej, po której, w okresie upalnym, następuje w rozwoju ich przerwa, trwająca aż do jesiennych deszczów. Wówczas rośliny przechodzą na pewien czas do życia, aby następnie znów pograżyć się w długim śnie zimowym. Lecz za to na całej *podkowie*, we wszystkich jej częściach: północnej—czarnomorskiej, zachodniej—jońskiej i południowej—śródziemnomorskiej, nadzwyczaj bogata i urozmaicona roślinność rozwija się z całą siłą i wspaniałym przepychem. Flora czarnomorska równa się roślinności Mingrelji na Kaukazie. Troada (część Azji Mniejszej przy morzu Marmurowem), zdobyła sobie nazwę „raju botaników“, gdyż na jej polach, łąkach i lasach flora europejska połączyła się z azjatycką. Są i inne miejscowości, pod względem bogactwa i różnorodności flory mało ustępujące Troadzie.

Na południowym brzegu Cylicja, pod względem roślinności, stanowi dalszy ciąg Syrii; tu zaaklimatyzowała się nawet znaczna liczba roślin egipskich i wogóle właściwych północnej Afryce. Krzewy flory śródziemnomorskiej na „podkowie“ rozwijają się we wspaniałe drzewa, szczególniej wawrzyn (laurowe drzewo) i mirty, których pnie dochodzą do 1 metra grubości. Ta część Anatolji jest najbogatszą w świecie krainą pod względem ilości różnych gatunków dębu; posiada ona ich 52, z których połowa nie znana jest w innych okolicach. Dość powiedzieć, że np. we Francji jest tylko 12 gatunków dębu. Najbogatszą w lasy jest północna, czarnomorska część „podkowy“. Na wschód od rzeki Sakarji, na górach Boli, leży największy las anatolski, tak zwany Agacz-Denize (Morze drzew), w którym pracuje wiele tartaków. Agacz-Denize, zaopatruje całą flotę turecką w maszty i wszelki budulec. Wogóle jednak gospodarstwo leśne prowadzone jest w Turcji bardzo niedbale, a w środkowej części Anatolji — z bezprzykładnem barbarzyństwem. Z drzewa, zwałonego burzą lub starością, lub wreszcie ściętego, odrabują gałęzie i wywożą na grzbietach mułów, na pniach zaś wycinają żłobki, aby zatrzymać wodę deszczową i przez wprowadzoną w ten sposób zgnili-



Ruiny Bazyliki w Pergamie.

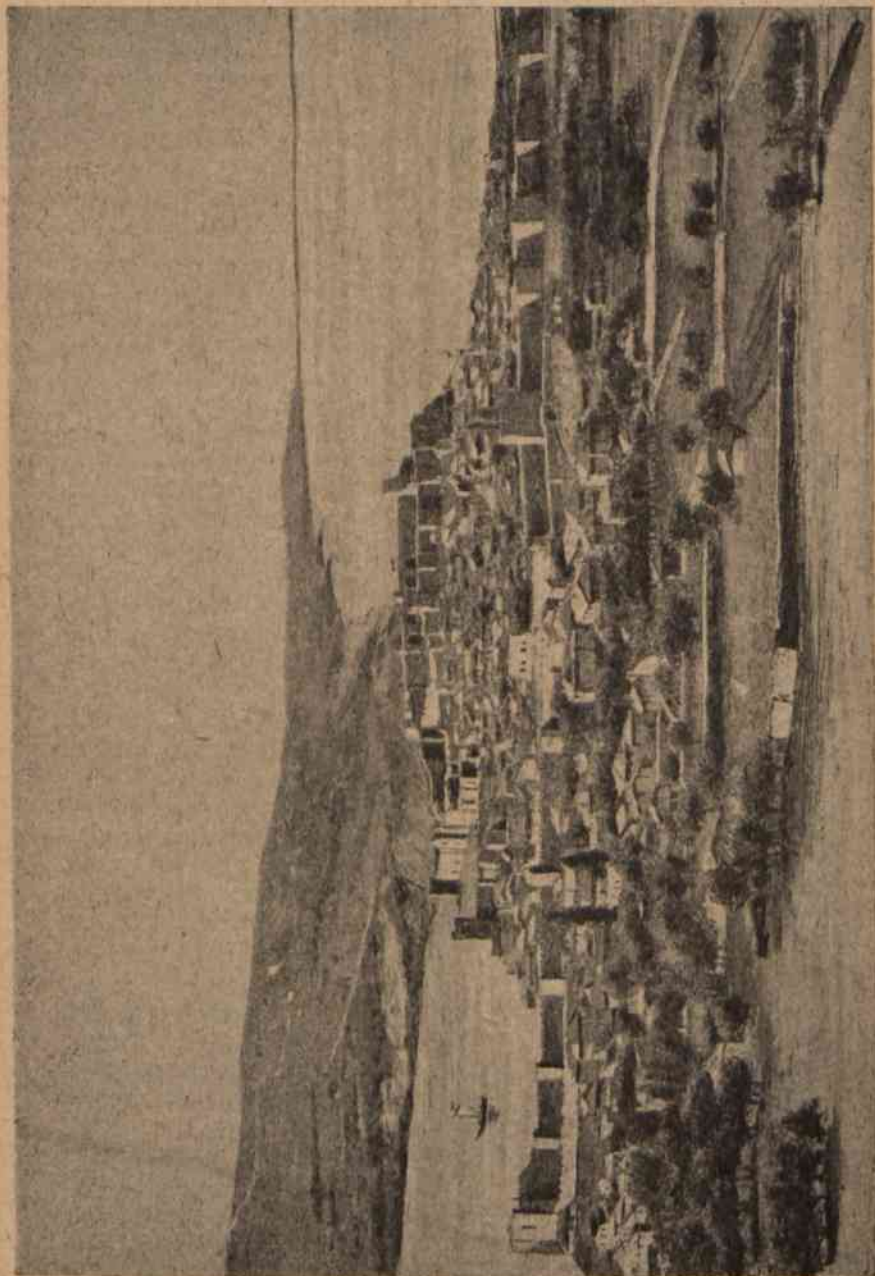
znę doprowadzić drzewo, po kilku latach do takiego rozkładu, że wystarczy kilka uderzeń siekiera, aby rozłupać je na szczapy do pieca. Jedyny to użytek z dużych nawet drzew w tych krajach, pozbawionych komunikacji. W niektórych okolicach dzieje się jeszcze gorzej; w Karji las zapalają, aby następnie zabrać zwęglone resztki.

Największą jednak różnorodnością i bogactwem odznacza się południowy brzeg Anatolji. W dolinach nadbrzeżnych palmy różnych gatunków wskazują, że te miejscowości należą do strefy podzwrotnikowej. Lecz już na pierwszych wyżynach rosną inne drzewa liściaste, właściwe południowej Europie, a jeszcze wyżej wykazujące cechy flory śródziemnomorskiej. W górach zaś dzierżą panowanie drzewa iglaste: najpierw sosny bardzo ciemnego koloru, następnie wiele gatunków jałowca, dalej jodły i cedry, tworzące lasy tak wspaniałe, że podobnych nie można spotkać nie tylko w Syrii, lecz nawet w górach Libanu. Na południowych stokach gór Taurydzkich (w Cylicji) wspaniałe lasy cedrowe rosną jeszcze na wysokości 2,000 metrów nad poziomem morza. Nie bardzo jednak dbają tam o to bogactwo; pożary, wywoływane lekkomyślnością pastuchów, niszczą czasem tysiące olbrzymich drzew. Wreszcie nad pasem tych lasów, zaczyna się strefa roślinności krzewiastej, sięgająca aż do śniegów, pokrywających wyższe szczyty tych gór. Mnóstwo przeróżnych kwiatów zdobi wyższe stoki tych gór.

Daleko mniej urozmaicona niż flora jest fauna Azji Mniejszej, zwłaszcza w środkowej części tego kraju, głównie wskutek wyrzeźbienia lasów. Lwy znikły prawie zupełnie, gdziekolwiek spotyka się jeszcze lamparty, pantery i hyeny, lecz te zwierzęta drapieżne są już bardzo rzadkie. W zachodniej i środkowej części półwyspu liczniejsze są szakale, we wschodniej czarne i bure wilki. Lisów jest mniej, niż w południowej Europie. Dzików nie brak, gdzie tylko są lasy, bo Turcy wcale nie polują na tę zwierzynę. Jelenie są dość rzadkie, lecz daniela i kozice napotyka się całemi stadami.

Nieznane w Europie gazy (gatunek antylopy), są dość częste w Cylicji, w pobliżu Syrii, w górach Cylicyjskiego Tauru i Anti-Tauru. W górach i na wyższych płaskowzgórzach spotyka się także dzikie barany, odmianę muflona, uważaną za przodka owiec europejskich.

Ze zwierząt domowych przedewszystkiem zasługuje na wymienienie koza angorska, dająca najdroższą wełnę, używaną do wyrobu najcieńszych, najdelikatniejszych i najwyżej cenionych tkanin. Hodowla tych drogocennych zwierząt



Сноп.

obejmuje względnie niewielką przestrzeń, bo około 40,000 kilometrów kwadratowych. Lecz i w tym obrębie rozwija się ona z powodzeniem jedynie na płaskowzgórzach i w dolinach, położonych w wysokości od 600 do 1600 metrów nad poziomem morza. Ogólna liczba tych kóz nie przewyższa 500,000 sztuk. Przystawianie kóz angorskich jest bardzo trudne, gdyż ze zmianą miejscowości prawie niepodobna uniknąć pogorszenia jakości wełny. W ostatnich jednak czasach rozszerza się pas tej hodowli.

W Azji Mniejszej hodują dużo owiec, głównie tak zw. *karamanły*, o grubym, pełnym tłuszczu ogonie. Hodowla ta obejmuje płaskowzgórza i równiny, stoki zaś i miejsca strome stanowią wyłączną strefę hodowli kóz. Hodowla bydła rogatego jest wogóle nieznaczna, a w niektórych okręgach prawie niemożliwa, bo na pastwiskach rośnie trawa za krótka dla grubych warg bydła. Hodują więc inne gatunki bydła, a mianowicie bawoły, a na południo-zachodzie Anatolji *zebu*, wołu, podobnego do wschodnio-indyjskich, z garbem na grzbiecie i z małemi, ruchomemi rożkami. W bagnach utworzonych przez wylewy i przerzucające się z miejsca na miejsce koryta rzek Sejguny i Dżyguny, spotyka się jeszcze dzikie, albo może dziedziczące bawoły. W Anatolji niema innych wielbłądów oprócz jednogarbnych, służących tylko do przewożenia ciężarów i nieprzydatnych do jazdy, lecz zdolnych do chodzenia po stromych stokach gór. Koni trzymają niewiele, gdyż zastępują je wielbłądy i muły. Konie, jak wogóle na całym bliższym Wschodzie azjatyckim, są rasowe i piękne, bardzo silne i wytrzymałe. Najpiękniejsze spotyka się we wschodniej części półwyspu, w prowincjach, sąsiadujących z Armenją i Persją. Mułów jest sporo, ale małych, nie odznaczających się siłą i łatwo ulegających chorobom skórnym. W Anatolji przekładają muły nad konie. Według Iliady, właśnie na tym półwyspie zrobione były pierwsze próby krzyżowania osłów z klaczami.

Właśnie te wszystkie rodzaje hodowli stanowią główne, a w największej części środkowej Anatolji nawet jedyne i wyłączne zajęcie mieszkańców, zmuszonych do życia koczowniczego przez fatalne warunki klimatyczne. Rolnictwo bowiem uniemożliwia konieczność opuszczania dolin podczas lata, czyli w najważniejszej porze—pielęgnowania i sprzętu wcześniej w tych gorących krajach dojrzewających zasiewów. Niema tu prawie żadnych widoków nie tylko dla szerokiego rozwoju, lecz nawet dla dorywczego zaszczepienia kolonizacji europejskiej, opierającej się na rolnictwie. Trudno przewidzieć, jak dadzą tam sobie radę Niemcy z budo-

wą i eksploatacją kolei żelaznej. Przy budowie zachodniej części kolei zakaukaskiej, w klimacie podobnym do panującego w Anatolji, malarja tak zdziśiatkowała robotników, że na każdy sążeń kolei przypadła jedna mogiła... Z kogoż ma się składać wyższy i niższy personel służby tych części



Wejście do portu Rodyjskiego.

kolei, które będą przechodzić przez owe doliny, niemożliwe do zamieszkania w ciągu kilku miesięcy w roku? Przypuśćmy, że dla niższej służby znajdą się jeszcze, za wysokie, ma się rozumieć wynagrodzenie, odpowiednie siły w najwy-

trzymalszych krajowcach; przypuśćmy, że zadanie to ułatwi częsta perjodyczna zmiana służby niższej, kolejno spełniającej te same funkcje w miejscach górzystych i zdrowszych i naprzemian w nizinach malarycznych, lecz jak dać sobie radę z personelem wyższym? Obejść się zupełnie bez Europejczyków niepodobna, a co z nimi stanie się tam, skąd ucieka i nawet zaaklimatyzowany od urodzenia krajowiec? Prawda, że to wszystko niewiele obchodzi panów kapitalistów, którzy chcą dobrze oprocentować swoje kapitały przez pochwycenie w swoje ręce przewozu towarów, zamienianych między Europą, a Persją i Wschodnimi Indjami.

Jak dalej będzie z opalem? Na drzewo nie ma co liczyć, wobec prawie zupełnego wyrzeźbienia lasów, a węgla trzeba dopiero szukać. Jedyne i to niewielkie kopalnie węgla kamiennego znajdują się w obrębie „podkowy anatolskiej“, w pobliżu miasta i portu Erekli (starożytna Heraklea), na morzu Czarnem. Pokłady są zresztą wcale duże (zajmują około 1200 kilom. kwadr.) i dość grube (niektóre warstwy dochodzą do 4 metrów), lecz położone są bardzo daleko od kierunku linii transanatolijskiej, projektowanej przez Niemców i to w kraju, pod względem geognostycznym zupełnie niezbadanym. Przytem, trudno będzie ominąć stopy zupełnie bezładne, o gruncie przesiąkniętym solą i z wodą wyłącznie słoną. Potężna jest nowoczesna kultura i technika europejska, lecz nie zdoła ona chyba zmienić klimatu, a tu właśnie o to chodzi.

Wszystkie te warunki o wiele obniżają wartość niemieckiego nabytku, który tak zaalarmował prasę rosyjską. Widmo nowego, potężnego współzawodnika na wszechświatowym rynku zbożowym, nowego „spichlerza Europy“, jest wytworem niepotrzebnie strwożonej fantazji. Ten mniemany „dziewiczy“ kraj, ten niby młodzieniec tylo obiecujący — jest przeciwnie zgrzybiałym starcem, który już dawno, bardzo dawno przeżył czasy swojej świetności i nie tylko zmarnował swoje zdrowie i bogactwa, lecz zniszczył same jego źródła i skazał swoich następców na nędzę i życie w stanie prawie pierwotnym.

Inaczej zupełnie rzecz się ma z przyrodą, kulturą, stosunkami społecznymi i ekonomicznymi w „podkowie anatolskiej“. Kolej niemiecka jednak do Bagdadu niewiele na tem skorzysta, bo przejdzie tylko w poprzek tego wąskiego pasa nadmorskiego. Nie może być nawet mowy o opanowaniu jakiej bądź części tej „podkowy“ przez kulturtregerów — obieżyswiatów, bo będą tam mieli do czynienia z utrwaloną oddawna ekonomiczną i kulturalną potęgą Greków, zajmu-

jących przeważnie stanowiska nietylko w handlu i przemyśle, lecz i we wszystkich zawodach wyzwolonych, przytem działających solidarnie i ożywionych duchem patriotycznym. Wszyscy Grecy są przeniknięci „wielką ideą“ panhellenizmu, a Grecy anatolscy bardziej nawet niż inni ich rodacy. Wiedzą oni też, jakie środki najlepiej służą dla osiągnięcia celu. E. Reclus twierdzi, że żaden naród nie umie lepiej zabezpieczyć swojej przyszłości przez wychowanie dzieci. Główną troskę greckich mieszkańców każdego miasta stanowią ich szkoły. Najulubieńsze tematy ich rozmów—roztrząsanie metod pedagogicznych, sposobów pobudzenia gorliwości i pracowitości wychowawców, ocena działalności profesorów i t. p. Gdy ich miasto odwiedzi światły cudzoziemiec, uważają oni za obowiązek pokazać mu zakłady naukowe i ochronki, proszą go o wyegzaminowanie dzieci i wypowiedzenie swojego zdania w kwestjach, dotyczących wychowania, bo od tego przecież zależy ich przyszłość. Wszyscy wychowawcy uczą się języka starogreckiego i czytają klasyków. Greckie gminy miejskie nie szczędzą nakładów na dobre utrzymanie szkół. Bogacze za życia nie żałują wydatków na szkoły, a w testamentach nawet ludzie mniej zamożni nie zapominają o jakiejś ofercie na wychowanie młodych pokoleń helleńskich. Dzięki temu, we wszystkich miastach „podkowy anatolskiej“, nietylko wszystkim, lecz i ogromna większość lekarzy, adwokatów, profesorów, dziennikarzy, dragomanów i t. p., należy do narodowości greckiej. W każdym rzemiośle najlepsi majstrowie są także heleni, dzięki nie tylko pracowitości, znajomości rzeczy i lepszemu wykształceniu, lecz i wrodzonemu gustowi tych Francuzów bliższego Wschodu. Wiadomo, że Grecy są doskonałymi marynarzami, a w umiejętności prowadzenia handlu mogą iść o lepsze nawet z Ormianami i Żydami, gdyż, przy równym być może sprycie, są daleko śmielszego ducha, a rzutkość i wrodzona ruchliwość, przy lepszym wykształceniu, chronią ich od rutyny i deptania tylko po utartych ścieżkach. Tacy ludzie nie dadzą się Niemcom i z pewnością nic nie stracą ze swoich dotychczasowych zdobyczy w Azji Mniejszej. Wobec tak dzielnej rywalizacji, nie zapanują tam chyba Niemcy tak łatwo: kultura spotka się z kulturą, a kosa hakatystowska trafi na kamienny opór dzielnej i solidarnej ludności, ożywionej podniosłym uczuciem w wytrwałej pracy dla „wielkiej idei“ i umiejącej praktycznie realizować swoje dążności idealne.

Drzewa-olbrzymy.

(*W dziewiczych lasach Ameryki.*)

Wielkie puszcze, których drzewa potężne, uwieńczone na wiosnę zielonym strojem liściastym, lub pokryte pierwszym szronem, wystrzelają ku niebiosom swemi wierzchołkami wysokimi, wywierają wrażenie nader silne, jako wspaśniała i pyszna potęga przyrody.

Kolosy te, przywdziewając co rok świeżą młodość, rozkwitając pod ciepłymi promieniami słonecznymi, by uwieńczyć przy ostrych podmuchach zimy, przechowując w sobie zarówno silne, jak szczodre soki, zapewniające im długie istnienie wieki całe, są jakby uderzającym obrazem życia, wiecznego w swej treści, a ustawicznie odnawiającego się w objawach zewnętrznych.

Te olbrzymy spokojne i na nic nieczułe przetrzymały ciosy, przez czas zadawane; widziały lata, potem wieki, ubiegające powoli, a okresy te nie wyryły na nich śladu widocznego swej siły niszczącej.

Niektóre z nich, jakie jeszcze dzisiaj spotykamy, liczące, jak zapewniają, trzy lub cztery tysiące lat, sięgają, być może, czasów przedhistorycznych, kiedy to człowiek pierwotny, odziany w skóry zwierzęce, miał tylko tę jedną troskę, jak się obronić przed zwierzem płowym i jak wy dostać z ziemi pokarm powszedni przy największych wysiłkach. Drzewa te widziały powierzchnię kuli ziemskiej, pokrytą lasami, znikającą pod bujną roślinnością, której rozkwitu nie nie krępowało. Pod ich cieniem chroniły się zwierzęta dziwne, obecnie zanikłe, po których nie zostały nawet nigdzie ślady żadne, nawet kości pojedyncze.

Człowiek w wiecznej swej walce o byt wytępił całe gatunki zwierząt. Umiał zdobyć sobie posiadłość w przyrodzie dzikiej; karczował ją kawałami. Lecz, do-
szedłszy do puszczy, musiał się zatrzymać wobec jej nie-
zniszczalnej żywności, już to z powodu swej niemocy, już
przez wyrachowanie.

Puszcze, ja-
kie pozostały do
naszych czasów,
pokrywają tyl-
ko bardzo dro-
bną część kuli
ziemskiej, lecz
ich okazy wspa-
niałe świadczą
jeszcze o sile
rozrodczej przy-
rody, gdy jej
człowiek nie
usiłuje zwal-
czać lub hamo-
wać.

Siła ta wy-
stępuje jeszcze
w całej pełni,
zwłaszcza w No-
wym Świecie.
Tam, jak gdzie-
indziej, czynił
wprawdzie czło-
wiek wysiłki
niezawodne, by
ścięsnąć pano-
wanie puszczy,
by ją pozbawić
miejsca, potrze-
bnego mu na
miasta, pałace,
fabryki. Lecz
pomimo nader

małej wrażliwości poetycznej, jaką się odznaczają drwale—
jankesi, pomimo całej gorliwości, z jaką się oddawali i jesz-
cze oddają karczowaniu swej ziemi rodzinnej, to jednak
chyba tylko u nich zapoznać się można z najbardziej podzi-
wienia godnymi okazami roślinności olbrzymiej, do dziś dnia
jeszcze nietkniętej.



Pień z „Dead Giant” przebity jak tunel, pod którym
łatwo może przejeżdżać powóz duży, zaprzężony
w cztery konie.

Przed dwudziestu pięciu mniej więcej laty uczony francuski, Simonin, przeprawiwszy się przez puszcę Calaveras w Ameryce, wystąpił z zachwycającym opisem cudownych *Big Trees*, czyli drzew ogromnych, tamże się znajdujących.

O wiele zresztą wcześniej, w r. 1859, odbył on podróż przez obwód Mariposa, a szczegóły, jakie podał był wtedy o olbrzymiej roślinności tej krainy, uważane były z początku za zbyt przesadne. A jednak były to wiadomości rzeczywiste i dokładne; dziś jeszcze możemy z nich korzystać.

Drzewa olbrzymie Stanów Zjednoczonych dzielą się na dwa gatunki główne: *Redwoody*, których nazwą naukową jest *Sequoia sempervirens*, i *Big Trees*, czyli *Sequoia gigantea*.

Redwoody napotykanne wzdłuż brzegów rzeki, są zawsze zielone, podobne trochę do cedrów i mają liście rzadkie, iglaste; kora ich, dosyć porowata, dochodzi czasami do 90 centymetrów grubości.

Big Trees znajdują się tylko na zachodnim spadku gór Sierra Nevada, od krainy Placer do krainy Tulare, na wysokości między 1,200 a 1,800 metrów.

Chociaż jest tam jeszcze obecnie ośm okręgów, które posiadają znaczne Big Trees, to jednak najbardziej zajmujące są zawsze obwody Calaveras i Mariposa, które oglądał Simonin. Przystęp do nich jest łatwy, zwłaszcza gdy się przybywa od strony San Francisco.

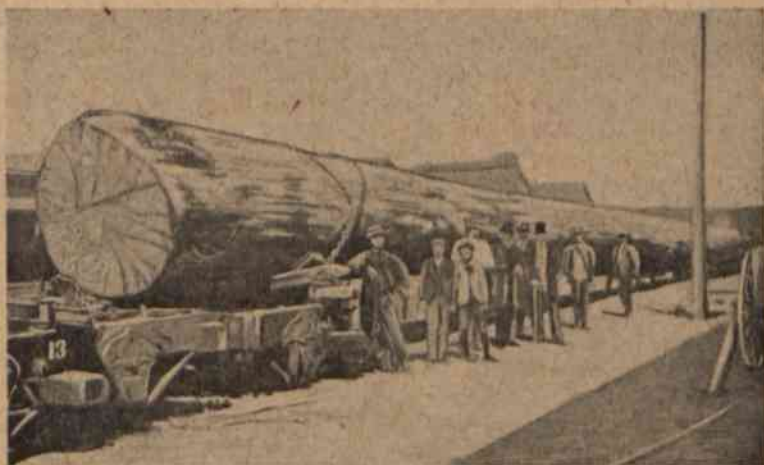
W r. 1841 odkryto Big Trees: generał Jan Bidwell, który dowodził wtedy oddziałem pionierów, jadąc z gronem strzelców ujrzał jeden z tych olbrzymów. Mało mówiono o tem odkryciu, które poszło w zapomnienie, aż do chwili ponownego odkrycia go przez innego strzelca w r. 1853. Ten opowiadał o tem, co znalazł, swym towarzyszom, a ponieważ nie chcieli mu wierzyć, szukał tak długo, aż mu się udało zaprowadzić ich do tej miejscowości, gdzie ujrzał był drzewa olbrzymie. Zwyczajem myśliwskim skomponował historyjkę, że zabił tam niedźwiedzia potwornego, *Grizzly*. Doszedłszy do stóp Big Trees, mówił im: „Oto mój Grizzly“. I ten ogromny *Sequoia* zatrzymał już na zawsze nazwę *Grizzly Giant*. Jest to jedno z najbardziej zdumiewających drzew, jakie pozostały dotychczas w Stanach Zjednoczonych.

Należy do grupy Mariposa i ma 92 metry wysokości, o 24 metry więcej, niż wieża kościoła N. Marji Panny w Paryżu, mająca 68 metrów; przy samej ziemi ma 27 i pół metra ob-

wodu, a na wysokości około 4 metrów nad poziomem gruntu, ma jeszcze 20 metrów obwodu.

Niektóre Big Trees odznaczają się zresztą jeszcze bardziej kolosalnymi rozmiarami. Są takie, co sięgają do 122 metrów wysokości i 12,5 metrów średnicy. Lecz po większej części zdruzgotane i zgrzybiałe, nie wyróżniają się tą zieloną starością, jaka zadziwia w Grizzly Giant.

W jednej tylko grupie Mariposa naliczono 125 drzew, mających przeszło 12 metrów obwodu. Do najciekawszych należy *Dead Giant*, uschły, jak to imię wskazuje. Pień jego jest przebitý nakształt tunelu prawdziwego, przez który przejść może pojazd duży, zaprzężony w cztery konie. Z każ-



Jak się przewozi pień czerwonej jodły (Fir) 37-metrowy. Dwa wagony o ośmiu kołach przenoszą go na miejsce przeznaczenia.

dej strony tunelu zostaje zresztą dosyć drzewa o tyle, aby olbrzym mógł się trzymać bezpiecznie na korzeniach. Jedną z ilustracji naszych przedstawia tę osobliwość, prawdziwie niezwykłą.

Znacznej liczbie tych drzew nadano nazwy własne, po większej części imion historycznych, i w istocie zasługują one na to, aby ich sławę w ten sposób uświęcić.

Oto na przykład *Washington*, mający 26 i pół metra obwodu; potem *Father of the Forest* (Ojciec Puszczy), obecnie powalony, gdyż upadł pod ciężarem wieku. Miał 187 metrów wysokości i 36 i pół metra obwodu. Gdy *Ojciec Puszczy* runął, obliczono, że powinien bez wątpienia mieć blisko 4,000

lat! Dalej idzie również *Legowisko Pioniera*, uschłe. Choć kora jego była oderwana, to średnica u dołu miała jeszcze prawie 10 metrów; wreszcie *Piekność Puszczy*, której wierzchołek sięgał 91 metrów; *Dwaj Wartownicy*, z których każdy dosięgał 97 metrów. Na pniu jednego z tych drzew przepiłowanym u dołu, wybudowano kiosk, wewnątrz którego można było tańczyć kadryla w 16 osób. Pewnego razu przeniesiono nawet do San Francisco kłoc Sequoia, na którym można było ustawić bazar i wyprawić potem bal. W pniu, wygniłym wewnątrz *Monarchy Upadłego*, można było jeździć konno i przebiec tak ze trzydzieści metrów.

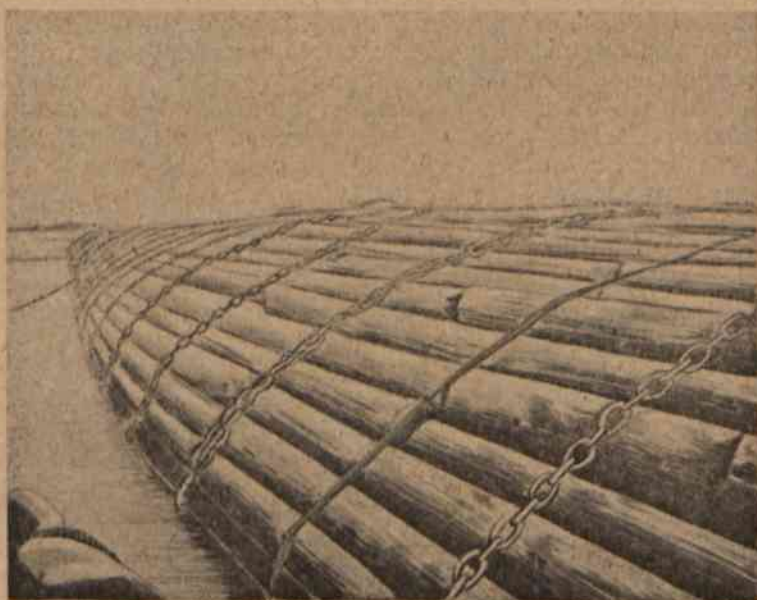
Nie trzeba się dziwić wcale, ujrzawszy jedną z naszych ilustracji, przedstawiającą gromadę żołnierzy na koniu, zebranych na pniu Sequoia, o wycięciu względnie niewielkiem, jakiego dokonała siekiera drwali. Ci jeźdźcy, należący do 4-go pułku amerykańskiego, objechali pewnego dnia część puszczy z Sequoiami, gdy nagle przyszła im do głowy myśl niezwykła, żeby się tak ustawić, celem wytworzenia dokładnego pojęcia o ogromnych rozmiarach tych drzew olbrzymich. Simonin zapewnił zresztą, że znalazł na Mariposie kolos, powalony na ziemię, którego obwód wynosił 40 metrów, a który postawiony, winien był sięgnąć wysokości 150 metrów (więcej niż ośm wielkich domów paryzkich, ustawionych jeden na drugim!).

Kiedyś można było, nie udając się do Ameryki, sądzić z widzenia o ogromie tych kolosów. Odarto z kory Sequoia na długości około 20 metrów i wyprawiono ostrożnie do Anglii ten rodzaj pokrowca, który ustawiono nad okuciem żelaznym, w słynnym Pałacu Kryształowym Sydenhamu; na nieszczęście ten okaz ciekawy uległ pożarowi, który go zniszczył.

Zwiedzający wystawę w Chicago mogli podziwiać część *Generała Szlachetnego*, Sequoii olbrzymiej, przeszło 91 metrów wysokiej, którą przerżnięto na wysokości 6 metrów nad ziemią przez długość 10 metrów, by ją wystawić na *Jarmarku Wszechświatowym*. Część ta była podzielona na czterdzieści sześć kawałków, na których przewóz użyto 11-cie wagonów. Po przybyciu ich do Chicago połączono odcinki: utworzono na nowo pień, a ponacinawszy go z góry na dół, urządzono schody, po których goście wystawowi mogli swobodnie wchodzić aż do szczytu. Pień ten znajduje się obecnie na placu publicznym w Waszyngtonie, a pokryto go dachem, aby uchronić od słoty i niepogody zmiennych pór roku.

Muzeum historii naturalnej w Nowym-Jorku zapragnęło

posiąść okaz Sequoii, zanim ten gatunek olbrzymów zaniknie zupełnie. Kazało więc podciąć drzewo, znane pod nazwą *Mark Twain*, a będące ogromem o 14 metrach średnicy u podstawy; pierwsze gałęzie Marka Twaina znajdowały się na wysokości 91 metrów nad poziomem gruntu. Drzewo całe dało 11,326 metrów sześciennych drewna. Można z tego sądzić, jakim był pień, gdy się weźmie pod uwagę, że ośmnastu jeźdźców wraz z końmi pomieściło się na powierzchni pnia. W około tego tarasu mogło się ustawić kołem pięćdziesięciu dwóch robotników, którzy podcinali Marka Twaina.



Tratwa z pniaków drzew, zbudowana nad brzegiem Oceanu Spokojnego. Długość 181 metrów; waga drewna, jakie zawiera, 10 milionów kilogramów.

Praca podobna jest, ma się rozumieć, bardzo ciężką i trwa bardzo długo. Drwale stoją na lekkim rusztowaniu na pewnej wysokości ponad ziemią; uderzeniami siekiery wytwarza się nacięcia ukośne z obydwu stron; potem podrzyna się piłą z obu stron także, zostawiając nietkniętą część, która przy obalaniu drzewa stanowi rodzaj zawiasy. Pozostaje tylko wtedy wsadzanie klinów do otworów po piłce i obalanie drzewa, które pada na pokłady, celem osłabienia siły upadku.

Z Marka Twaina, rzuconego na ziemię, wycięto kawał gruby 1 m. 30, mający 6 metrów średnicy, a ważący nie mniej niż 30,000 kilogramów. Aby go wywieźć z puszczy, trzeba było podzielić go na mniejsze kawałki, które zebrano ostrożnie po ich przybyciu do Nowego-Jorku.

Na nieszczęście zanik tych drzew cudownych wzrasta teraz coraz szybciej. Rzecz to pewna, że rząd, jak mówią, zachował w *zapasie* pewne części puszczy, które, zdaje się, posiadają najpiękniejsze drzewa; park narodowy w Yellowstone, park w Yosemite, niektóre części stanu Waszyngton tworzą również zapas. Ale gdzieindziej wszędzie trwa gorączka zniszczenia, łatwo zrozumiała, gdy pomyślimy o cenach. Jakie biorą za piękną Sequoię. Drzewo raz porżnięte i sprzedane, przynosi po 150 franków za 25 metrów kubicznych: każde drzewo o rozmiarach, przez nas tylko co opisanych, przedstawia w ten sposób wartość przeszło 81,000 franków. Zresztą jeżeli zabraknie Sequoi, czy właściwie mówiąc, Big Trees, to można się zwrócić do Redwooda. Jego wymiary są jeszcze często bardzo poważne. Oto spojrzycie na fotografię tego odłamka Redwooda, jaki przysłał do Anglii słynny milioner amerykański W. Astor. Założył się i wygrał zakład, że odnajdzie w Ameryce drzewa, na których pniu będzie mógł ustawić stół na 40 osób.

Spoglądajcie też na ten ogromny pień, o którego rozmiarach możecie wyrobić sobie pojęcie, sądząc podług liczby ludzi, na nim siedzących lub przed nim stojących. Miał przeszło 38 metrów długości, a trzeba go było ładować na dwóch wagonach potężnych, aby przesać koleją żelazną do Nowego-Jorku.

Drzewa te nie są zresztą ani Redwoodami, ani Big Trees, aczkolwiek zasługują istotnie na to określenie *big* (grube). To są *Firy*, czyli jodły, które Francuz, Albert Tissander, podczas jednej ze swych podróży około świata, widział obalone na terenach bliskich Seattle, w stanie Waszyngton, i które sfotografował dla użytku gazety. Drzewa te sięgają często do wysokości 80 do 90 metrów. Trzeba je koniecznie sprzedać na miejscu, aby im zaś zapewnić łatwiejszy przewóz, należy urządzić po lesie drogi *szlichtadowe*, rodzaj ślizgawki, zrobionej z pni drzewnych, ułożonych na ziemi równolegle, jeden opodal drugiego. Jeden z naszych rysunków przedstawia dokładnie sposób takiej przeprawy: zapręg wołów ciągnie kłodę drzewa wiekopomnego, podczas gdy maszyna parowa wleczę po drodze drzewa powalone do pewnej odległości. Kłody się wyprawia, już to wodą, już ko-

leją żelazną, do okrętów w portach, gdzie ładują je na specjalne statki parowe.

Celem zmniejszenia kosztów przewozu, pewien właściciel, Robertson, człowiek dowcipny, obmyślił sposób sporządzenia z pni drzewnych ogromnej tratwy w kształcie cygara, którą puszcza się na morze aż do portu, przeznaczonego na miejsce sprzedaży. Rysunek nasz także przedstawia olbrzymie tratwy.



W Allouville-Belle-Fosse, w Normandji istnieje dąb olbrzymi, w którego pniu urządzono dwie kaplice, jedną nad drugą.

Wiadomo, że Ameryka Północna jest jeszcze—choć, być może, niedługo będzie—krajem drzew olbrzymich. Znajdują się również, wyjątkowo co prawda, olbrzymi rodzaju roślinnego w innych stronach świata. Nie mówimy wcale o lasach dziewiczych Ameryki Południowej, Gujany szczegól-

nie, gdzie drzewa sięgają tylko wysokości od 35 do 40 metrów, co się teraz czytelnikom wydaje być wzrostem skromnym. Lecz oto naprzykład Eucalyptusy (rozdręby) w Australji, które zasługują rzetelnie na umieszczenie w spisie, przez nas sporządzonym. Charnay opowiada, że niektóre z nich sięgają do 3 m., 60 średnicy i 100 metrów wysokości. Największy ze wszystkich, *Big-Ben*, jak go nazywają, ma 122 metry wysokości i przeszło 17 metrów obwodu; oszacowano, że powinien mieć przeszło 2,500 lat.

Na wyspie Sumatrze, niedaleko Soeroelangoeu, można wskazać na wspaniałą Waringin, który pokrywa swemi liśćmi ogromną powierzchnię 3,000 metrów kwadratowych, a którego pień posiada rozmiary okazałe, chociaż wysokość drzewa wynosi tylko około 45 metrów.

Wspomnijmy również Banian olbrzymi, który widział Francuz Hocquard w okolicach miasta Hanoï w Tonkinie, a którego liczne gałęzie o długości nadzwyczajnej mogły łatwo zasłonić cały bataljon.

W Afryce spotykamy słynny Baobab z Sili, który ogólnie biorąc, nie posiada tej wspaniałości okazałej, co sequoie, ale ma conajmniej 6 metrów średnicy, a często więcej *).

W Teneriffie wskazują *Dragona* z Icod, którego rozmiary przewyższał kiedyś wymiar *Dragona* z Orotawy, obecnie zniszczonego. Pomimo że to drzewo niepospolite rośnie z krańcową powolnością, to jego pień ma niemniej niż 15 metrów obwodu, co mu pozwala cieszyć się nielada długowiecznością, Madera posiada na brzegach swych dwa drzewa kasztanowe olbrzymie: jedno z nich mierzy 10 metrów, 50 obwodu; we wnętrzu pnia wydrążono izbę, zamkniętą drzwiami.

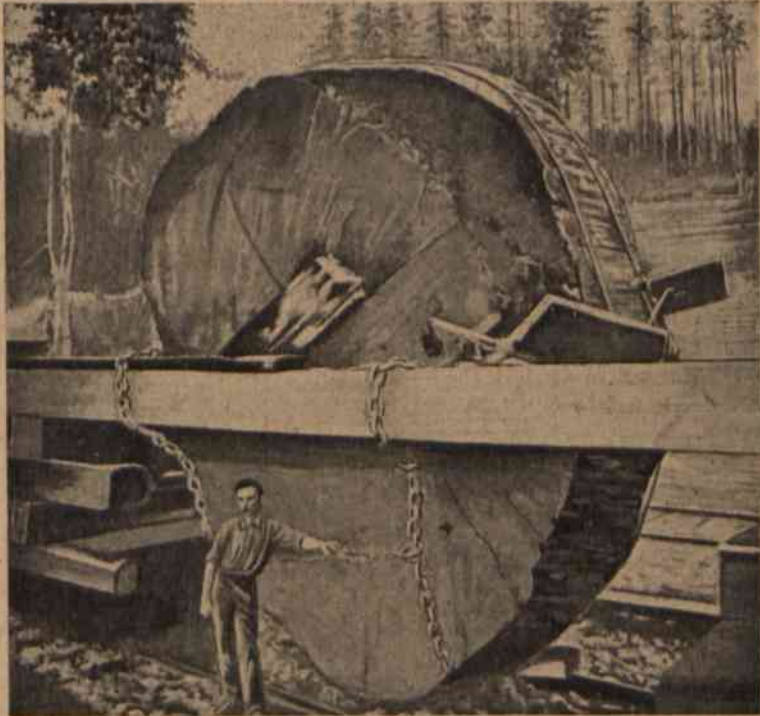
Nie można też pominąć wśród drzew olbrzymich cudnej jodły, wiecznie zielonej z Santa Maria del Tule, w kraju Oaxaca (Meksyk). Jej kopuła ogromna zieloności wydaje się z daleka jakby drzewo małe. Jej pień ma blisko 13 metrów średnicy, a rozmiary te zachowuje jeszcze na 7 lub 8 metrów nad ziemią; co się tyczy jej gałęzi, to te się rozprzestrzeniają na odległość conajmniej 35 metrów.

Z poblizszych nam trzeba wymienić słynny platan z Tadirich w Persji, który ma 15 metrów obwodu, a którego gałęzie, grube jak drzewa, nakrywają budynki, nad jakimi się rozprzestrzeniają; cedry Libanu, pozostałość po

*) W Mohely w Comores, Charnay odfotografował Baobab, który na 17 metrów nad ziemią, miał przeszło 9 metrów średnicy.

cudnych lasach, które ongi pokrywały góry tej krainy, wreszcie jeszcze bliżej, wspaniałe drzewa kasztanowe z Etny.

Nawet we Francji świat roślinny przechował nam okazałe niespodzianki. W Dijon, w ogrodzie publicznym znajduje potworne drzewo topolowe, mające kilkaset lat; w Montigny-Leucoup, blisko Nangis, w Seine-et-Marne, znajduje się cedr cudowny. Paryż sam posiada jesion olbrzymi,



W. Astor kazał ściąć odłam drzewa Redwood, na którym pomieścić się może 40 osób.

który ma jednak tylko lat 300; należy do instytutu głuchoniemych przy ulicy św. Jakóba. Jest 45 metrów wysoki i ma 6 metrów obwodu u podstawy; podczas burzy stracił gałąź, która miała niemniej jak 1 m. 45 obwodu.

Klimat wilgotny Normandji najbardziej sprzyja tym roślinom niezwykłym.

Możemy tutaj przedstawić dwa okazy przed oczyma

czytelników, dzięki fotografjom, jakich dostarczył Henryk Gadeau de Kerville, uczony autor dzieła *Stare drzewa Normandji*. Jeden to jest dąb—kaplica z Allonville-Bellefosse, nad Sekwaną Niższą; na 1 metr nad ziemią obwód jego wynosi 9 m. 79, a można tam było ustawić dwie kaplice, jedną nad drugą; w r. 1896 urządzono tutaj kaplicę dolną. To drzewo cudowne, uległe na nieszczęście teraz zgrzybiałości, winno mieć conajmniej 900 lat. Drugie drzewo, fotografowane i zbadane przez de Kerville, znajduje się na cmentarzu Ménil-Ciboult (Orne); pień jego jest wydrążony i ma przeszło 10 metrów obwodu. Prawdopodobnie ma lat 1600.

Niestety, ta starość sama jest groźbą, a gdy te przodki czeigodne znikną, to możliwą jest rzeczą, że inne olbrzymy dzwigną się z kolei, aby je zastąpić. Lasy ludów cywilizowanych nie są już ani tak żyzne, ani tak jędrne. Człowiek, który zdaje się nie dał im istnieć, chyba ku swemu żalowi, robił wszystko, by je zubożyć i pozbawić siły rozrodczej.

Niechaj że jednak będzie ostrożny! Las może się pomścić. Nie będzie już on ścieśniał grodów pasem zbyt grubym i nader mocnym: prawda! Lecz nie zapominajmyż nigdy, że on jest strażą bezpieczeństwa i zaporą; on to czyści powietrze i wytwarza klimat zdrowy, on chroni równiny przed powodziemi pustoszącymi. Szanujmy go, kochajmy, nie wycinajmy.



Podróż Anglika po krajach zakazanych.

Dotrzeć osobiście, w towarzystwie kilku tragarzy, do miasta tajemniczego Hlasy (lub Lassy), świętego grodu buddaizmu, dokąd od lat 50 nie zajrzał żaden Europejczyk, takie było przedsięwzięcie śmiałe angielskiego dziennikarza, p. Savage Lundora. Nic go nie odstraszało, ani pokryte wiecznym śniegiem góry olbrzymie, najwyższe na ziemi, które bronią Tybetu, niby forteca kolosalna, ani zimno straszne, ani okrucieństwo mieszkańców, stanowczo wzbraniających przystępu do swego kraju cudzoziemcom.

Opis przygód Lundora wygląda na powieść awanturniczą, lecz składa się ze zdarzeń prawdziwych. Sądzimy, że wobec krwawych wypadków w Chinach, przygody Anglika żywo zainteresują czytelników.

Istnieje w Azji kraina, cztery razy większa, niż Francja, biedna i pusta, okolona górami olbrzymimi, najwyższymi na ziemi. Wiatry gwałtowne wytwarzają tam bezustanne wiry pyłu i śniegu; powietrze w wąwozach i na grzbietach gór jest tak rozrzedzone, że czasami zwierzęta padają nagle, jak otrute; z trudnością spotyka się gdzieś kilka krzaków uschłych. Jest to Tybet, ziemia święta buddaizmu.

Nieprzystępne z powodu strasznej zapory śniegów i lodów, które zamykają je z wszech stron, jakby zbroją błyszczącą, kraje te są jeszcze zakazane dla wszystkich bez wyjątku cudzoziemców przez fanatyzm Lamów, kapłanów Bud-

dy. Ich potęga bezgraniczna i samowładna nie dopuszcza żadnego zetknięcia się z cywilizacją, czując, że ona grozi tej władzy ciosem strasznym.

Dalaj-Lama, zwierzchnik religji buddystów, obrany przez zgromadzenie najwyższych kapłanów w hierarchji kościelnej, jest zarazem królem i bogiem. Teoretycznie jest też panem wszechwładnym: w rzeczywistości zarówno władza jego, jak i wybory, na których ją otrzymuje, są zależne od cesarza chińskiego.

Tej krainy ogromnej, w której niema ni postępu, ni ruchu żadnego, a której ludność obliczają na 2 blisko miliony mieszkańców, nie zwiedził żaden cudzoziemiec od lat pięćdziesięciu przeszło. Ostatnimi Europejczykami, którzy dotarli do miasta Lassy (Lhassy), stolicy tajemniczej Tybetu, jeszcze mniej przystępnej dla niewiernych, niż Mekka, byli w r. 1844, ojcowie Huc i Gabet, dwaj misjonarze francuscy. Od tego czasu, Tybetańczycy, obawiając się wpływów rosyjskich i angielskich, zdwoili czujność, zamykając z większą jeszcze starannością wstęp do swego kraju; wszelkie usiłowania w kierunku zniesienia tej ostrożności bezustannej i wielkiej, spелżyły na niczem.

Dotarcie do Lassy jest pomimo to celem wszystkich dążących w te strony. Im bardziej ona się broni przeciw skalaniu świętokradzkemu, tem więcej wzrasta chęć badaczy do odwiedzin miasta.

Anglik, nazwiskiem Savage Landor, opuściwszy Londyn d. 19 marca 1887 r., nie zrażony trudnościami, które mu wszyscy przedstawiali, jako nie do przewyciężenia, zapragnął osobiście uczynić nowy wysiłek. Po trzech tygodniach żeglugi wylądował w Bombaju, z kądem niepowstrzymany nawet panującą zarazą, skierował się zaraz ku granicy indo-tybetańskiej i dotarł tam po dniach kilku.

Śmiały ten podróżnik wyjechał sam jeden; potrzebny mu był konwój, przewodnicy i tragarze do noszenia żywności, prowiantu i narzędzi. Liczył na to, że znajdzie ich u Chokazów, narodu łagodnego i gościnnego, który mieszka u stóp Himalajów. Udało mu to się z wielką trudnością. Podróż, którą miał przedsięwziąć, przerażała każdego, kto o niej sły-



P. Savage Landor i dwaj jego towarzysze: Chauden Sing i Mansing.

szal; nikt nie chciał się narazić na tak straszne niebezpieczeństwa. Dopiero po licznych rozprawach i dzięki przynęcie w postaci grubej zapłaty, wynajął 30 tragarzy, których powierzył rozkazom byłego policjanta angielskiego, Chauden Singa, najętego na kilka tygodni przed tem.

Chociaż był wtedy początek lata, pogoda była dżdżysta i zimna, rzeki zamrożnięte, i jak daleko wzrok sięga, śnieg pokrywał góry, uniemożliwiając przejście przez wąwozy. Już zresztą doszła wieść o planie podróży do władzy tybetańskiej, rozeszły się pogłoski alarmujące. Djong Pen, czyli komendant warowni Taklakot, jeden z wielkorządców Tybetu, zaparł, jak mówiono, wejście do kraju za pomocą 300 ludzi. Oświadczył, że każe szpiega wychłostać, a potem mu głowę ściąć, jeżeli się odważy urzeczywistnić swój zamiar, każe też skonfiskować ziemię tych wszystkich, co ośmielią się mu usługiwać,

Chokasi, którzy znosili bez ustanku okrucieństwa Tybetańczyków, błagali bezskutecznie Savage Landora, aby został wśród nich. Napróżno mu przedstawiali wszystkie niebezpieczeństwa, jakie go czekają w tych okolicach tajemniczych i dzikich, gdzie klimat zarówno jest srogi, jak ludzie; nie wstrzymać nie zdołało odważnego podróżnika. Wyczekując, aż topnienie śniegów umożliwi przejście przez wąwozy, badał często okolice nadgraniczne. Podczas jednej z takich wycieczek stał się ofiarą wypadku, którego omal nie przyplacił życiem.

Na 3600 metrów wysokości — pisze — około 90 metrów po nad rzeką Kouti, miałem przejść przez obszerną górę, silnie zamarzniętą i dosyć stromą. Kilku kulisów (tragarzy) moich szło naprzód, inni szli za nami. Pomimo, że droga już była utorowana przez naszych poprzedników, trzeba było powtórnie sobie torować krok każdy.

Zapadając w śniegu, uderzyłem nogą o lód twardy, pod nim ukryty. Noga, nie mając oparcia, poślizgnęła się, straciłem równowagę, zsunąłem się po spadzistości z szybkością gwałtowną, a w tej mimowolnej ślizgawce po śniegu i lodach towarzyszyły mi krzyki przerażonych kulisów. Zdawałem sobie sprawę z tego, że wpadnę do rzeki i dostanę

się pod szybę lodową, gdzie zginę niezawodnie. Zachowałem jednak krew zimną, palcami zmarzniętymi próbowałem uczepić się śniegu, chciałem zatrzymać się obcasami butów; wszystko bezskutecznie. Wreszcie ujrzałem przed sobą kamień duży, sterczący ze śniegu. Wyteżając rozpaczliwie całą przytomność i siłę, zrozumiałem, gdy już niemal słyszałem szum wody pod sobą, że to ostatnia moja nadzieja. Wyprężyłem silnie nogi i uderzyłem niemi o kamień z takim impetem, że w pierwszej chwili miał wrażenie, jak gdybym wszystkie kości pogruchotał. Uderzenie to jednak mię ocaliło. Potłukło mię wprawdzie boleśnie, lecz zatrzymało tuż nad wodą.

Palce moje krwią ociekały, pocięte lodem. Gdybym był w stanie się podźwignąć, dałem znać swym przestraszonym kulisom, aby szli dalej wzdłuż wody, aż będę mógł znaleźć ścieżkę, którą oni idą.

Śnieg jednak znikał pomalą. Niezadługo góra była wolna. Savage Landor nie stracił chwili. W towarzystwie 30 ludzi, do których dołączył się też pewien hindus Mansing, cierpiący na pierwsze oznaki trądu, a wynajęty w ostatniej chwili, oraz rozbójnik tybetański, czyli daku, skierował się nasz Anglik ku wysokim równinom, tak słusznie i malowniczo zwanym „Dachem świata“. Zabrał żywność na kilka dni tylko, bo nie mógł zbyt obciążać swych ludzi. Przeszkody naturalne, jakie spotykał po swej drodze, wskazały mu natychmiast, jak niebezpieczną jest podróż zamierzona.

Doszedłszy do brzegu rzeki Kali, zastał most zburzony przez topniejące śniegi. Nadeszła noc: bez szumu, bez światła na przeciwnym brzegu. Wszędzie cisza panowała, ta cisza martwa przyrody i uśpionego życia ludzkiego. Trzeba było iść wzdłuż rzeki, ścieżką niebezpieczną, schylającą się ku przepaściom i zaledwie wystarczającą na przejście pojedynczego człowieka. O brzasku dnia Savage Landor na to się odważył.

Niespodziewanie doszliśmy — pisze — do miejsca, gdzie trzeba było stanąć. Przed nami była skała pionowa, spuszczaająca się aż do Kali, prosta, jak mur. Spływająca po niej

kroplami woda ze śniegów uczyniła jej powierzchnię zupełnie śliską. Szerokość tej przełomy wynosiła od 12 do 15 metrów; po drugiej stronie prowadziła ścieżka. Kilku Cho-



„Ześliznąłem się po grzbiecie góry ze strasliwą szybkością.“

kasów posiadało kawałki ziemi na pobrzeżu, gdzieśmy byli, i do przejścia wymyślili sposób następujący. Przywiązawszy człowieka sznurem i przytrzymując go u góry, dopięli



„Nie mogłem głowy odwrócić, by widzieć, gdzie nogi stawiam. Macałem drogę
[nogami bosymi i rękoma.“

tego, że wryli w skałę dwa rzędy dziurek. Górne były przeznaczone na uchwycenie się ich rękoma, dolne dla oparcia nóg; nacięcia te miały tylko po kilka cali głębokości.

Przejsście, zazwyczaj niebezpieczne, wydało się obecnie niemożliwym, bo deszcz drobny, jaki padał, spłukał skały i uczynił je śliskimi, jak szkło; zdawałem sobie jednak sprawę, że trzeba przewyciężyć tę przeszkodę za wszelką cenę. To też udając, że jestem pewny siebie, poszedłem na przód.

Nie mogłem odwrócić głowy i widzieć, gdzie stawiam nogi, bo oparłem całe ciało o ścianę, torując sobie drogę palcami nóg i rąk. Dołki były istotnie tak płytkie, że zaledwie z wielką trudnością można się było posuwać.

Dobrnąłem jednak do drugiej strony muru i stanąłem na ścieżce, szerokiej tylko na 12 do 15 centymetrów. Chauden Sing szedł za mną i dosięgnął również miejsca bezpiecznego bez przeszkód.

Wejście badacza na terytorjum tybetańskie kosztowało go jeszcze więcej trudów. Sprobowałszy przebyć przełęcz Lippou, do czego zmusiły go mrozy i śniegi, Savage Landor postanowił zbliżyć się do wąwozu Laumpiya, gdzie miał przejście łatwiejsze, lubo jeszcze bardzo niebezpieczne. Przebywszy ten wąwóz, był już w Tybecie. Wzniósł namiot na wyżynie 5,150 metrów. Przed nim ciągnęła się kraina nieznaną, pełną tajemnic i grózb. Co tam znajdzie? Wszystko mu się sprzeciwiało: przyroda, klimat, mieszkańcy, ci nawet, co mu towarzyszą, mogą go porzucić i zdradzić.

Pomimo wszelkiej ostrożności, z jaką starał się o utrzymanie w tajemnicy swej podróży, Savage Landor przekonał się prędko, że był ścigany i szpiegowany. Podróż „Sahiba“ była już znana aż nadto. Gdy się zbliżył do warowni Gyanemy, jednej z pierwszych na ziemi tybetańskiej, dwóch żołnierzy, przebranych za żebraków, przyszło do jego obozu prosić o jałmużnę. Zręcznie zbadani, wyznali, że komendant fortecy kazał im się dowiedzieć, czy rzeczywiście sahib przeszedł granicę. Gromadka była opalona przez słońce, nosiła szerokie turbany i czarne okulary; szpiegi wzięli ją za kara-

wanę hinduską, pielgrzymującą do świętego jeziora Mansaraowar, i nie nalegając więcej, oddalili się.

Gdyby się jednak udało nawet ukryć cel podróży, nie można było liczyć na dalsze oszukiwania Tybetańczyków. Cóż robić? zmienić marszrutę? oddalić się? Savage Landor nie myślał o tem ani chwili; postanowił przeciwnie udać się prosto do Gyanemy i zbliżyć się do wroga otwarcie.

Skreślił więc lekkomyślnie ku północo-wschodowi i ujrzał wnet fortecę na pagórku. Zjawiło się zaraz u niego kilku urzędników tybetańskich, oświadczając, iż nie mogą zezwolić nikomu na odwiedzinę Tybetu. Landor z udaną naiwnością prosił ich o pozwolenie na udanie się do jeziora Mansaraowar, podając się za pielgrzyma. Magboum, czyli starszy urzędnik, odrzekł, że sam nie ma prawa na to zezwolić, lecz musi sprawę przedstawić Tarjumowi.

Wypadło tedy gromadce czekać na odpowiedź do dnia następnego. Czuwali noc całą, bo zdawało się, że Tybetańczycy zamierzają urządzić napad. Do tego jednak nie doszło, i z samego rana odwiedził ich Tarjum, ciekawa osobistość, ubrany w długą szatę z zielonego jedwabiu, o dużych rękawach, z tokiem na głowie. Rozmowa trwała kilka godzin i groźbami dopiero S. Landor uzyskał, czego pragnął: swobodę udania się do jeziora.

Zdradzony jednak przez jednego ze swych ludzi, który odkrył Tarjumowi, że jego pan jest „sahibem“, stracił na jutro pozwolenie już uzyskane. Trzeba więc było w obawie śmiertelnej udać się na południe, będąc ściganym i śledzonym przez konnicę tybetańską.

Savage Landor nie mógł wszakże wyrzec się wszystkiego w zupełności. Po dwóch dniach podróży ku południu, powziął zamiar zuchwały podróżowania w nocy, z małą garką ludzi, i zatrzymania się przez dni kilka na grzbietach gór, celem śledzenia Tybetańczyków.

Nie znalazłszy żadnego kulisa do pomocy, postanowił jechać sam jeden, gdy na szczęście dwóch jego przewodników, Katchi i Chauden Sing, oświadczyło, że go nie opuszczą. Udało im się nawet zatrzymać dwumastu kulisów z trzydziestu najętych na początku wyprawy.

O północy, gdy zawieja była silna, gromadka ta, unikając czujności Tybetańczyków, ruszyła w drogę ku miastu świętemu.

Szliśmy ciągle—pisze Landor—w milczeniu. Im wyżej wstępowałiliśmy, tem mróz był tęższy, wiatr bardziej przejmujący. Po kilku chwilach chodzenia, oyliliśmy zmuszeni zatrzymać się i siadać blisko siebie, by się wzajemnie ogrzewać i wypocząć.

Gdy słońce zachodziło, mróz stawał się jeszcze silniejszy. Padał śnieg bardzo obfity, odzież nasza i pokrycia wilgotne zeszywniały od mrozu. Zapaliłem lampkę spirytusową, w około której usiedliśmy. Nadaremnie usiłowałem zagotować przy niej trochę buljonu, ogień zgasł w chwili, gdy woda zaczęła się już rozgrzewać.

Przytuliliśmy się tedy do swych kołder, usiłując na próżno usnąć, ukryci pod swemi pakunkami, jak za murem obronnym. Ludzie moi wtłoczyli się zupełnie w swe kołdry.

Słyszałem, jak przez noc całą stękali, mruclali, zgrzytali zębami gwałtownie. Ja sam budziłem się kilkakrotnie ze snu ciężkiego, doznając silnego uczucia zimna w uszach i w oczach; rzęsy były pokryte szronem.

Zaświtało wreszcie, zdawało nam się, że noc nigdy się nie skończy. Termometr wskazywał 3 stopnie poniżej zera. Zwołałem swych ludzi, którzy trudno się budzili, bo byli także zakopani w śniegu.

Poczęliśmy schodzić w kierunku północno - wschodnim, po spadziściościach zaśnieżonych, z których sterczały szczątki głazów spiczastych, ale ujrawszy przez lunetę w dolinie namiot i kilka owiec, dałem rozkaz powrócenia na pagórek i kierowania się ku wschodowi.

Karawana zaskoczona została straszną wiadomością: żywność się wyczerpała. Po czterech dniach drogi ku jezioru Mansaraowar, trzeba będzie cofać się, albo wpaść w ręce Tybetańczyków! Savage Landor powziął myśl posłania czterech ludzi do warowni Taklakot po żywność. Czterech Chokasów podjęło się tej zuchwałej wyprawy. Przeszło pięć dni. Gromadka ukryta za skałą, karmiła się pokrzywami,

oczekując napróżno powrotu wysłańców. Dwóch innych ludzi udaje się do Kordamu, miejscowości położonej o mil kilka. Wracają wieczorem z niczem, przynoszą owszem wiadomość, że wojsko ze wszystkich stron ściga Sahiba, o którym obiegają wieści dziwne. Mówią, jakoby wszedł do Tybetu z wielką armją, że potrafi chodzić po wodzie i latać po nad górami.

Upłynęły jeszcze trzy dni bez wiadomości, w rozpaczey prawie, gdy w tem Chokasowie powrócili w nocy. Lecz w jakim stanie! Wyczerpani i strachem przejęci, męczeni



„Widząc, że się sблиżam ku nim ze strzelbą w ręku, Tybetańscy słońyli broń i padli na ziemię“.

i więzieni w Taklakot; udało im się wykraść dopiero, gdy upili swych dozorców. Oni także opowiadali, że tysiąc żołnierzy ściga podróżnika, za którego głowę wyznaczono nagrodę. Gubernator obiecał 300 rupji temu, co go przyprowadzi martwego lub żywego.

Zaledwie groźbami śmiertelnymi zdołał Savage Landor zatrzymać swych kulisów przerażonych i zabronić im uciekać. Ale nagroda 300 rupji nęciła ich; usiłowawszy zabić swego pana, co im się nie udało, starali się teraz oddać go

podstępnie w ręce Tybetańczyków. Savage Landor, przeskodziwszy im raz jeszcze w zdradzeniu, dostąpił jeszcze tego, że ich zmusił do towarzyszenia sobie aż do jeziora Mansaraowar. Gdy karawana nadeszła tutaj, porzucili go ostatecznie.

Odważny badacz pozostał tylko z czterema towarzyszami. Pomimo to ruszył w dalszą drogę z całą stanowczością, skoro tylko uzyskał żywność na pięć dni. Niezadługo porzuciło go dwóch służących, zabrawszy swe pakunki. Pozostał mu tylko wierny Chauden Sing i Mansing trędowaty. Podróżnicy posuwali się na gruncie błotnistym, deszcz ich smagał, wiatr siekał; unikali zaś miejsc zaludnionych. Nie mieli już pokarmu, ani też paliwa.

Pewnego wieczoru spotkali oddział, złożony z jakichś 150 żołnierzy, cwałujących na oklep w pogoni za nimi. Schowali się i obozowali noc całą na wyżynie 5,100 metrów, gotowi do ucieczki za pierwszym hałasem. Z samego rana wszakże odnaleźli ich żołnierze; byli niemało rozgniewani. Savage Landor w towarzystwie Chauden Singa, zbliża się do nich, uzbrojony w strzelbę. Wtedy Tybetańczycy przerażeni składają broń, dają mu żywność, ser, owoce, baryłkę masła. Savage Landor przyjmuje, ponieważ jednak Tybetańczycy chcą jednocześnie przeszkodzić mu w pochodzie, rzuca w jednego z nich dużą osetkę masła, potem workami mąki, owoców. To bombardowanie niespodziane przeraża ich tak, że uciekają czempędzej.

W kilka dni później nowe spotkanie Tybetańczyków.

Chauden Sing—opowiada badacz—pokazał nam szczyt pagórka, na którym widniało kilka głów, czatujących za skałami. Przeszliśmy mimo nich, udając, że się ich nie obawiamy i widzieliśmy, jak wyszli z kryjówek i schodzili po grzbiecie, prowadząc z sobą konie. Zszedłszy w dolinę, wskoczyli na siodła i puścili się w pogoń za nami.

Gdy byli już na jakie sto metrów od nas, zeskoczyli z koni, a starzec, rzucając ceremonjalnie swą strzelbę i pałasz, wszedł w sam nasz środek. Przyjęliśmy go przyjaźnie, ubawił też nas bardzo.

— Jestem tylko posłem—rzekł do nas. Przeto nie gnie-

wajcie się, gdy do was mówię. Przynoszę tylko słowa swych oficerów, którzy nie śmia przyjsć, aby nie oberwali czego. W Lassie, zkad przyjeżdżamy, mówiono, że w Tybecie jest *Plenki* (Anglik), z licznem wojskiem, i że nigdzie go znaleźć nie można. Posłano nas, by go ująć. Czy należycie do jego straży przedniej?

Nie — odrzekłem spokojnie.—Przypuszczam, że potrzebowaliście kilku miesięcy czasu na przyjazd z Lassy?

— Dwanaście dni — powiada — dwanaście dni byliśmy w drodze. Dano nam rozkaz, abyśmy nie wrócili, zanim nie schwycimy Plenki. A pan—zapytuje mnie tonem badawczym,—ile czasu potrzebował na przyjazd z Ladaka?

Oznajmił mi dalej, że poznaje po rysach twarzy mojej, iż jestem Kaszmirczykiem. Zadawał mi rozmaite pytania, usiłując zbadać, czy jestem *punditem*, posłanym przez rząd indyjski, by wzniecić powstanie w kraju.

— Jestem pielgrzymem—odpowiedziałem mu—odwiedzającym klasztor. Pochwalił mię bardzo i wyraził gotowość swą do wskazania mi drogi do jeziora Gounkyo. Przyjąłem.

Podróżowaliśmy w towarzystwie dziesięciu żołnierzy. Przebywszy wąwóz i przeszedłszy przez kilka pasm wzgórków, znaleźliśmy się w końcu w dolinie, pełnej zieleni i osłoniętej jeziorem Gounkyo. Obozowaliśmy na wyżynie 5,018 metrów.

Nazajutrz rano puściliśmy się w drogę do przesmyku Mañoum. Nasi przyjaciele tybetańscy, napotkawszy miejsce odpowiednie na obóz, otoczone ścianami z kamieni, żądali, abyśmy się zatrzymali. Odmówiłem.

Wtedy żołnierze obozowi zaczęli nam grozić, że nas zabiją, jeżeli się ruszymy z miejsca.

— Będziemy zmuszeni głowy wam ściąć, albo wy nam utniecie,—wołało jednocześnie kilku z nich.

Tybetańczycy nie wiedzieli co robić, a widząc, że kieruję się do wąwozu, zdjęli czapki i kłaniali nam się uniżenie, wysuwając język na pożegnanie, podnieśli dłonie, jak wymaga grzeczność tego kraju.

Byliśmy jeszcze na szczycie Maïouma, gdyśmy ujrzeli, że kilku żołnierzy tybetańskich, z którymiśmy się rozstali, pędzi konno za nami. Przystanęliśmy, czekając odważnie; gdy się do nas zbliżyli, ich zwierzchnik, wskazując na dolinę, rozciągającą się za wąwozem, zawołał: „Tam się mieści Lassa, a zabraniamy wam tam wejść“.

Nie zwracałem uwagi na ich zakazy i wszedłem w krainę najświętszą ze wszystkich krain świętych, na „teren boży“. Zeszliśmy szybko po stronie wschodniej przesmyku. Żołnierze spoglądali na nas z przestachem, patrzyli za nami jakiś czas i znikli.

Savage Landor i jego towarzysze mogli iść dalej bez przeszkody. Byli teraz na grzbiecie góry Brahma-tram, odkryli źródło tej rzeki świętej, wzdłuż której szli z początku do chwili, gdy musieli ją porzucić, ponieważ skręca za bardzo ku południowi. Biorąc się więcej na północ, natrafili na ślady kopyt końskich, setkami znaczonych, które prowadziły przez wąwóz 5,410 metrów wysoki. Widocznie była to droga do Lassy. Zabrakło znowu żywności; spotkali wprawdzie jeden obóz Tybetańczyków, potem drugi, lecz nie mogli dostać prowiantu. Podróżnicy więc ujrzeli się w środku Tybetu, bez żywności i bez innej odzieży i obuwia, prócz tych, jakie mieli na sobie, a które się rozpadały w strzępy; w około siebie mieli tylko wrogów. W takim położeniu okropnem najodważniejsi tracą odwagę.

Karawana jednak szła dalej i doszła wreszcie do obozowiska, w którym było około ośmdziesiąt namiotów czarnych. Tybetańczycy, którzy tam się znajdowali, przywitali ich grzecznie i zgodzili się sprzedać im konie, odzież i żywność. Jeden z nich, zwany Ando, który się uważał za Gourkę, choć był ubrany, jak Tybetańczyk, podjął się przyprowadzić nazajutrz rano konie.

Przez resztę dnia Savage Landor starał się dowiedzieć, bardzo ostrożnie, jaką drogą dotrzeć można do Lassy. Na północy rozpoczynał się wąwóz w łańcuchu pagórków; tędy należało się przepawić; główny gościniec do Lassy stawał się istotnie coraz bardziej ludnym, przeto byłoby rozsądniej porzucić go i wybrać inny, bardziej pusty. Zamiarem badacza

było dojść w ubraniu europejskiem aż do odległości kilku kilometrów od Lassy, tu się przebrać i wędrczyć w nocy do świętego miasta.

Tybetańczycy zachowali się spokojnie, Savage Landor więc niczego nie podejrzewał. Niedługo jednak przekonał się, że się mylił. Nazajutrz rano przyszedł Ando i kilku jeszcze Tybetańczyków, jak to był obiecał, by sprzedać żywność i pokazać konie. Chauden Sing i Mansing probowali jednego konia po drugim. Wybrawszy bardzo ładne zwierzę, Chauden Sing przywołał swego pana, żeby i on je oglądał.

Nie podejrzewając zdrady, mówi Savage Landor, poszedłem bez broni w kierunku wskazanym. Krajowcy mi towarzyszyli. Stałem tam z rękoma założonemi i pamiętam jeszcze przyjemny wyraz oblicza Chauden Singa, gdym pochwalił jego wybór.

Nachyliłem się, by zbadać nogi przednie konia, gdy nagle uczułem, że mnie chwytają z tyłu kilka osób; porwawszy mnie za szyję, za dłonie i nogi, rzucono twarzą na ziemię. Walcząc energicznie, uwolniłem się szczęśliwie z rąk kilku napastników, lecz nowi wrogowie rzucili się na mnie natychmiast. Otoczyło mnie około trzydziestu ludzi, uderzając na mnie ze wszystkich stron. Trzykrotnie obalili mię na ziemię, trzy razy udało mi się powstać; walczyłem pięściami, nogami, głową i zębami, uderzając na prawo i lewo wszystko, co mi pod rękę przyszło. Pomimo przewagi liczebnej mych napastników, tchórzliwi byli nie do uwierzenia, mogłem przeto opierać się im przez jakie dwadzieścia minut.

Odzież moja była porwana na strzępy, ze wszech stron rzucali na mnie długie sznury, w które zaplątały się moje nogi. W końcu udało się Tybetańczykom zarzucić mi jeden sznur na szyję, czem mnie zwyciężyli. Ciągnęli sznur do siebie, jakby chcieli mię udusić; dławiliem się. Zdawało mi się, że oczy z jam mi wychodzą; byłem już odtąd w ich mocy. Włoczyli mnie po ziemi i bili, kopiąc butami ciężkimi, kutemi tak długo, aż straciłem przytomność. Zwią-

zali mi potem dłonie na grzbiecie i zarzucili jeszcze sznurki na łokcie, pierś, szyję i golenie.

Savage Landor był więźniem. Jego wysiłki nadludzkie nie udały się. Gdy już przetrwał tyle niebezpieczeństw i cierpień, czekały go teraz najstraszniejsze męczarnie z rąk Tybetańczyków.

Miały być one karą za jego zuchwałość.

Więzień Tybetańczyków. — Śledztwo. — Początek tortur.

Landor i dwaj służący, otoczeni przez Tybetańczyków, którzy przyszli do pomocy w sile 400 żołnierzy zbrojnych, przedtem ukrytych w pobliżu, byli bardzo prędko spętani, jak zbrodniarze niebezpieczni, tak iż nie byli w stanie uczynić żadnego poruszenia.

Pomyślawszy — pisze podróżnik, — że Tybetańczycy musieli mieć 500 ludzi, by chwycić Anglika i dwóch służących, na pół martwych z głodu; zastanowiwszy się nad tem, że nasi wrogowie, by złować nas, jak zbrodniarzy niebezpiecznych, musieli uciekać się do zdrady najpodlejszej; dowiedziawszy się, że ci żołnierze należeli do wyboru wojska Lassy i Chigatre, posłani umyślnie, by pojąć nas i uczynić więźniami, nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu lekceważenia.

Tybetańczycy nie mieli już teraz powodu obawiania się karawany; postanowiwszy pomścić przestרח, jakiego była przyczyną, przytąpili wnet do torturowania Landora i dwóch jego towarzyszy. Nienawiść ich do Europejczyków, a zwłaszcza do Anglików, podsunęła im kary najbardziej wyrafinowane.

Zabrali się naprzód do pakunków i narzędzi naukowych podróżnika: wymierzając najokrutniejszą karę moralną, jaka spotkać może uczonego, łamali barometry, kompasy, sekstansy i przyrządy fotograficzne. Potem odłączyli Savage Landora od dwóch jego sług wiernych i zaprowadzili do obozowiska tybetańskiego. Zabrano zaraz więźnia do obszernego na-

miotu, w którym zasiadał trybunał, a na jego czele Pomba, gubernator prowincji.

Na wysokiem krześle—opowiada Landor—w środku namiotu, siedział człowiek, ubrany w szerokie spodnie jaskrawo-żółtej barwy i płaszczyk krótki, żółty o rozwiewnych rękawach. Na głowie miał czapkę czworokańczastą, całą złoconą, na której wymalowano troje dużych oczów. Wydawał się młodym. Głowę miał zupełnie ogoloną, bo był to lama pierwszego rzędu, wielki lama, o władzy pana udzielnego. Ponieważ trzymałem się prosto, zadarłszy dumnie głowę,



Kara wymierzona Chauden-Singowi. (Podług akwareli Savage Landora).

„Dwóch lamów zaczęło bić mego sługę rżemieniami obciążonemi otowiem. Biedny kułis zachował się bohatercko; ani słowo, ani prośba, ani skarga nie wyszły z ust jego“.

rzuciło się ku mnie dwóch lamów, każąc mi przykłęknąć. Odmówiłem, probowali mnie siłą zmusić do ukłęknięcia, lecz to im się nie udało.

Pombo wściekły przemówił do mnie potokiem słów gwałtownych. Mówił klasycznym językiem tybetańskim, lecz nie znając ani słowa tybetańskiej mowy potocznej, nie rozumiiałem nic, prosiłem go tedy, aby nie używał wyrazów tak pięknych, bo są dla mnie niezrozumiałe.

Wielka osobistość zdumiona była, słysząc mą prośbę.

Potem, marszcząc brwi, dał mi znać, abym spojrzał na lewo. Żołnierze i lamowie usunęli się i ujrzałem Chauden Singa, leżącego twarzą do ziemi, z obnażoną dolną częścią ciała. Dwóch grubych lamów zaczęło go bić od pasa do nóg rzemieniami, obłożonemi ołowiem. Biedny chłopiec broczył całą we krwi. Każde uderzenie, spadłe na jego skórę, kłuło moje serce, jakby sztyletem; lecz wiedziałem, że gdybym zdradził jakiegokolwiek nad nim współczucie, toby go bili jeszcze silniej. Patrzyłem więc na jego mękę, jak na widowisko zupełnie powszednie. Lamowie, najbliżej mnie stojący, kładli mi wtedy pięści na nos, mówiąc, że przyjdzie na mnie kolej.

— Będziemy cię bili — mówili — aż powiesz, czego chcemy.

— *Nikutza, Nikutza.* Bardzo dobrze, bardzo dobrze—odpowiadałem z uśmiechem.

Pombo i jego urzędnicy nie wiedzieli widocznie, co ze mną robić. Poznałem to dobrze po ich twarzach, a im więcej się przekonywałem, że plan mi się uda, tem stawałem się odważniejszym i dalej grałem swą rolę.

Dwaj lamowie, którzy męczyli Chauden Singa, zostawwszy w spokoju swą ofiarę, pokazali mi notatki i kartki, śledząc mą fizjognomję. Jeżeli powiem prawdę, — mówili — подарują mi życie. Inaczej będą mnie chłostali, a potem głowę zetną. Odrzekłem, że mówić będę prawdę, bez względu na to, czy mnie ukarzą, czy nie.

Wyłożyłem im znaczenie mych aktów możliwie jasno, zapewniając, że ja to powzięłem myśl o takiej podróży, że sam jeden wybrałem się w drogę i że biedny mój sługa jest niewinny.

Pomimo tych wyjaśnień, chłostali dalej nieszczęśliwego Chauden Singa, który z udręczenia gryzł ziemię za każdym uderzeniem. Zachowywał się jednak bohatersko: ani słowo skargi, ani prośby nie wyszło z ust jego. Twierdził, że ja mówiłem prawdę, i że on nic więcej niema do powiedzenia. Co się mnie tyczy, to strzeżony przez lamów i oficerów, przypatrywałem się tej scenie okrutnej ze stoicyzmem wymuszonym. Wreszcie rozgniewani z powodu mej krwi zim-

nej, dali rozkaz żołnierzom, żeby mnie uprowadzili do najdalszego namiotu w obozowisku.

Deszcz zaczął wtedy padać. To było dla nas szczęśliwą przygodą. W Tybecie, jak w Chinach, ulewa silne wywiera wrażenie na lud; zdarzało się nawet, iż bijatyki przerywano w czasie deszczu. To samo stało się i tutaj: od pierwszych kropli, żołnierze i lamowie usunęli się do swych namiotów, co do mnie, pociągnęli mnie aż do najdalszego namiotu obozowiska.



Szalony galop. (Rysunek Savage Landora).

„Z rękoma swiążanemi na plecach sznurem długim, trzymanym przez Tybetańczyka, siedziałem na koniu, podniecanym przez galopującego obok mnie jeźdźcę. Trzymający za sznur, usiłował mię wysadzić z siodła, a każde poruszenie konia wpychało głębiej w me biodra gwoździe siodła tortur“.

Namioty tybetańskie nie grzeszą nigdy zbytnią czystością; miejsce jednak, gdzie miałem noc przepędzić, było najplugawsze. Sznurów ściągniętych tak, że się wpijały w me ciało, niepodobna było usunąć; lecz niemniej przykre było to, że po chwili oblażło mię robactwo, jakiego namiot był pełen. Ta plaga dokuczała mi okropnie przez pozostałe dni mej niewoli.

Savage Landor przepędził więc noc w tem miejscu ohy-

dnem. Można sobie wyobrazić, jakie myśli ponure nawiedzały go przez ten czas.

Przez część dnia następnego był wystawiony na urągawisko motłochu, napływającego wciąż z okolicy. Pluli mu w twarz, ciskali weń błotem, aż do chwili, gdy żołnierze przyszli po niego, celem zaprowadzenia, jak mówili, do miastu Taklakot i skierowania go ztąd do granicy.

Lecz przed odjazdem mieli rozkaz, jak dodali, odstawienia go do namiotu nadzorcy. Tutaj pocieszył się, gdyż zastał przy życiu dwóch swych służących, lecz w jakim stanie! Mansing, pomimo że lamowie go męczyli, był mniej zbity, niż biedny Chauden Sing. Ujrawszy swego pana, odważny sługa miał zaledwie tyle siły, by się doń odezwać głosem konającym: „*Hazur, hazur, hum murgiaega.*“ („Panie, panie, umieram“).

Landor, pomimo że dźwigał kajdany na rękach i nogach, odepchnął strażników i chciał przyjść z pomocą nieszczęsnemu.

Byłem już bardzo blisko niego—opowiada,—gdy żołnierze podskoczyli ku mnie, unieśli mię do góry i rzucili na konia.

Uprowadzono mnie do Taklakot, zdołałem jednak krzyknąć przewodnikowi: Ciebie jutro tam odprawią.

Galop gwałtowny. Siodło tortur.

Siodło, na którem mnie umieszczono, było z drzewa, bardzo wysokie, w tyle jego tkwiło pięć czy sześć sztywtów żelaznych. Gdym siedział na tem narzędziu tortur, sztywty darły mi ciało z krzyża.

Jeźdźców 20 do 30, zbrojnych w muszkiety i szable, przyłączyło się do gromady mych strażników, a podróżowaliśmy z szaloną szybkością. Jeden z jeźdźców prowadził mego konia za sznur. Ujechaliśmy w ten sposób całe kilometry.

Posuwaliśmy się wzdłuż nieskończonego szeregu pagórków z piasku żółtego, falistych. Wtem ujrzelśmy z da-



Męka ogniowa. (Rysunek Savage Landora).

Trzymając pręt żelazny, rozżarzony w ogniu, Pombo zbliżył go do oczu Savage Lindora. Gdy podróżnik podniósł powieki szalone, widział około siebie tylko mgłę czerwoną.

leka gromadę 200 jeźdźców, po za którą kłębiły się tumany kurzu.

Połączyliśmy się z nimi. Niebawem zaczęto szykować drugi numer sensacyjny programu mych tortur.

Przyniesiono powróż z sierści yaka (wołu tybetańskiego), od 40 do 50 metrów długi; jeden koniec powrozu uwłazali przy mych kajdanach, a drugi trzymał jeździec. Potem zaczęliśmy znowu pędzić szalenie, tym razem w towarzystwie Pomba i wszystkich ludzi. Nie mogłem się wstrzymać od oglądania się parę razy, by zobaczyć, co robią. Orszak konny miał wygląd dziwaczny i malowniczy: ludzie ci, ubrani w stroje różnobarwne, mieli strzelby skałkowe, zdobne czerwonymi flagami, szable kunsztownie wysadzone, chorągwie z długimi wstęgami, jaskrawe i falujące w powietrzu. Wszyscy galopowali szybko, krzycząc, wyjąc, świszcząc, pośród dźwięku ogłuszającego tysięcy dzwonek.

Sznur, za który mnie trzymał jeden z Tybetańczyków, był bardzo mocny; mimo to, gdy pociągnięto go tak silnie, by mnie wysadzić z siodła, przerwał się niespodziewanie. Człowiek powalił się ciężko na ziemię, a ja z wielką trudnością utrzymałem się zaledwie na siodle. Ten wypadek śmieszny dał z początku powód do niejakej wesołości ludziom z mego konwoju, zarazem jednak pomyśleli zabobonnie, że to zła przepowiednia.

Wreszcie po tym okropnym galopie dojechaliśmy przed wieczorem do miejsca przeznaczenia. Na szczycie pagórka widniała forteca i siedziba lamów, u stóp pagórka wznosił się namiot Pomba pstro ubarwiony. Nazwa tego miejsca, jakłem się później dowiedział, była Namyi Lacce Galchio, lub Gyatcho.

Męka ogniowa. Pombo chce mi wypalić oczy.

Dwóch czy trzech ludzi wyrwało mnie z siodła gwałtownie. Ból, jakiego doznawałem w kości grzbietowej, był tak dokuczliwy, że prosiłem ich o chwilę wypoczynku. Lecz odmówili i popychając mnie przed siebie brutalnie, oświad-

czyli, że prowadzą mnie do miejsca, gdzie mi zetną głowę. Cała tłuszcza lamów i żołnierzy poczęła wtedy drwić ze mnie, wykonywując ruchy, oznaczające ścięcie głowy, i urągając mi na wszelkie sposoby. Potem mnie zawleczono do miejsca egzekucji, po lewej stronie wejścia do namiotu.

Do ziemi była przytwierdzona gruba belka drewniana, w kształcie graniasto-słupa; postawiono mnie na niej, a kilku ludzi usiłowało rozciągnąć mi nogi, o ile to tylko było możliwe. Gdym stał w tak bolesnej pozycji, oprawcy przy-



Męka ścinania Savage Landora. (Podług akwareli Savage Landora).

wiązali mi nogi do szczapy drzewa sznurami z sierści yaka tak mocno, że przecięły głęboko skórę.

Zbój Nerba, jeden z najgorliwszych Tybetańczyków w zadawaniu mi tortur, zaszedł mnie wtedy z tyłu, pochwylił za włosy, które były bardzo długie, ponieważ nie strzygłem ich przeszło pięć miesięcy, i bawił się odwracaniem mi w tył głowy.

Przed Pombem stały rzędem najwstrętniejsze okazy ludzi, jakie kiedykolwiek widziałem. Gruba osobistość o postaci odrażającej trzymała w ręce młotek sękaty, używany do łamania kości ofiar; drugi miał łuk i strzały, trzeci trzy-

mał miecz obosieczny, inni pokazywali szereg odmiennych narzędzi tortury. Motłoch, spragniony krwi mojej, ugrupował się w półkole, zostawiając dosyć wolnej przestrzeni, abym mógł widzieć wystawę narzędzi zemsty, czekających na mnie, a które lamowie poruszali, jakby szykując się do dzieła.

Dla nadania większego powabu widowisku, trzech lamowie muzykalni narobili swemi instrumentami wrzasku ogłuszającego; pierwszy dał w róg olbrzymi, z którego wydobywał grzmot ochrypty; drugi uderzał z wielkim zamachem w bęben, trzeci w cymbały. Po pewnej przerwie czwarty muzykant zaczął uderzać bezustannie w gong ogromny.

Przez ten czas żarzył się na węglach drąg żelazny, wprawiony w rękojeść drewnianą.

„*Ngayhi kin meh taxou!*“ („Będziemy ci oczy wypalali“), wykrzykiwali lamowie chórem.

I Pombo, wzięwszy sztabę żelazną w ręce, zbliżył się do mnie, potrząsając okropnem narzędziem. Spojrzałem na jego oblicze: odwrócił oczy. Zdawał się ociągać z robotą, ale lamowie otaczający podniecali go przeciw mnie.

— Przybyłeś do tego kraju, żeby go oglądać—mówił do mnie, robiąc przymówkę do mego opowiadania wczorajszego.—Oto kara twoja.

Wymówiwszy te słowa, Pombo podniósł rękę i sięgnął drągiem żelaznym czerwonym na jakie 3 lub 4 centymetry przed memi oczyma, dotykając mi prawie nosa. Przymknąłem oczy instynktownie z całej siły; ale żar był tak silny, że zdawało mi się, iż oczy, a zwłaszcza lewe oko, wysychają mi na oczekaniu i że czuję ból przejmujący w nosie.

Ból ten dłużył mi się nieskończenie, choć nie przypuszczam, aby trzymał ten drąg żelazny gorący przed oczyma więcej, niż pół minuty. Gdy podniósł powieki zbolące, miałem tylko wrażenie mgły różowej. Lewe oko bolało mię strasznie i co chwila zdawało mi się, że coś mi zasłania wzrok. Co się tyczy prawego, to na nie widziałem jeszcze trochę. Drąg żelazny gorący leżał na ziemi, porzucony o kilka kroków odemnie.

Lamowie każą mi ściąć głowę.

Podczas gdy tak stałem, mając nogi szeroko rozciągnięte, zakrwawione plecy, ręce, nogi, widząc wszystko w okropnym świetle czerwonym, pośród ogłuszającego huku gonga, bębna, cymbałów i rogu, motłoch urągał mi i pluł na mnie, krzycząc bez ustanku: „Na śmierć, na śmierć!“ Byłem tylko tyle w stanie uczynić: zachować spokój, panować nad sobą i patrzeć z pozorną obojętnością na przygotowania do nowych tortur, jakie mi mają zadawać.

„*Miumta nani sehko*“.— („Zabijcie go ze strzelby“), wykrzyknął nagle głos ochrypły, panujący nad całym tym zgiełkiem.

I żołnierz wziął się zaraz do swego obowiązku: nawet strzelbę z lontem, kładąc do lufy tyle prochu, że strzelając, sam siebie raczej by zabił; to też z pewnym zadowoleniem ujrzałem, że daje broń samemu Pombo. Ten zbliżył ją do mego czoła. Potem żołnierz się schylił i przyłożył ogień do lontu. Rozległ się huk, wybuch uderzył mię silnie; ku powszechnemu jednak zdziwieniu, strzelba zbyt naładowana, wypadła z rąk Pombo. Mimo bólu, jaki mi sprawiło wstrząśnienie, usiłowałem się roześmiać.

Motłoch, zawstydzony tym ostatnim wypadkiem, oburzony z powodu nieudania się wszystkich tych usiłowań, zaczął wydawać krzyki dzikie. „Zabijcie go, zabijcie! Nie będziemy się go lękali!“, wołał ze wszystkich stron.

Podano miecz obosieczny Pombo, który go wyjął z pochwy. Będąc wszakże pod wrażeniem ostatniego wypadku, który przypisywał niezawodnie sile nadprzyrodzonej, wahał się przystąpić do dzieła.

Skorzystałem z tej zwłoki, by oświadczyć, że łmogą mnie zabić, jeśli chcą, lecz jeżeli mnie dziś zabiją, to wszyscy pomrą jutro—to fakt niezaprzeczony. To oświadczenie oziębilo ich na chwilę. Lecz wzburzenie tłumu było za duże, żeby się uspokoiło, Pombo zaś dostał nowego napadu szaleństwa. Pienił się, zakasał rękawy i ruszył ku mnie krokiem wolnym i ociężałym, kiwając się z obnażoną klingą miecza na prawo i lewo.

Kat stał teraz zupełnie blisko mnie. Trzymał miecz w rękach drżących, unosząc go bardzo wysoko nad ramionami. Potem spuścił go aż do mego karku, którego dotknął ostrzem, jakby chciał zmierzyć odstęp potrzebny do zadania ciosu pewnego. Odstąpiwszy później na krok, wznosił broń żywo i uderzył nią z całych sił; miecz przeszedł w sposób bardzo nieprzyjemny około mej szyi, ale mnie nie dotknął. Nie drgnąłem nawet, nie mówiłem nic, a postawa moja zda-



„Mansing i ja, swiżsani byliśmy przy jednej belce, i przywiązani wałkami do słupów. Ciężar naszego ciała sprawiał cierpienie nie do wytrzymania“. (Rysunek Savag^a Landora).

wała się napawać strachem kata. On widocznie wzdragał się dalej ciągnąć tę robotę piekielną. Wszelako motłoch był coraz więcej niecierpliwy i burzliwy, a lamowie go otaczający, podniecali go gestami szalonymi. Zaczął na nowo działać, z drugiej strony mej głowy. Tym razem ostrze przeszło tak blisko, że musnęło prawie mą szyję.

Zdawało się, że los mój jest rozstrzygnięty i że niema nadziei żadnej. Lecz, rzecz ciekawa, nawet w tem położe-

niu nie przedstawiałem sobie, że mam istotnie umrzeć w tej chwili. Dlaczego? nie mogę sobie wytłumaczyć; nie wiedziałem bowiem, że obyczaj zabraniają tu doraźnego stracenia.

Po wszystkich niebezpieczeństwach, cierpieniach i wzruszeniach ostatnich tygodni, nie zdawałem sobie sprawy z bliskości zraty, jakbym to był czynił naprzykład, gdyby wprost z mych ślicznie umeblowanych pokojów w Londynie zawleczono mnie na miejsce stracenia.

Wyglądało to tak, jakby te ćwiczenia nieprzyjemne z mieczem stanowiły nieraz wstęp do egzekucji w Tybecie, celem przyczynienia większych cierpień ofierze. Dowiedziałem się dopiero w parę tygodni później, że przeważnie za trzecim razem dopiero niepoprawnemu przestępcy ścinają głowę.

Przygotowania do kary śmierci w Tybecie.—Męka tortur.

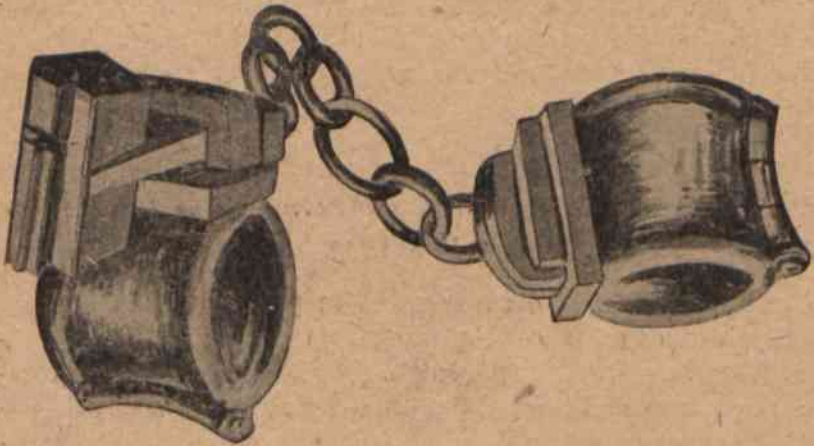
Lamowie, upodobawszy sobie te przygotowania do kary śmierci, domagali się dalej mego uśmiercenia. Lecz pomimo ich wściekłości i wycia dzikiego, Pombo opierał się z całą stanowczością, odmawiając przedłużenia tej sceny i spoglądając na mnie jakby ze strachem, a zarazem z szacunkiem, tak go zdumiła moja zimna krew i wytrzymałość. Tymczasem lamowie, nie mogąc się napawać mą śmiercią, postanowili przynajmniej wymyślić nową torturę.

Wzięli mnie znowu i postawili na kancie belki, rozszerzając mi nogi jeszcze więcej, niż poprzednio. Potem założywszy mi ręce z tyłu, lamowie przywiązali powróz do łańcucha, co się łączył z memi kajdanami, i wpuścili go w dziurę, wywierconą w szczycie słupa wielkiego, stojącego za mną. W końcu ciągnąc sznur, wyprężali mi tak ręce w powietrzu, że byliby je z pewnością wyłamali, gdyby były mniej giętkie. Doszedłszy do najwyższego stopnia wytężenia, jakiego można było osiągnąć bez rozerwania mnie, umocowali sznur i zostałem tak w pozycji nawpół wiszącej,

doznając wrażenia, jakby mi kości już wyszły, czy też wychodziły ze stawów.

Oczywiście ciężar ciała powiększał coraz bardziej cierpienia tej męki strasznej, będącej w rzeczywistości formą pierwotną rozewiartowania człowieka. Mansing, który pozostał w tyle, ponieważ spadł z konia, nadszedł, gdy się to działo ze mną; przywiązali jego również do belki drewnianej i zawiesili przy innym słupie przedemną.

Cierpienie było przerażające: ścięgnięta nóg i ramion były strasznie naprężone, a kość pacierzowa tak wykrzywiona, że była prawie zgięta we dwoje. Łopatki uciskały wewnątrz



Kajdany, w których Tybetańczycy uwięzili me ręce. (Podług rys. Landora).

słup grzbietowy, powodując ból okropny w lędźwiach i biodrach.

A jakby nasze męki nie były dostateczne, połączyli mnie i Mansinga przez szyję jeszcze jednym sznurem.

Deszcz ulewny zaczął padać; nawpół obnażeni, bo odzież nasza była rozdarta, przeszliśmy naprzemian przez cierpienia, spowodowane już to zimnem deszczu, już żarem gorączki. Żołnierze nas otaczali, pilnując wspólnie z psami, uwiązane mi przy kółkach.

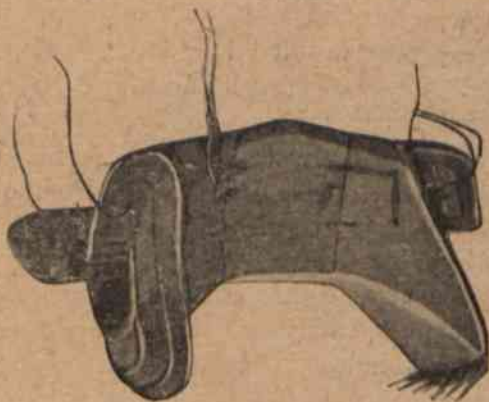
Nadeszła noc i godziny wlokły się wolno, jedna za drugą: nogi moje, ręce, ramiona stały się powoli zupełnie odę-

twiałami; nie cierpiałem więcej, doznałem owszem szczególnego wrażenia, że mam głowę żywą na ciele martwym.

Nareszcie dzień zajaśniał i oprawcy uwiadomili nas, że stracenie będzie odłożone do dnia jutrzejszego, niewątpliwie dlatego, aby nam zostawić więcej czasu na cierpienia. Tymczasem Pombo z konwojem kilku lamów zbliżył się do miejsca naszych tortur i jakby w rozgniewaniu zaczął rewidować drozbiagowo nasze pakunki, których nie był jeszcze przeglądał. Otworzyli moją skrzynię z przyrządami naukowymi, które lamowie i żołnierze oglądali z uciesznymi mimami, ciekawymi, a zarazem ostrożnymi. Musiałem wyjaśnić znaczenie każdego przyrządu, co przyszło mi z trudnością, tak z powodu nieuctwa Tybetańczyków, jak i słabej mej znajomości ich języka. Po sekstansie i ciepłomierzach, wydobyli szereg pudeł z odbitkami fotograficznymi, które rozłożyli jedną za drugą. W przeciągu jednej chwili tylko zniszczyli w ten sposób najkosztowniejsze zdjęcia.

Byli też wielce zaintrygowani moją skrzynią z farbami. Lecz najwięcej zwróciła ich uwagę znaczna suma złota i srebra, znaleziona w jednej ze skrzyń.

Uchwyciłem się tej sposobności, by złożyć na rzecz domu lamów ofiarę w kwocie 500 rupji, a jednocześnie prosiłem Pombę, by zechciał przyjąć karabin systemu Martini-Henry, bo poznałem, że broń mu się podoba. Odmówili przyjęcia obu darów: dom lamów, mówili mi, jest bardzo bogaty, a stanowisko urzędowe Pomby nie pozwala mu wierce-siedł mi osobiście za nią podziękować. Tym z' wnej odle-brakło pewnej grzeczności.



Siodło tortur.

Przychylnie orzeczenie wyroczni.—Jestem ocalony!

Tymczasem lamowie nie mogli jeszcze pogodzić się z myślą, że należy zaprzestać rąk dalszych, któreby w końcu sprowadziły śmierć naturalną. Niektórzy domagali się jeszcze naszego uśmiercenia; lecz pozostali, a między nimi i Pombo, byli zdecydowani, jeszcze od nocy ubiegłej, że trzeba nas odesłać do granicy. Na nieszczęście, jak się później dowiedziałem, Pombo miał tej samej nocy widzenie w mojej sprawie. Duch nocny powiedział mu, że wrazie, gdy nas nie zabiją, on i kraj cały znosić będą wielkie nieszczęścia.

— Możecie—dodał—zabić *Plenków*, a nikt was za to nie ukaże. *Plenkowie* (czyli Anglicy), boją się wszcząć walkę z Tybetańczykami.

U lamów nie postanawia się nic, bez uciekania się do pomocy zaklęć i nauk tajnych. Pombo więc także pragnął się poradzić wyroczni, znajdującej się w świątyni lamów.

Zgodnie z obyczajem, należy jej przedstawić kawał paznokcia osoby, o którą chodzi. Jeden z lamów zabrał się więc do oglądania mych rąk, rozszerzając mi palce, ale wyraził przytem wielkie zdziwienie. Na jego wykrzyki otoczyli mnie wszyscy lamowie i żołnierze. Przywołano samego Pombę, który rozkazał natychmiast przerwać wszelkie torturowanie. Przez jakieś zrządzenie Opatrzności, którego nie mogłem odrazu wyjaśnić, byłem ocalony.

Dopiero w kilka tygodni po mem uwolnieniu zdołałem się dowiedzieć od Tybetańczyków, jakiej przygodzie, przez Opatrzność zesłanej, zawdzięczam życie. Miałem palce połączone wyżej, czego się nie spotyka wogóle u większej części ludzi, a co Tybetańczycy bardzo poważają. Posiadacz podobnych palców jest jakby obdarzony talizmanem życia; cokolwiek mu się robi, nie wychodzi na złe.

ki. Pombo postanowił, że tegoż jeszcze dnia odjadę do grammi przy hinduskiej wraz ze swymi dwoma towarzyszami. Przez Nadesz. odbyliśmy 286 kil. drogi.
gą: nogi moje,

Cierpieliśmy dużo podczas tych długich etapów. Żołnierze męczyli nas i pozwolili jeść tylko co drugi lub trzeci dzień, abyśmy się nie odzyskiwali. Jakkolwiek byliśmy wyczerpani, zbici, znosiliśmy jeszcze męczarnie, jeżdżąc na tych nędznych yakach. Wszystko, cośmy mieli, odebrali nam. Odzież nasza była podarta na strzępy i pełna robactwa. Przepędzaliśmy noc bez obuwia i literalnie nago.

W takim stanie będąc, Savage Landor spotkał krajowca Sounę, który go uwiadomił, że przyjaciele z Indji przekroczyli granicę, by zbadać los wyprawy, uważanej za wyciętą w pień. Można sobie wyobrazić radość nieszczęśliwych więźniów!

Niestety, trzeba się było jeszcze liczyć ze złą wolą i nieszczerością Tybetańczyków. Gubernator prowincji, w której się znajdowali, nie chciał puścić Landora i towarzyszków z powrotem do Indji przez jedyny przesmyk, przystępny wówczas, i żądał odeń, ażeby obszedł go wokoło, co wymagało piętnastu dni drogi po śniegu i lodach. Wyczerpani taką drogą i cierpieniami niewolnicy, nie mogliby już prze-



Landor po uwolnieniu. (Podług fotogr.)

Dzieło katów tybetańskich.

trzymać podobnej podróży; gubernator wiedział o tem dobrze, ale liczył, że jeżeli będą go niepokoiłi z powodu zniknięcia podróżników europejskich, to zabójstwo podstępne przypisze wypadkowi. Landor i dwóch jego przewodników, postanowiwszy bronić się do końca, pomimo że byli nader osłabieni, uchwycili się śmiałego postępku.

Zebrałiśmy—pisze podróżnik angielski—ostatek sił i napadli na konwój gradem kamieni. Rzecz nie do uwierzenia, ci tchórzliwi żołnierze uciekli, a potem z pewnej odle-

głości prosili nas, żeby im się nie opierać, gdyż, jak mówili, zabiją ich, jeśli nie wypełnią otrzymanych względem nas zleceń.

Wreszcie po wielu trudnościach i wykrętach różnego rodzaju, udało się Landorowi, dzięki wpływom energicznym dwu jego przyjaciół angielskich, dostać się z powrotem do krajów cywilizowanych drogą najkrótszą.

Tym razem był ocalony i skończyły się jego cierpienia.

Jeżeli wyprawa Landora nie miała wyników, jakich sobie życzył, jeżeli się nie udało odważnemu podróżnikowi odkryć tajemnic, jakie się kryją jeszcze w mieście Lassa, niewątpliwie jednak był on bohaterskim pionierem cywilizacji i męczennikiem wiedzy, która prędzej czy później przyniknąć musi do serca Azji.

W OJCÓW ŚLADY...

POWIEŚĆ

przez Kazimierza Laskowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

— Chodźmy... kuzynku!

Na te słowa twarz Tadeusza powlokła się raptownie błądzą, w oczach odmalował się ból drętwy. Osunął się z kolan. Drżał.

— Tadziu!—jęknęła przerażona.

Spojrzał błagalnie w jej oczy. I nagle, pochwywszy wyciągnięte dłonie, jął, natarczywie całując, pytać:

— Kochasz? Naprawdę kochasz? Tak jak ja kochasz?

Usta „Głowienki“ poruszyły się, dźwięku nie wydając, tylko w oczach rozbłysła jasność wielka i spłynęła z deszczem łez po wypalonych rumieńcach.

On zaś pytał w dalszym ciągu, nie przestając całować:

— Kochasz? Kochasz? Bronia! Bronia!

Aż wreszcie przeleciało między nimi ciche: „tak!“

— Nie płacz—przemówił teraz, oddychając ciężko.—Kochasz! Nie płacz!

Ale jej oczy zaczęły jeszcze bardziej wzbierać. Przy

tuliła mokrą twarzyczkę do jego twarzy i ledwie dosłyszanym głosem szepnęła:

— Ale ja pójdę za pana Wilkosza.

Wstrząsnął się gniewnie i rzekł z mocą:

— Nie pójdziesz za żadnego Wilkosza!

Siły mu się wyczerpały.

— Daj mi rękę, Broniu!—poprosił.—I siądź obok... Nie pójdziesz za pana Wilkosza—powtórzył, usiłując przyciągnąć ją do siebie.

— Chodźmy! Chodźmy!—zaczęła z nalegającą prośbą.— Boję się... Chodźmy!

— Ptaku mój trwożliwy!—przemówił słabnącym głosem.

— Boję się!—westchnęła znowu, spuszczać oczy.

Objął ją w pól i z gorączkowym pośpiechem mówił:

— Ty moja! ty złota! ty szczęście! nie bój się! Tylko kochaj! tylko kochaj! jak dziś kochaj! na zawsze kochaj! bez pamięci! na wieki! na śmierć!

Jął całować w rozchylone lepkie wargi.

— Ja tak pragnąłem twego kochania! Tak pragnąłem!

— Pojedziesz...—szepnęła, łkając.

— Zostanę! Broniu! Ty wiesz, że zostanę...

Chciał mówić więcej, ale wzruszenie nie dopuściło słów. Ale rąk jej nie puszczał, i złotą główkę do piersi tulił.

Po chwili podniósł rękę do zranionej skroni.

— Potłukłem się bardzo — przemówił, ukazując oczyma rdzawą plamę krwi na ubraniu. Wsparł się na jej ramieniu, usiłując powstać, lecz syknął z bólu.

— Pobiegnę o pomoc—rzekła z przest్రachem.

— Nie! nie! nie potrzeba! To przejdzie... Jeszcze chwilkę... małą chwilkę... Mnie już lepiej... Jeszcze chwilkę...

Poprawiła opasek.

— O tak! Dobrze... bardzo dobrze! Jak tu ładnie, Broniu! — szepnął. — Patrz...

Zwrócił z trudnością głowę ku słońcu i spojrzał.

— Patrz... jak ładnie... Te pola skąpane w blasku, to niebo spokojne, te drzewa ciche, ta rola lśniąca jak aksamit! Tu bardzo ładnie... Teraz widzę, jak tu ładnie.

Nikły uśmiech opławił mu oczy.

Od strony dworu rozbrzmiał pogwar zmięszanych głosów, turkot i tętent szybko pędzonych koni.

Bronia zwróciła rozmarzone oczy w stronę dolatujących odgłosów.

— Wujcio! ciotunia... Ach! — przemówiła, drżąc na całym ciele i machinalnie poprawiając nieład odzieży. W oczach dziewczęcia odmalowały się naprzemian: przestрах i zawstyżenie.

Tadeusz uniósł również głowę, z wysiłkiem usiłując powstać.

Zrozumieli obydwójce, co się stało.

Zresztą domysł był łatwy.

Rozhukany gniadosz, wpadłszy bez jeźdźca na dziedzińiec stajenny, zaalarmował dwór cały. Okrwawiony bok konia potwierdzał przypuszczenie strasznego wypadku. Dano znać do dworu i w parę minut potem pędził kto żywo ku Czarnowodom...

Jakoż niebawem ukazało się na drodze kilku cwałujących konno służby, a potem na załomie ogrodowego oparowania oboje Głęboccy.

Głębocki biegł bez czapki, z rozwianym włosom, wołając przerażonym głosem:

— Prędeż, kto w Boga wierzy! Prędeż!

Za mężem, prowadzona przez Opeckiego, spieszyła pani Głębocka, ślaniając się i dygocąc jak w febrze.

Po chwili na zakręcie pojawił się faeton Boczkowskich⁴ o których w pierwszym momencie popłochu i rozpaczcy zapomniano.

Widok nadbiegających oprzytomnił Tadeusza. Mimo dolegliwego bólu i osłabienia, chciał iść naprzeciw.

— Nastraszyłem wszystkich... Ojciec... Mama... Lujjan...—odezwał się, próbując postąpić naprzód.

Ale wzruszenie zaczęło nim owładać i twarz powlekać bladeścią. Więc instynktownie wyciągnął ręce przed siebie do stojącej martwo obok „Głowienki.“ Osuwające się z rany skrawki płótna przysłoniły mu oczy, nie pozwalając dojrzeć skamieniałego wyrazu twarzy panny Lipskiej.

Tej zaś nagle trwoga odebrała sił ostatek i pamięć

wszystkiego, co zaszło, wypełniając myśl całą uczuciem niewypowiedzianego roztkliwienia i żalości.

Wydało jej się, że popełniła jakiś grzech ciężki, za który pokuta nadejść musi i ból wielki wypełnił jej oczy łzami. Stała więc bez ruchu, z rosą łzawą u źrenic, z opuszczonemi bezwładnie rękoma, przeleżała, prawie nieprzytomna, szepcząc z całej głębi serca:

— Boże! Boże!

Dłoń Tadeusza dotknęła drżącej kibici.

— Chodźmy... Broniu! — przemówił. — Chodźmy... Szukają...

Uderzyła w płacz głośny, nerwowo...

— Chodźmy — powtórzył. — Daj mi rękę... Co tobie? Broniu!

Poprawił spiesznie opadającą na oczy opaskę.

W tej chwili donośny krzyk kilkunastu ust przebiegł polem.

— Zobaczyli nas! Chodźmy! — przynaglił, wspierając się na jej ramieniu. — Hop! hop! — krzyknął, pociągając odrętwiałą „Głowieńkę“ za sobą.

Odpowiedział mu okrzyk radosny i stary Głębocki wpił mokremi oczyma w twarz jedynaka. Potem zaświeciły źrenice matki, objęło rannego serdeczne ramię Lucjana, rozbrzmiały współczuciem drgające głosy Boczkowskich, i nadbiegającej służby.

I nastąpiła chwila tylko łzom dostępna, w której ciężkie westchnienie przebytej trwogi łączy się z niemą modlitwą dziękczynienia, a żal z radością.

Wreszcie usadowiono rannego w ekwipażu z Boczkowic.

Pojazd potoczył się zwolna. Podtrzymywany przez ojca i Opeckiego, Tadeusz opowiadał urywanym głosem...

Panie z panem Boczkowskim wracały pieszo krótszą drogą przez ogród.

Bronia szła nieśmiało obok Heleny, unikając skierowanych na się spojrzeń. Było jej bardzo niedobrze, ale i dziwnie słodko zarazem. Nikt jej dotąd o nic nie spytał, nikt nie zagadnął—więc chwilami zdawało się jej, że to sen złudny, co bez śladu na jawie szczeźnie.

I wtedy przymykała opuszczone w dół źrenice, by śnić dłużej.

Ale panna Boczkowska zauważywszy, że „Głowieńka“ drży, zdjęła z siebie zarzutkę, mówiąc:

— Niechże się pani okryje. Czas chłodny!

— Dziękuję -- szepnęła Bronia.

— Niech się pani uspokoi. — Uspokój się, Broniu! — przemówiła teraz Helena przyciszonym głosem.—Bóg kochania nie karze, a ty go kochasz—dodała jeszcze ciszej.

Krok Broni stał się jeszcze chwiejniejszy i serce zabiło w niej młotem. Podniosła oczy na uśmiechającą się Helenę i szepnęła:

— Och! pani.. .

Równocześnie zaś idący o parę kroków w tyle pan Boczkowski, pocieszając stroskaną Głębocką, mówił:

— Bóg strzegł, że upadek miał miejsce na świeżo zora-nej roli i że ten Anioł stróż znalazł się pod ręką... Chwat dziewczyna!

Przy tych słowach objął wzrokiem obie panny i lekka chmurka powlokła poczciwe oblicze szlachcica.

— Bóg strzegł!—powtórzył—a bez Jego woli nic się nie dzieje, pani dobrodziejko!

ROZDZIAŁ VIII.

Przybyli w parę godzin dwaj lekarze, prócz zewnętrznych obrażeń nie znaleźli nic groźniejszego i sam Tadeusz czuł się znacznie lepiej, co skłoniło Opeckiego, że nie od- wlekając dłużej, wyjechał do Wiednia.

Ale choroba miała przybrać poważniejsze rozmiary.

Jakoż zaraz nazajutrz po wyjeździe Opeckiego, pojawiła się silna gorączka w połączeniu z wielkim rozstrojem ner- wów i maligną. Nad wieczorem Tadeusz stracił przytomność. Zrozpaczeni Głęboccy wezwali telegraficznie słynnego spe-

cialistę z Warszawy. Ten znalazł stan choroby ciężkim i wymagającym troskliwej kuracji.

I zaczęły się teraz dla mieszkańców Głębokiego dni pełne bólu i niepokoju.

Lecz młoda natura zwyciężała. Po trzytygodniowym borykaniu się z słabością, Tadeusz po raz pierwszy otworzył zmęczone oczy.

Dzień się robił. Do przyémionego zieloną żaluzją pokoju wnikały promienie wschodzącego słońca, oświecając poźólką twarz chorego.

Tadeusz odetchnął głęboko i znowu przymknął powieki. Owionęło go jakieś słodkie marzenie, bo uśmiech przemknął po zbiegających wargach, usta zaczęły się poruszać szeptem.

Czuwająca w drugim pokoju pani Głębocka podeszła na palcach i przystanąła z zatamowanym oddechem nieopodal. Chory, niejako w półśnie pogrążony, szeptał:

— Zostanę! zostanę... Ty prosisz... zostanę... Wszyscy proszą... zostanę... Nie bój się, zostanę...

Poruszył się niecierpliwie na pościeli.

Głębocka przyszłała bliżej, usiłując niepostrzeżenie poprawić opadłą koldrę.

Tadeusz otworzył oczy, uniósł się cokolwiek na łożku.

— Kto tu jest? — spytał.

— Ja, Tadeuszu — odpowiedziała.

— Mama?

Wyciągnął poźólką rękę, szukając matczynej. Pochyliła się nad nim i panując nad wzruszeniem, przemówiła:

— Jakże się czujesz? Tadzium!

— O! lepiej! znacznie lepiej — odezwał się, przytrzymując jej rękę w swoich. — Czemu tu tak ciemno? — spytał po chwili, osuwając się na poduszki.

— Okna przysłonięte... Doktor kazał...

— Dawno ja już leżę?

Pani Głębockiej lży zatamowały mowę.

— Parę dni — jęknęła. — Ale nie męcz się rozmową... Nie chcesz czego? Doktor kazał pić wino...

— Dobrze — odrzekł cicho. — Napiję się.

Drżącą ręką poszukiwała butelki.

— Musisz być bardzo osłabiony? — przemówiła, podając kieliszek.

Z trudnością poniósł do ust. Wypił.

— Niech mateczka trochę odsłoni firankę — poprosił.

Podeszła szybko ku oknu. Dzielne światło wpłynęło strugą, rozlewając się łagodnym półtonem po zacisznym pokoju.

Tadeusz zaczął się rozglądać ciekawie, przenosić wzrok z sprzętu na sprzęt, z przedmiotu na przedmiot. Łekki rumieniec zabarwił zniekane policzki chorego. Głębocka przysiadłszy na łóżku, modliła się w duchu. Na chwilę zapano wało milczenie.

Tadeusz wsparł się na łokciach i patrzył.

— Musi być jeszcze bardzo rano? — spytał po chwili, ukazując oczyma na zaróżowione porankowym brzaskiem szyby okien.

— Dopiero siódma, Tadeuszu! Możebyś ty chciał spać jeszcze?

— Siódma! A mama już wstała? Ojciec śpi?

— Ojciec położył się dopiero nad ranem.

Wargi chorego zaczęły drgać i rumieniec znikł z twarzy.

— Jacyście wy dobrzy — szepnął, garnąc się do rąk matki. — Co ja wam narobiłem kłopotu.

Przeciagnął ręką po czole i jał mówić urywanym głosem:

— Straciłem pamięć... Teraz dopiero przypominam sobie wszystko. Tak... Gniady poniósł... Czy Opecki pojechał? — spytał nagle.

— Pojechał — odrzekła matka.

Na czole Tadeusza pojawiła się lekka chmurka.

— Pojechał — powtórzył, jak echo.

— Wyjechał na drugi dzień po... po... tym wypadku — objaśniła. — Wtenczas nie było jeszcze nic groźnego.

Zamyślił się.

Wybijające się słońce zaczęło mu padać prosto w twarz, przeświecając po wychudłych policzkach.

— Czy cię światło nie razi, Tadeuszu? — spytała.

— Nie! nie! — zaprzeczył.

I zaczął patrzeć na matkę wzrokiem, w którym malowała się prośba gorąca, poczem rzekł:

— Mamo! Czy kuzynka Bronia zdrowa?

— Zdrowa — odpowiedziała pospiesznie.

— Bronia jest dobra, bardzo dobra. Wie mama, że...

— Wiem! wiem — potaknęła z zakłopotaniem.

Przymknął oczy i mówił jakby do siebie:

— Chciałbym z ojcem pomówić... Muszę...

Z pod przymkniętych powiek zaczęły mu się wysuwać łzy...

Wreszcie zamilkł i zdawało się, że zasypia.

Głębocka wysunęła się z pokoju na palcach, wzruszona wielce.

Chory w samej rzeczy zasnął.

Około południa nadjechał bywający codziennie lekarz. Znalazł Tadeusza znacznie lepiej.

— Mam nadzieję, że za jaki tydzień postawimy chorego na nogi—upewniał. — Jest jeszcze podrażnienie nerwowe, ale i to ustępuje. W każdym razie radziłbym wyjazd zagranicę, skoro tylko to będzie możebne.

Pan Głębocki, którego choroba syna złamała po prostu, czepił się tej myśli, jak zbawienia. Więc też zaraz po wyjeździe doktora, przysiadłszy w pokoju syna, oczekiwał chwili, w której Tadeusz otworzy oczy, aby mu propozycję przejazdu zagranicę uczynić. Miała to być pierwsza rozmowa po zaszłym wypadku. Jakoż przed samym wieczorem, gdy napadające Tadeusza osłabienie przeminęło, hamując wzruszenie, zaczął pozornie wesołym tonem:

— Wymizerowałaś się, a my przy tobie! Ale za to teraz użyjemy! Byłeś się tylko pokrzepił, jedziemy z mamą do Warszawy... Ja cię może nawet do Berlina odwiozę, trzeba się trochę przewietrzyć...

To mówiąc, ile że go już wzruszenie ogarniać zaczynało, nachylił się nad chorym i drżące usta poszukały ust syna.

Tadeusz schwycił rękę ojca i ucałował.

Ten zaś biorąc to za oznakę zadowolenia, mówił w dalszym ciągu, rozrzewniony:

— Bo widzisz, dziecko moje, ja już teraz niczego nie pragnę, byleś mi był zdrów i wesół, Tadeu! Ja sobie będę po staremu póki sił gospodarował w Głębokiem, bo, wiesz, że... że... z twojemi zdolnościami szkoda-by się może zagrzebywać na wsi. Nie mówię później... ale teraz... Znowu tam w jakiejś gazecie pochwalili twoją rozprawę. Matczyisko aż się zbeczało...

Przerwał, wpatrując się w syna. Ale Tadeusz ku wielkiemu zdziwieniu, odrzekł:

— Nie! ojcze! Jabym wolał tu zostać...

Stary Głębocki nie mógł się pohamować.

— Wolałbyś? — zawołał, trzęsąc się jak w febrze.

— Wolałbym, ojcze!

Podniósł się na pościeli. Gorący rumieniec wykwił mu na twarzy.

— Chciałem właśnie z ojcem o tem pomówić—przemówił po chwili.

Zawahał się, jakby pasując z własnymi myślami, poczem rzekł spokojnie:

— Jabym wolał tu zostać... Gospodarować!

Staremu Głębockiemu raptowna radość odebrała mowę. Zapominając się, porwał syna w objęcia i przytulił do piersi. Pomiarkował się jednak, że nagłe wzruszenie może dla chorego mieć zły skutek, przyszło mu przytem do głowy, że to niespodziewane postanowienie Tadeusza może być tylko ustępstwem, wywołanem synowskiem przywiązaniem, więc panując nad sobą, jął po malej przerwie:

— Zrobisz jak zechcesz, mój Tadeu. Wolałbym jednak, abyś o tem teraz nie myślał. Dla samego zdrowia powinieś przedewszystkiem wypocząć. A potem, co Bóg da! jak zechcesz.

I zmieniając temat rozmowy, zaczął umyślnie opowiadać o rzeczach obojętnych, ale widocznem było, że inna myśl zaprzętała mu głowę, bo często urywał w pół zdania i rzucał takie spojrzenie na chorego, jakby prosił: „no powiedz już wszystko!“

Ale Tadeusz słuchał nie przerywając, jakby nic do po-

wiedzenia nie miał. Tylko kiedy ojciec zabierał się do wyjścia, spytał:

— Czy pan Wilkosz nie był w tych dniach w Głębokiem?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— To dobrze! — wybiegło z ust chorego.

Wieczorem Głębocki powtórzywszy żonie całą rozmowę z synem, mówił, chodząc dużymi krokami po pokoju:

— Juścić nie ulega kwestji, że on ją kocha, ale dlaczego nic nie mówi? Jakże ty myślisz? Bo i po cóżby się o Wilkosza pytał...

W oczach Głębockiej przemknął przelotny uśmiech.

— Jakże ty myślisz? — powtórzył pytanie, i nie czekając odpowiedzi, myślał głośno:

— Żebym wiedział na pewno, że tak jest, nie byłoby się z Boczkowskimi zaczynało...

Potał czoło.

— Ale żeś ty mi nie dostrzegła — zwrócił się do żony, zapominając, że obydwojgu nieraz podobny domysł przychodził do głowy.—Bo ostatecznie... ostatecznie... tyś się powinna na tem znać lepiej odemnie — dorzucił, przysiadając obok.

— Pamiętasz—szepnął. — I myś-my się tak samo taili, ukrywali... A przecież chyba obydwoje nie żałujemy, że się tak stało...

To mówiąc, pocałował z uszanowaniem rękę żony. W jej zaś dobrych oczach zaświeciła radość wielka, i rzekła:

— Ty wiesz najlepiej.

— Więc jakże radzisz?—spytał gorączkowo, nie puszczać rąk żony.

Wszakżeś sam pragnął, aby Tadeusz poszedł w ojców ślady — odpowiedziała uśmiechając się słodko.

I w tej chwili spadł obojgu wielki ciężar z serca. A właśnie w drugim pokoju rozległy się nieśmiałe kroki Broni.

Głębocki położył palec na usta. We drzwiach ukazała się „Głowienka“. Głęboccy, zajęci własną troską, teraz dopiero spostrzegli, że w oczach dziewczęcia zagnieździł się

smutek, a hoża twarzyczka panny Lipskiej nosiła ślady, jakby przebytej ciężkiej choroby.

I tem większy żal i współczucie ogarnęły ich serca. Bronia, ujrawszy siedzących wuja i ciotkę, chciała się już cofnąć, bo od pewnego czasu wyrodziło się w niej górujące nad innymi pragnienie samotności, lecz pan Głębocki powstawszy szybko, jął wołać:

— Broniu, a chodź-no tu do nas bliżej. Pokaż się... Powiem ci nowinę...

Przy tych słowach podszedł do onieśmiałej jeszcze bardziej dziewczyny i czule ją w czoło raz i drugi pocałował.

— Tadeusz ma się lepiej — zaczął.

A pani Głębocka:

— Myśmy ci dotąd Broniu niepodziękowali za twoje serce i poświęcenie. Wybacz, drogie dziecko!

— Ciotuńku! — załkała „Głowieńka.”

— Tak! tak — podchwycił Głębocki. — A myśmy wtedy byli nawet trochę zagniewani, żeś do Boczkowskich nie wyszła... A żeby nie ty!

Tu rozczulenie nie dało mu dłużej mówić, więc objął zapłonioną siostrzenicę w pól, i jeszcze raz w same usta pocałował.

Więc Broni zaczęły łzy płynąć gradem, a serce od wielu dni po raz pierwszy uderzało słodką nadzieją i otuchą.

Więc chlipiąc, szepnęła cicho.

— Nie widziałam pana Tadeusza od tego czasu...

— Jaki on tam „pan!” Tadeusz! Tadek po prostu! — przerwał prawie wesołym tonem Głębocki i chciał jeszcze coś więcej mówić, gdy z pokoju Tadeusza rozległ się dzwonek.

— Oho! nasz chory się obudził — zawołał teraz, sam pierwszy kierując się ku drzwiom sypialni.

Zastał Tadeusza siedzącego na łóżku.

— Czyś chciał czego?— spytał, zapalając stojącą na poręcznym stoliku świecę.

— Słyszałem rozmowę i chciałem... chciałem... Ojczcie! — jęknął, usiłując zejść z łóżka.

Głębocki pochwyił syna w ramiona.

— Na Boga! co robisz! Tadziu! zastanów się! Dziecko moje jedyne!

— Ojczy! ja bez niej...

We drzwiach ukazała się zmieszana twarz matki, a poza nią blade liczko Broni.

W pierwszej chwili straszny lęk obezwładnił obydwie...

Ale Głębocki zaczął wołać:

— Chodźcież mi pomóż—bo sobie z tym uparciuchem rady dać niemogę... Gwałtem mu się zachciało oświadczyn...

Przy tych słowach skoczył ku drzwiom, objął oszołomioną Bronię w pól i niewstrzymując się już, ryknął:

— Pocałujże mię synowo! pocałuj panią Głębocką! Uratowałaś go sobie, to go bierz!

ROZDZIAŁ IX.

I żyli z sobą już cztery wiosny, bo dni szczęścia wiosnami liczyć należy, w miłości wielkiej i z błogostawieństwem, z pływów czupynek do ojca, z piwnych oczu do matki podobnem.

Właśnie nadchodziła piąta wiosna, nieco spóźniona, bo dopiero w przeddzień świąt Wielkiejnocy, zaklekotał pierwszy bocian na Głębockich lipach i trawy z zimowych pielen wyjrzały. Ale za to słońce, jakby wynagradzając opóźnienie gnało silniej, budząc nowe życie i podnosząc poźółkłą ruń ozimin z zimowego uśpienia. W pola nie ruszono jeszcze z pługiem, ale po drogach i miedzach wystrzeliły już ostromlecze, kiście wierzb przystroili się w włochate pęki i w powietrzu zaczynało już pachnieć wonią ziół łącznych i żywic jodły i sosny.

Chłopi wybierali kartofle z dołów, a w spichrzu dworskim trajkotał młynek, czyszcząc zboże siewne.

Dzień miał się ku zachodowi. Słońce schodziło pogo-

dnie, żegnając niebo gładkie, bez chmur, rumieńcem z błyszczącej tarczy.

Na ganku siedział pan Głębocki, bawiąc się trzechletnim wnukiem. Dzieciak spinał się dziadkowi na kolana, chwycił za siwe wąsy, swywolił i piszczał:

— Niech dziadzio mię przewiezie!—Chcę jechać jak tatuś!—Wio wio!

Więc pan Głębocki wziął malca, usadowił okrakiem i podrzucając nogą przyśpiewywał:

„Jedzie, jedzie pan! pan! pan!

„A za panem—chłop! chłop! chłop!

„A za chłopem—żyd! żyd! żyd!

„Patataj! patataj! patataj!

Zasapał się.

— Będzie już Tadius! będzie!—Jużemy przyjechali do miasta.

— Ja nie chcę do miasta, ja chcę do sądu—upierał się malec.

— A co ty będziesz w sądzie robił?

— Będę tatusiem!—Wio! wio! dziadziu! wio!

Pan Głębocki zabrał się znowu do konnej jazdy, ale w końcu, pragnąc się uwolnić od natarczywego jeźdźca, jął wołać:

— Mama idzie! Mama! patrz!

Jakoż w samej rzeczy na progu podsienia ukazała się Tadeuszowa. Tadeuszek, ujrawszy, matkę zsunął się szybko z dziadkowych kolan i przystanął obok z skromną minką.

Pauli Tadeuszowa pogroziła malcowi z daleka:

— Już się Dudek dziaduniowi naprzyksza.

— Wcale nie!—jeździliśmy tylko do sądu po tatusia — przemówił pan Głębocki w obronie wnuka, osłaniając figlarną twarzyczkę dziecka połą surduta.

— Czy ojczusiowi nie za chłodno?—spytała zbliżając się wolnym krokiem.

Potrząsł głową. Natomiast objawszy wzrokiem pełną postać synowej, zaczął karcić:

— Ale czemu to mamusia czego cieplejszego nie włoży! Hm! Gotowe się boćki pogniewać! Muszę się Tadeuszowi poskarżyć, że jak tylko jego w domu niema, to ty zaraz swoje! Że też to babcia na to pozwala!

Młoda Głębocka zapłonila się z lekka i poprawiwszy na piersiach swobodnego szlafroczka, zaczęła wstydliwie:

— Byliśmy z mamą w kuchni i tam takie gorąco... Zmęczyłam się nieco...

— Właśnie! — właśnie! — I to całkiem niepotrzebne...

— Ależ ojczulku! — Wielkanoc...

— Cóż z tego! — Walenty i bez was dałby sobie radę, a zresztą babcia... Skoro już tak chce, to niechby sobie pitrasila, ale ty moje dziecko...

Wstał i podszedłszy do zażenowanej mężatki szepnął:

— Ja tam wolę wnuka od wszystkich bab i mazurków! — A wnuk będzie, prawda? — spytał żartobliwie mrużąc oczy — takeśmy się umówili!

Pocałował synowę w czoło, ona zaś pochyliła się do rąk ojcowskich, ale umknął dłoni, wołając:

— Ani mi się waź schylać! — Patrzcie ją, smarkata! — A nie wiesz, co ci doktor zaleca!

To mówiąc, usadowił zarumienioną mężatkę w zajmowanym poprzednio przez siebie fotelu i przystanąwszy obok z rękoma opartymi o poręcz, mruzczał z udanym gniewem:

— Dobry sobie ten Tadeusz! — Przesiaduje w sądzie całemi dniami, godzi chłopów, gdy się na chrzcinach poturbuja, zamiast o swoich myśleć. — Jak Boga kocham, sam zbuntuję gromadę, żeby go na drugie trzechlecie nawet ławnikiem nie wybrano! — Nie będziesz sędziwą! — nie będziesz!

Spojrzał z lubością najpierw na matkę, potem na dziecko, które przysiadłszy za fotelem kreśliło różowym paluszkiem po wysypanej piaskiem podłodze ganku, poczem rzekł już poważnie:

— Ale Tadeusza coś naprawdę długo nie widać.

— Musiało być spraw dużo, miał przytem wstąpić na pocztę — wtrąciła młoda Głębocka.

Dusiciele w Bengalu

POWIEŚĆ

tłomaczyła **Eugenja Żmijewska.**

(*Dokończenie.*)

Tygrysy, zaczajone w zaroślach, dawały się zmylić i odpowiadały na to hasło, jak na głos samicy.

Niebawem cała dżungla rozbrzmiała koncertem, wydawanym jakby przez szatanów. Nawoływania tygryscy stawały się coraz donioślejsze, odpowiedzi samców coraz bardziej krwiożercze. Drapieżniki zwoływały się wzajem na ucztę. Bikanel pobudził ich żarłoczność, aby je zwabić dookoła świątyni. Szedł więc naprzód, zawodząc coraz groźniej.

W Indjach, gdzie wszystko jest dziwnem, jasnowidzący braman, dzięki doświadczeniu, zdobytemu przez swoich poprzedników, umie przewodzić tygrysom, umie poskramiać je wzrokiem.

Na głos jego nadbiegły z głębi dżungli, a gdy go ujrzały, stanęły jak wryte, z okrwawionemi pyskami, z roziskrzonym wzrokiem. Po chwili zaczęły się zbliżać pociągnięte wyziewem, bijącym z jego skóry namaszczonej. Łasiły się, mrużąc, jak koty olbrzymie, ocierały się o niego z widoczną radością, wymachiwały ogonami.

Teraz mógł je prowadzić, gdzie chciał. Coraz ciśniejszym pierścieniem otaczał niemi świątynię, wiódł je na pożarcie zbiegów.

Cud jedynie mógł ocalić kapitana, Patrycego, Marjusza, Bez Szelaęą i Berara. Nigdy jeszcze nie byli w tak wielkiem niebezpieczeństwie.

ROZDZIAŁ VIII.

Pierwsze wieści.—Piekielna muzyka.—Poskromiciel wobec czarownika. Węże przeciw tygrysom.—N a j a, czyli okularnik.—O zgrozo!...—Arja na flecie.—Odwrót tygrysów.—Bikanel zwyciężony.—Połączeni!—Dzielo dusicieli.—Ofiara bogini Kali.

Zbiegowie czekali w schronieniu najbezpieczniejszem, w pobliżu świątyni Kali.

Ufni w zręczność i dzielność Thugów, wysłanych przez Berara na poszukiwanie hrabiny, spodziewali się szybkiego i pomyślnego skutku.

O zmroku jeden z dusicieli powrócił; zbliżył się cichutko do Berara i szepnął:

— Jestem!

Ten powrót był tak niespodziewany, że kapitan aż krzyknął ze zdziwienia:

— Jaktó już!?

— Cóżes widział?—pytał Berar spokojnie.

— Obie panie białe i tych, którzy je strzegą.

— A twój towarzysysz?

— Wyruszył zebrać Thugów.

— Dobrze. Czy was dostrzeżono?

— Tak, bo pani biała, uśpiona przez indyjskiego wodcę, uprzedziła go o naszej obecności.

— Co się z nimi stało?

— Jada tu konno, galopem, dwoma oddziałami.

— Czy te oddziały są liczne?

— Tak, w każdym jest po piętnastu zbrojnych ludzi. Obozują o milę ztąd.

— To dziwna—szepnął Berar.—Powinni byli oddalić się,

uciec ztąd jaknajprędzej, a tymczasem nadjeżdżają tutaj, jak gdyby chcieli natrzeć na nas.

Fakir uwiadomił natychmiast kapitana o powziętych wiadomościach.

Dowiedziawszy się, że jego żona jest w pobliżu, Bez Szeląga podskoczył z radości i chciał odrazu biec ku niej wraz ze swoimi wiernymi marynarzami.

Berar odwodził go od tego zamiaru; przedstawiał mu, że takim krokiem popsułby całą sprawę, że to przedsięwzięcie w żadnym razie udać się nie mogło.

— Niech sahib do jutra poczeka — prosił go. — Ten odział w ciągu nocy zostanie otoczony przez Thugów, nikt im się nie wymknie.

Wobec tak rozsądnych namów, Bez Szeląga postanowił się wstrzymać, a niełatwo mu przyszło poskromić swą niecierpliwość. Był przyzwyczajony działać, nie zaś wyczekiwać z założonemi rękoma.

Mimo wieści, przyniesionych mu przez Thugów, Berar był niespokojny. Nie mógł pojąć, dlaczego przeciwnicy zbliżają się do ruin.

Nie przypuszczał, by chcieli napaść na świątynię, wzbudzającą powszechną obawę i tem samym nietykalną. Więc jakież były ich zamiary? Miał się o tem dowiedzieć niebawem.

Gdy ciemności zaległy, Rama, paszący się na swobodzie, przyczłapał do obozowiska. Był widocznie wzbudzony. Strzygł uszami, podnosił trąbę, parskał nią co chwila.

I Bob był niespokojny, coś węszył, szersć się na nim jeżyła, kręcił ogonem i okazywał niepojęty przestach, tuląc się do nóg swego pana.

W tem rozbrzmiała dzika symfonia. Europejczycy słuchali, wystraszeni, nie pojmując, co znaczy straszne wycie.

— Piękna melodia! — szepnął Johnny.

— Śliczna — przytwardził Marjusz — tak jak gdyby pociąg towarowy grzmiał po moście.

— To zapewne małpy zawodzą — wtrącił Johnny.

— Wszak to tygrysy? — zagadnął kapitan Berara.

— Tak, tygrysy — odparł tenże po chwili namysłu. —

Dziwię się, co je tak przestraszyło. Wyją, jak gdyby czuły bliskość człowieka.

Rama wydawał dźwięki chrapliwe i zbliżał się coraz bardziej do gromadki, objawiając gniew i strach zarazem.

Bob, mimo zwykłej dzielności, był poprostu oszalały z trwogi.

— Muzyka zbliża się. — Co ty na to, Johnny?—odezwał się Marjusz.

— By God, myślę, że to nam nie zapowiada nic dobrego.

Berar wstał nagle, nastawił ucha i starał się oczyma przeniknąć ciemności. Wycie stawało się coraz częstsze i groźniejsze, zwoływały się jakby wszystkie tygrysy.

Czterej mężczyźni i chłopiec byli osaczeni przez tę straszną zgraję, której przewodniczył szatan w ludzkim ciele.

Berar słuchał w skupieniu, czujnym uchem rozróżniając fałszywą nutę w owej krwiożerczej symfonji.

— Ależ to głos ludzki!—zawołał nagle, po raz pierwszy okazując wzruszenie.

— To niepodobna! — zaprzeczył Bez Szeląga. — Żaden człowiek na świecie nie mógłby się obracać wśród tylu tygrysów, bo by go pożarły natychmiast.

— Żaden człowiek, z wyjątkiem paru [punditów, wtajemniczonych pierwszego stopnia — odparł Berar. — Istnieją ludzie wyjątkowi, którym posłuszne są wielkie drapieżniki naszych lasów.

— A więc sądzisz, fakirze, iż człowiek wiedzie ku nam tę sforę tygrysów.

— Jestem tego pewien, sahibie. A tym rozbójnikiem, który nie śmie stawić nam czoła w walce otwartej, jest bezwątpienia ten, który was oddał na żer sępom w wieży Milczenia.

Koło zacieśniało się coraz bardziej. Niepodobna było złamać tej obręczy, silniejszej od żelaznej, niepodobna było wydostać się po za nią, nawet na grzbiecie Ramy. Dwudziestu tygrysów rzuciłoby się na słonia i rozszarpało w mgnieniu oka. Dokoła ani jednego większego drzewa, na którym

możnaby szukać schronienia i wyczekiwać świtu. Wszędzie same tylko krzaki lub malutkie drzewka; żadnego muru, żadnego podziemia, nic zgoła!

Dreszcz przebiegł po ciele Europejczyków, zimny pot wystąpił im na czoła. Patrycy, wystraszony, schronił się w objęcia kapitana. Tylko Berar był chłodny, ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy miedzianej.

— Znam na to jeden tylko sposób, straszny, ale użyć go muszę. Trzeba próbować.

— Nie zostawisz nas na pastwę tygrysów — rzekł Bez Szeląga.

— Nie zostawię sahibie, ale wszczynam walkę z bramanem... ja, prosty fakir i obawiam się, że zostanę zwyciężonym... Spróbuję wszelako. Cokolwiek ujrzycie, cokolwiek poczujecie na sobie, nie drgnijcie, nie krzyczcie, stójcie nieruchomo jak kamień, a tygrysy oddalą się od was.

— Dobrze. Będziemy ci posłuszni, nieprawdaż, przyjaciele, nieprawda, Patrycy?

— Tak, panie kapitanie — odpowiedzieli obaj marynarze i młody Anglik jednogłośnie.

— A zatem — ciągnął dalej fakir — zapanujcie nad waszymi nerwami, przyzwijcie na pomoc odwagę, bo nigdy jeszcze nie potrzebowaliście jej tak bardzo.

Wyjął zzanadrza mały flecik z różanego drzewa, podniósł go do ust i wy dobył z niego dźwięki słodkie.

Po takim preludjum rozlała się melodia tęskna w wolnym tempie. Dziwna sprzeczność zachodziła pomiędzy tonami, wychodzącymi z wąskiego fleciku a groźnym rykiem, wzniesionym przez Bikanela.

Berar wygrywał z całym spokojem. Dreszcz jakby wstrząsał całą naturą. Z pod krzaków, z pod trawy, ze szczelin w ziemi i kamieniach dolatywał cichy szelest, trzepotanie się łuski, potem dało się słyszeć syczenie krótkie, urywane a przejmujące. Wreszcie wszyscy uczyli na nogach wilgotne, miękkie ciała. Przejęci strachem, usiłowali jednak zachować zimną krew, która miała im zapewnić życie.

— Węże... węże dokoła — szepnął Patrycy głosem zdławionym.

— Cicho! — nakazał mu Bez Szeląga, sam przerażony, mimo wypróbowanej odwagi.

Ryk tygrysów zbliżał się coraz bardziej. Za parę minut rzuca się na zdobycz, którą im węch wskazywał. Ale Berar przyspieszał tempo swojej melodji. Węże wypęzły zewsząd, oplatały krzaki, kamienie, wysuwały języki.

Należały one do gatunku najjadowitszego, znanego w Indjach pod nazwą naja, cobra capello, czyli wąż okularnik. Ten wąż nie jest duży, największe okazy dosięgają zaledwie dwu metrów, a mają cztery centymetry obwodu, lecz są bardzo zwinne, a ukąszenie ich bywa zawsze śmiertelne. Stanowią plagę Indji, a w niektórych miejscowościach są tak liczne, że w obawie przed nimi całe powiaty stoją pustkami.

Wąż okularnik ma tę dziwną właściwość, że gdy jest podrażniony, szyja mu pęcznieje i objętość jej zwiększa się trzykrotnie, co mu nadaje straszniejszy jeszcze i wstrętniejszy pozór.

Czarownicy, tak zwani psyllowie, poskramiają i oswajają te węże, czynią je posłusznymi swej woli, prowadzą je za sobą, jak psy.

Berar był nietylko magnetyzerem i dusicielem, lecz także i czarownikiem węzów, najslawniejszym w Bengalu.

Jego melodja wpadała w coraz szybsze tempo, przybiegała tony ostre, świszczące.

Węże, początkowo odrętwiałe, wpadały w wściekłość, syczały, wiły się, kołysały wzdętymi szyjami, pędziły naprzód, jak strzały, szukając zdobyczy, w którą mogłyby swój jad zanurzyć.

Przewodnikowi tygrysów stawiał czoło czarownik węzów. Tygrys jest niewątpliwie królem indyjskich pustyni, wszystko przed nim pierzcha: dziki bawół, nosorożec, boi się go słoń nawet. On zaś obawia się jednego tylko węża naja.

O dwadzieścia kroków przed wyleknioną gromadką, ukazał się tygrys i z przeraźliwym rykiem przyskoczył do swych

ofiar; ale nagle otoczyły go węże rozwścieczone, syczące, zjadliwe.

W mgnieniu oka został spętany żywym łańcuchem, oplatającym mu nogi, zanurzającym jad w jego potężne ciało. Ryk pożądlivosti złął się z rykiem śmiertelnego strachu i bólu.

Drapieżnik chciał cofnąć się, umykać, oswobodzić się z tego straszego uścisku. Daremne wysiłki! Jad, zaszczipiony w dwudziestu miejscach, poczynął działać. Tygrys zachwiał się, ryknął przeraźliwie i runął martwy na ziemię.

A piekielna muzyka rozbrzmiewała wciąż tonami ostre- mi, coraz szybszemi, zwiększającemi wściekłość okular- ników.

Z zarośli wyskoczył drugi tygrys, zgłodniały, żądny zdobyczy, potem trzeci, czwarty...

— Czy wystarczy węzów dla pokonania tych drapież- ników?

Ta myśl, jak błyskawica, przeleciała po głowie trzech mężczyzn i dziecka. Stali wciąż nieruchomo w węzowym uścisku. Ochłonawszy z pierwszej trwogi, przy świetle gwiazd patrzyli na straszny widok, roztaczający się przed ich oczyma.

Tygrysy, wyłaniając się zewsząd, wpadały na morder- cze zastępy węzów. Zbiegowie mogli być spokojni, obroń- ców nie zbraknie.

Każdego z napastników oplatały jadowite pierścienie. Każdy po ryku łakomej pożądlivosti, wydawał ryk śmiertel- nego strachu i padał martwy. Cała dżungla rozbrzmiewała syczeniem i wyciem. Nadbiegali wciąż nowi napastnicy, ale walka z jadowitymi obrońcami zbiegów nie trwała długo. Wreszcie pozostałe tygrysy, ostrzeżone instynktem, przesta- ły wpadać w to zaczarowane koło i okrężały je zdala, z groź- nym rykiem.

Zbliżyć się nie śmiały, przeczuwając, w jaki sposób zgi- nęli ich towarzysze, których trupy zaścieślały ziemię. Na- próżno Bikanel wzywał je do ataku. Przewodnik tygrysów został pobity przez czarownika węzów. Podszedł sam nie-

bawem, by zbadać, dlaczego jego drapieżna armja cofa się. Dołeciał go dźwięk fletu i wszystko mu wyjaśnił.

— O! ten szatan! — wystawił całe wojsko węzów. Jestem pobity po raz trzeci. Trzeba uciekać! Znowu uciekać! Biada jemu! Biada im!—myślał.

Wyczerpany nadludzkiem wysiłkiem, padł pod drzewem.

Tygrysy, nie podbudzane już jego nawoływaniem, milki powoli i wracały do swoich legowisk.

Berar zwalniał znowu tempo swojej melodji. Węże przestały syczeć i zataczać koła. Cichsze dźwięki uspakajały je stopniowo. Okularniki popęzły do swoich nor, gdzie całemi godzinami wylegają się, trawiąc w nieruchomości zupełnej. Z różanego fletu wydobyło się jeszcze kilka dźwięków, wreszcie zaległa cisza.

Doniosły głos Berara zabrzmiał wśród nocy:

— Okularników już niema. Niebezpieczeństwo minęło.

Europejczycy odetchnęli swobodnie. Śmiertelna trwoga trzymała ich w kleszczach przez kwadrans, zdawało im się, że ich dławiła kilka tygodni conajmniej.

Znużeni tylu wrażeniami, usnęli wreszcie snem twardym..

Bikanel spał także.

Obudził się po paru godzinach zaledwie, otrząsnął się z nocnej rosy i podążył do swego oddziału.

Był wściekły i w myśli knuł plany strasznej zemsty. Już świt, tak krótki w krajach podzwrotnikowych, bielił niebo. Słońce zabłysło, a jednocześnie do ucha zbója doleciał tętent kopyt. Po chwili ujrzał liczny orszak, zmierzający ku ruinom świątyni Kali. Dwie kobiety, biało ubrane, w otoczeniu stu jeźdźców conajmniej pędziły kłusem.

Z piersi Bikanela wyrwał się okrzyk wściekłości. Policjant hinduski poznał panią Klaudję i Mary.

— Wolne! — jęknął z rozpaczą. — Co się stało? Chyba...

Biegł co tchu do obozowiska, w którym poprzedniego wieczoru pozostawił oba oddziały.

Straszny widok przedstawił się jego oczom. Cały pierwszy oddział zaściewał ziemię trupami. Wszyscy leżeli nawznak, każdy miał zaciśnięty dokoła szyi czarny fular Thu-

gów. Nie ulegało wątpliwości. Zostali poduszni wśród nocy przez nieubłaganych czcicieli bogini śmierci.

Bikanel szukał drugiego oddziału, któremu przewodził Król Srebrny; ale braman miał nadzieję, że dusiciele nie targnęli się na człowieka białego.

Lecz pierwsze zwłoki, o które się potknął, były szczątkami olbrzymiego Amerykanina, Jima Silver, miliardera, przezywającego się skromnie Królem Srebrnym.

I on leżał nawznak, z twarzą zwróconą ku niebu, z czarnym fularem dokoła szyi. Był niewątpliwie martwym, bo już roje much zielonych, wstrętnych, obsiadły mu twarz narzękłą i siną, jak u wisielca.

Konie, broń, prowianty, wszystko zniknęło. Thugowie zwykli rabować, co im wpadnie w ręce, a czynią to nietyle ku czci swej bogini, co gwoli własnej korzyści.

Berar dotrzymał słowa, straszni dusiciele uwolnili więzione kobiety.

Podczas gdy Bikanel, zwyciężony na wszystkich punktach, wyjąc ze wściekłości, biegł przez dżunglę na oślep, orszak tryumfalny zbliżał się do ruin, nad którymi sterczało potworne wyobrażenie Kali.

Kapitan, oszalały z radości, nie wierząc własnemu szczęściu, ujrzał żonę i podbiegł ku niej z rozpostartemi rękoma.

Dwa stłumione okrzyki rozległy się równocześnie:

— Jerzy!

— Klaudjo!

Mary padła w objęcia brata. Płakali z radości.

Berar przyglądał się swojemu dziełu z uśmiechem zadowolenia.

Marjusz patrzył na obie pary, wreszcie rzekł do fakira, ściskając mu rękę:

— Obrałeś zawód dziwaczny coprawda, ale muszę przyznać, że zuch z ciebie nielada.

ROZDZIAŁ IX.

Mary widzi ojca i porucznika uwięzionymi. — Zawiadowca stacji w Gajya. — Specjalny pociąg. — Z pięćdziesięciu na trzydzieści godzin. — W drodze. — Stare miasta indyjskie. — Szereg anachronizmów. — Peschaver. — Plackomendant i rezydent. — Karawana. — Naprzód!

Po tem cudownem ocaleniu, kapitan Pennyles, tak jak i przedtem, był jednak wyjętym z pod prawa. Nedorzeczne i potworne oskarżenie, wniesione przeciw niemu przez nieżyjącego już Króla Srebrnego oraz jego złego ducha Bikanela, nie straciło swej mocy i groziło wciąż jego bezpieczeństwu, honorowi i wolności.

Jak czytelnik pamięta zapewne, oskarżono kapitana, iż jest agentem wrogiego mocarstwa, wysłanym dla wzniecenia buntów w Kalkucie i Bengalu i dla podżegania Hindusów przeciw Anglikom.

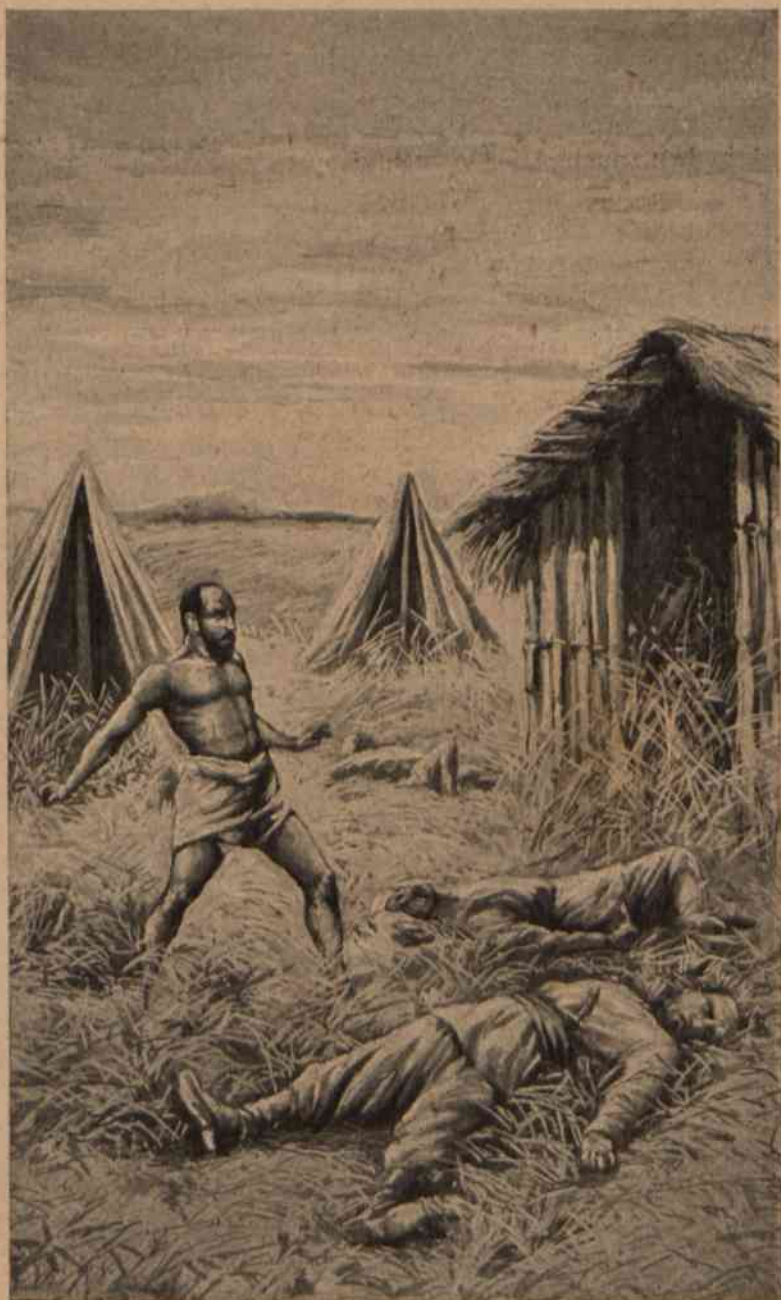
Zyskiwało to tem większą wiarę wśród sfer rządzących, że istotnie dziwnym zbiegiem okoliczności, w Bengalu powstały zamieszki, w tym właśnie czasie, gdy Bez Szeląga zawitał w owe strony.

Należało mu więc uciekać jaknajprędzej, unikając po drodze przedstawicieli władz angielskich a nawet policjantów krajowych, wszyscy oni bowiem musieli mieć jego rysopis i rozkaz aresztowania go i wydania żywym lub martwym.

W każdej innej okoliczności łatwoby mu było dotrzeć do wybrzeża i opuścić tę niegościnną ziemię, ale od chwili, gdy na drodze swej spotkał Patrycego i Mary, uważał sobie za obowiązek opiekować się niemi. Pomimo wykrycia skarbu, będącego dla nich tylko niebezpieczeństwem i przeszkodą, położenie biednych dzieci stało się jeszcze trudniejszym.

Bez Szeląga poprzysiągł sobie, że je odda w ręce ich ojca i chciał koniecznie dotrzymać tej przysięgi. Niezwalczone napozór trudności piętrzyły się na drodze naszych zbiegów. W danej chwili chodziło głównie o dowiedzenie się, gdzie przebywa major Lennox.

Patrycy i Mary wiedzieli to tylko, iż był dowódcą szkoc-



Lecz pierwsze zwłoki, o które się potknął, były szczątkami olbrzymiego Amerykanina, Jima Silver.

kiego pułku Gordon, że walczył przeciwko Afrydom i że jego ostatni list był datowany z obozu w Chakdara.

Były to wskazówki niedokładne i niedostateczne. Należało je uzupełnić. Ale w jaki sposób?

Berar jednym słowem wyprowadził ich z kłopotu. Ten dusiciel stawał się dla nich człowiekiem opatrnościowym.

Sen magnetyczny! Skoro Mary była niezrównanem medium, nie pozostawało zatem nic innego, jak ją uspić i zadawać jej pytania.

Uczynił też to natychmiast. Rzecz zdumiewająca, skoro tylko fakir wywołał sen sztuczny, dziewczę ujrzało wyraźnie obóz Afrydów, a w nim swego ojca i porucznika Taylor, zamkniętych w odosobnionym szałasie.

Słodka twarzyczka Mary, na widok ukochanego ojca wyraziła nagle cierpienie, z ust jej padło jedno, bolesne słowo:

— Niewola!

— W niewoli u buntowników! — podchwycił Patrycy z rozpaczą.

— Skazany na śmierć głodową... razem ze swoim towarzyszem—mówiło biedne dziewczę z łkaniem.

— Kiedy się to stało?—pytał Berar.

— Przed kilku godzinami.

— Wiemy już, co nam było trzeba wiedzieć—przerwał jej Bez Szeląga.—Obudź ją, fakirze. Niema chwili czasu do stracenia. Trzeba coś postanowić. Powiedz mi przedewszystkiem, ile jest mil ztąd do Peschaver? Jakie jest miasto najbliższe od nas?

— Gaya, mistrzu.

— Czy prowadzi tam kolej żelazna?

— Tak, mistrzu.

Patrycy i Mary, trzymając się w pół, płakali rzewnie.

— Jak daleko ztąd do Gaya?

— Czterdzieści mil angielskich.

— W jakim przeciągu czasu Rama będzie mógł odbyć tę drogę?

— W trzy godziny.

— Dobrze. Teraz moje dzieci — rzekł kapitan, zwraca-

jąc się do rodzeństwa—uczynimy, co tylko w ludzkiej mocy dla ratowania waszego ojca. Potrzebujemy na to pieniędzy... a że obecnie jestem Bez Szeląga w całym tego słowa znaczeniu, proszę was, byście mi udzielili pożyczki.

— Pożyczki? — rzekł Patrycy z urazą... — Czyż możemy lepiej użyć naszego skarbu, jak wydając go na ocalenie ojca. Oboje z siostrą będziemy panu nieskończenie wdzięczni, jeżeli pan zechce rozporządzać tem, co skrzynia zawiera.

Bez Szeląga, nie tracąc czasu, kazał odbić zamki. Zawartość skrzyni olśniła wszystkich. Były to skarby bajeczne. Przed laty czterdziestu oceniono je na dwadzieścia pięć milionów franków conajmniej, a od owego czasu wartość ich podwoiła się niemal, gdyż kamienie były wspaniałe.

Bez Szeląga odczytał spis kosztowności i gotówki, następnie kazał wydobyć ze skrzyni około trzech tysięcy funtów szterlingów, to jest sześćdziesiąt pięć tysięcy franków w złocie, poczem osznurowano kufer powrozami, splecionemi z trzciny i przytwierdzono go na grzbiecie Ramy.

Wszyscy zajęli swe dawne miejsca w hudda, Berar usiadł na karku słonia, i skierował go w stronę Gaya.

Po upływie trzech godzin, poczciwy Rama, cały zziębnięty ze zmęczenia zatrzymał się przy pierwszych domach tego miasta, liczącego 70000 mieszkańców.

Europejczycy nie zwracali uwagi na opowiadanie fakira, który ich objaśniał, że Gaya jest miastem świętem, tak samo, jak Bencres, Bllahabad i Dżaggernauth, że był to już gród sławny, z uniwersytetami i szkołami w czasach, gdy Sakya Muni wygłaszał w nim swe zasady na sześćset lat przed Narodzeniem Chrystusa i że dziś jeszcze miasto zawiera dużo ciekawych zabytków indyjskich z pierwotnego okresu.

Kapitan Bez Szeląga słuchał nie słysząc; jedno go tylko zajmowało: kolej żelazna. Wskazano im dworzec główny, gdzie podążyli natychmiast.

W Gaya krzyżują się pociągi, idące ze wschodu na zachód i odwrotnie. Bez Szeląga udał się natychmiast wraz z żoną i młodem rodzeństwem do biura zawiadowcy stacji.

Berar, Marjusz i Johnny pozostali ze słoniem, obarczonym wciąż cenną skrzynią.

Kapitan użył śmiałego środka i postawił wszystko na kartę. Zbliżył się do naczelnika i trzymając za rękę Patrycego i Mary, odezwał się w te słowa:

— Mam zaszczyt przedstawić panu dzieci nieszczęśliwej księżnej Richmond, uduszonej w zeszłym miesiącu. Słyszał pan zapewne o jej śmierci tragicznej? Ja—dodał skromnie—jestem nauczycielem chłopca, zaś moja żona—tej oto panienci.

Usłyszawszy to arystokratyczne nazwisko, zawiadowca stacji pozbył się odrazu pierwotnej sztywności.

— W czym mogę państwu służyć? — zapytał uniżenie.

— Dowiedzieliśmy się przed paru godzinami — ciągnął dalej Bez Szeląga,— że ojciec miss Mary i master Patrycego, major Lennox, ks. Richmondu, jest jeńcem Afrydów i że grozi jego życiu niebezpieczeństwo. Zgromadziliśmy zatem wszystkie zasoby tej nieszczęśliwej rodziny i jedziemy z okupem, dzięki któremu mamy nadzieję wyzwolić samego ojca i walecznego żołnierza.

Zawiadowca ukłonił się głęboko, nie rozumiejąc jednak, do czego kapitan zmierza. Ten ciągnął dalej:

— W ile godzin mniej więcej możemy dotrzeć do Peshaver?

— Droga zajmie pięćdziesiąt godzin conajmniej.

Z piersi obojga dzieci wydobył się jęk boleści.

Pięćdziesiąt godzin! Nie licząc czasu, który zajmie przeprawa do obozu Afrydów.

Ratunek przybędzie zapóźno Major Lennox umrze tymczasem z głodu i pragnienia.

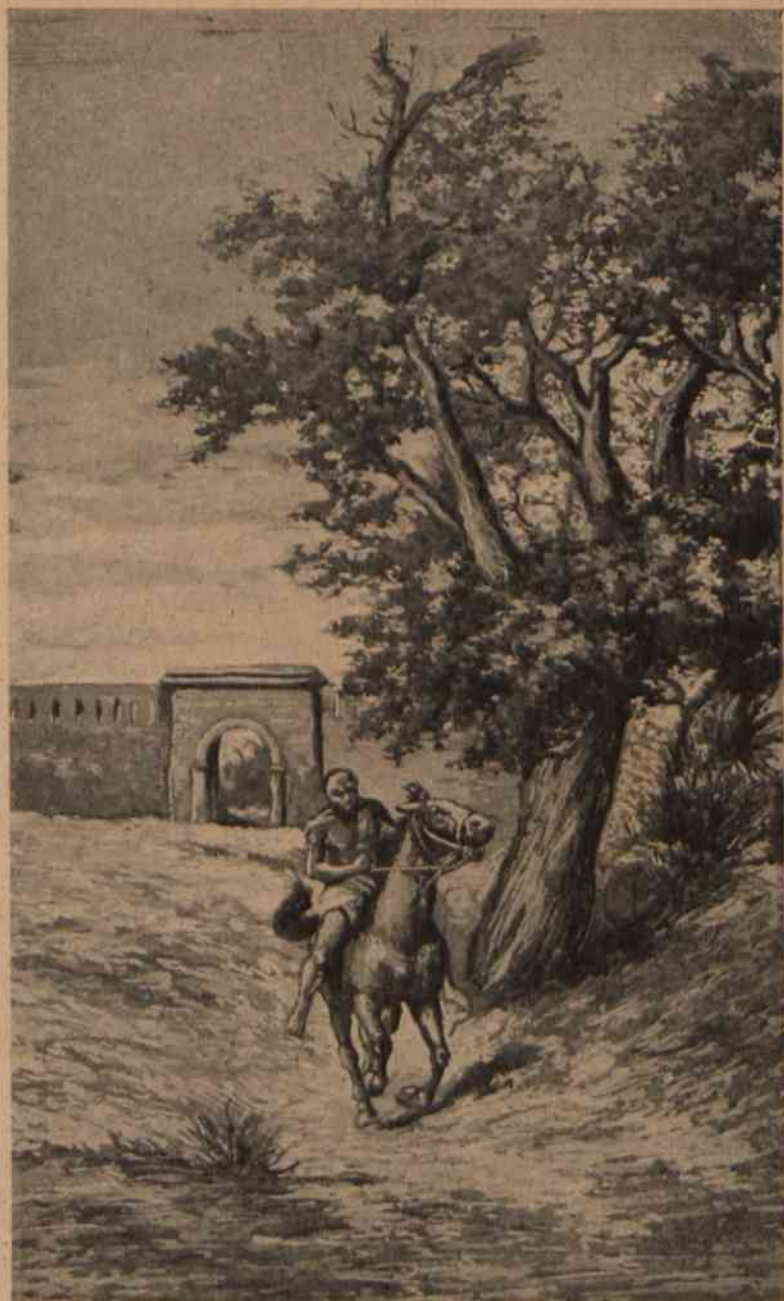
— To za długo, o wiele zadługo!—rzekł kapitan. — Czy możemy dostać pociąg specjalny: lokomotywę, furgon i wagon salonowy?

— Można zawsze.

— Ile to kosztuje?

— Będzie to kosztowało pięćset funtów (12,500 frank.) i skróci drogę o dziesięć godzin zaledwie.

— Dam tysiąc funtów, a w dodatku 100 funtów nagro-



Nie wiedzieli, niestety, że przed wyprowadzeniem wagonów z remizy, przed stacją zajęchał człowiek spocony na koniu zziąjanym.

dy maszyniście i 500 funtów panu, jeżeli przebędziemy tę drogę w trzydzieści godzin. Pamiętaj pan, że chodzi tu o jedno z najślawniejszych nazwisk angielskich, o jednego z najdzielniejszych oficerów armji, o jednego z najwierniejszych poddanych królowej.

— Dobrze, szanowny panie. Będziecie mieli pociąg specjalny — oświadczył zawiadowca — ale wpieryw muszę się porozumieć z zarządem głównym i rozesać telegramy po całej linji, dla zapewnienia wam bezpieczeństwa.

— A zatem będziemy mogli przybyć do Peschaver w trzydzieści godzin?

— Niewątpliwie.

— Jestem panu mocno obowiązany i zaraz obiecana nagrodę wyliczę.

W godzinę potem przed dworzec zajechał pociąg specjalny. Sześciu podróżnych zajęło miejsca w wagonach salonowych. Słoń pod przewodnictwem jednego z dusicieli wracał do świętej pagody.

Naczelnik stacji, zamiast jednego dał dwa wagony, tak, iż podróżni mieli wszelką wygodę. Rozległ się świst lokomotywy. Pociąg ruszył. Nasi przyjaciele czuli się zupełnie bezpiecznymi. Nie wiedzieli, niestety, że przed wyprowadzeniem wagonów z remizy, przed stacją zajechał człowiek spocony na koniu zziajanym. Ten człowiek szepnął parę słów na ucho zawiadowcy, który pozwolił mu ukryć się w furgonie.

Pociąg, przynoszący ostatnią nadzieję majorowi Lennox, wiozł zarazem wcielonego szatana, który przez całe swe życie dążył tylko do szkodzenia ludziom. Przestrzeń stu kilometrów, oddzielająca Gaya od Patna, została przebyta w półtorej godziny. Taka szybkość była tem pożądaną, że w Indjach zwykle pociągi wloką się, jak żółwie.

W Patna, wjechało na tor kolei północno-zachodniej, której ostatnią stacją jest Peschaver. Pociąg zatrzymywał się tylko dla nabrania wody lub dla zaopatrzenia się w ży-

wność. Na każdym przystanku Bez Szeląga wychodził z wagonu i starami pieniędzmi, wydobyłymi ze skrzyni, podsycił gorliwość maszynisty.

Za Patna, w pobliżu którego roztaczają się olbrzymie plantacje maku, używanego pod nazwą opium, wznosi się Benares, miasto wyznawców Brahmy, słynące swoją szkołą teologiczną; dalej Allahabad, po hindusku Prayaga, miasto święte, położone przy ujściu Dżeramach do Gangesu. Dalej jeszcze Cawnpur, osławione mordami i rzeziami Anglików.

Pociąg pędzi z szybkością błyskawiczną, wśród nocy miga oświecony elektrycznością olbrzymi dworzec, z napisem Agra; tu była dawna stolica państwa mongolskiego.

Króciutki przystanek w Delhi, mieście zapisanem krwawymi zgłoskami w pamięci Anglików, albowiem tysiące ich zginęło tutaj wśród rzezi.

Pasażerowie są już na połowie drogi do Peschaver, a odbyli ją w ciągu czternastu godzin. Nadzieja świta w sercu kapitana.

Zawiadowca stacji Gaya zatelegrafował do plackomendanta Peschaveru, uwiadamiając go o smutnym losie majora i wzywając jego pomocy. Bez Szeląga, chcąc poprzeć tę sprawę, wysyła drugą depeszę z Delhi, prosi w niej również o przysłanie koni do Peschaveru.

Pociąg rusza dalej z szybkością niezrównaną, wlokąc za sobą warkocz dymu. Dojeżdża do Labore, miasta liczącego sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, tak jak Delhi i Agra; jak one, pełne jest pamiątek, sięgających czasów zamierzchłych, a odbijających dziwacznie od nowoczesnych ulepszeń, jak tramwaje, światło elektryczne, mody, przywiezione ostatnim parowozem z Europy.

Odległość szybko się zmniejsza.

Po równinach Radżputany i Pendżatu zaczynają się okoliczności faliste. Coraz wyższe wzgórza opasują widnokrąg, zwiastując bliskość olbrzymich Himalajów.

Potem znowu równina, a właściwie płaskowzgórze, wysokości czterystu metrów, otoczone zrębami skalnymi.

Na wschód wznosi się Peschaver; opasane murem, liczy 80000 mieszkańców i stoi na straży wąwozu Khaiher.

— Peschaver! Peschaver!—wołają podróżni, znużeni jazdą szaloną, dzięki której zdołano w dwadzieścia dziewięć godzin przebyć tę drogę.

Pociąg mija stary gród krajowców i zdąża wprost do miasta angielskiego, wznoszącego się o cztery kilometry na zachód, obejmując przestrzeń sześciu kilometrów kwadratowych.

Tu jest główna siedziba władz cywilnych, tu konsystują wojska pod osłoną cytadeli, olbrzymiej Bala-Hissar, górującej nad całą okolicą.

Przyjazd pociągu, zapowiedzianego dwoma depeszami, i oczekiwanego z niecierpliwością, wywołuje wielkie wrażenie w obozie.

Plackomendant i rezydent wyszli na dworzec, przyłączyło się do nich kilku przyjaciół porucznika Taylor i majora Lennox.

Patrycy i Mary poznają ich od pierwszego wejrzenia i witają ze łzami. Przypominają im chwile minionego bezpowrotnie szczęścia i obecną niedolę.

Bez Szeląga uznaje za stosowne i bezpieczne w dalszym ciągu podawać się za nauczyciela. Witany jest uprzejmie w tej skromnej roli, piękność jego żony zwraca uwagę ogólną.

Pomimo pośpiechu, nasi podróżni zmuszeni są przyjąć zaproszenie rezydenta, który ich wiezie do swego domu. Podejmuje ich bardzo gościnnie i oddaje do ich rozporządzenia zbrojną eskortę, konie i wielbłądy; sam pragnie się przyłączyć do wyprawy, lecz radzi stanowczo pani Klaudji i Mary, by pozostały w Peschaver. Napróżno jednak przedstawia im niebezpieczeństwa, napróżno dowodzi, że Afrydowie są groźnymi zbrojnymi i fanatykami i że mogą pozbawić ich życia.

Pani Klaudja na wszelkie argumenty odpowiada:

— Ja towarzyszę mężowi wszędzie i dzielę z nim wszelkie niebezpieczeństwa.

— A ja — dodaje Mary — chcę jaknajprędzej uściskać ojca, jeżeli jest wolnym, lub zginać z nim, jeżeli on umrze.

Wobec takiej stanowczości, rezydent przyspieszył ostatecznie przygotowania do drogi.

Po dwu godzinach nasi podróżni puścili się konno w dalszą drogę, pod osłoną lansjerów.

Jechali kłusem od południa do siódmej wieczorem. Nadeszła noc. Trzeba było rozpiąć namioty, posilić się i czekać świtu. Wyruszono o pierwszym brzasku.

Mały oddział złączył się wreszcie z głównym korpusem angielskim, roztasowanym naprzeciw górskiego łańcucha, nad którym unosiły się dymy z biwaku Afrydów.

Nasi przyjaciele pozostawili za sobą obóz Anglików, wyminęli posterunki i znaleźli się o 1200 metrów od buntowników, zajmujących stanowisko obronne.

Eskorta wróciła. Nie wolno jej było jechać dalej.

Bez Szeląga poprosił żonę o białą szarfę, rozwinął ją, powiał nad głową i zawołał z całych sił:

— Naprzód!

ROZDZIAŁ X.

Dowódca buntowników.—Odmowa.—Jeńcy.—Połączeni!—Bikanel zjawia się znowu.—Ostatnie usiłowanie.—Święty sztandar.—Pundita rozkazuje!—Słuchajcie!—Ostatni dramat.—Zajadli wrogowie.—Zjednoczeni w śmierci.—Wódz Mahmud.—Wolni, nareszcie!

Przy boku kapitana cwałował Berar. Za nimi jechała pani Klaudja, Mary, i Patrycy, Johnny i Marjusz zamykali orszak.

Bob, ziajany, leciał za nimi z wyciągniętym językiem. Oddział podjechał do szańca. Na widok pokojowej oznaki, wywieszanej przez kapitana Pennyless, krajowcy, stojący za drugim szańcem, nadbiegli i wołali, by orszak się zatrzymał. Z początku, nie widząc mundurów, usposobieni byli dość pokojowo.

— Gdzie jest wódz?—krzyknął Berar, wiedząc, że z Hindusami trzeba głos podnosić i mówić tonem rozkazującym.

Brunatny olbrzym o wspaniałej twarzy i groźnym obliczu wystąpił naprzód, wymachując karabinem systemu Lee-Metford, znalezionym zapewne na placu boju.

Ujrawszy przed sobą fakira, ucieszył się i zdziwił.

— Pokój z tobą, Berar—rzekł. — Nie spodziewałem się tej radości, że cię będę oglądał.

— Pokój niech będzie i z tobą, Mahmudzie. Dzień, w którym danem mi jest widzieć cię, jest dniem radosnym i błogosławionym.

— Czego chcesz odemnie, Berarze i czego sobie życzą owi cudzoziemcy?

— Jestem ich przewodnikiem i przyjacielem. Wraz z nimi przybywam, aby wejść z tobą w układy i dać ci okup za angielskich oficerów, których wzięłeś do niewoli.

Czoło olbrzyma zasępiło się.

— Nie chcę słyseć o żadnych układach—odparł ostro.

— Okup będzie ogromny; niebywały dotychczas.

— Nie, powtarzam. Dwaj oficerowie zamknięci są już pięćdziesiąt godzin i skazani na śmierć głodową.

— Odmawiasz fortuny olbrzymiej, któraby wzbogaciła nie tylko ciebie, ale i całe twoje plemię?

— Odmawiam.

— Dlaczego?

— Bo życie tych dwu oficerów jest okupem krwi. Anglicy wojują z nami w sposób barbarzyński, kaleczą nas kulami dum-dum, obchodzą się z nami nieludzko, uważają nas za dzikusów. A oni to raczej są barbarzyńcami i dzikusami. To też wszyscy jeńcy, którzy wpadną w nasze ręce, zginą w ten sam sposób.

— Namyśl się, Mahmudzie.

— Nie, to moje ostatnie słowo. Żadne obietnice zmienić go nie zdołają. Wracaj do angielskiego obozu, zabieraj ze sobą tych cudzoziemców; ich widok jest mi wstrętnym. Gdybyś nie ty był ich przyjacielem, wystawiłbym ich na sprzedaż, jak niewolników.

W ciągu tej krótkiej rozmowy, prowadzonej wśród tłumu opryszków o błyszczących oczach i wykrzywionych ustach, Mary, pod wpływem niepojętego dla niej samej uczucia, rozglądała się bacznie dokoła.

Po raz pierwszy była w tem miejscu ponurem, ale zdawało jej się, że zna dobrze wszystkie zakątki. Przed jej oczyma zarysowywał się szałas, który widziała we śnie tylko, lecz zapamiętała go dokładnie. W tym szałasie widziała ojca, a obok niego oficera, uwięzionego z nim razem.

Nagle Mary wyciąga rękę w stronę nędznego szałasus i woła:

— To tam!... Tam jest zamknięty ojciec!

A Patrycy, jak echo powtarza:

— To tam!... Biegnijmy do niego!

Zacina wierzchowca i cwałem pędzi ku szałasowi. Jego siostra podąża za nim, cały oddział wraz z Berarem sunie naprzód.

— Ach! gdybym miał ze sobą choćby ze stu moich c o w b o y s z New Oil City, przejechalibyśmy po brzuchach tych łotrów—biada kapitan.

Jakiś głos wewnętrzny szepce mu:

— Spróbuj wykraść jeńców!

Zawraca. Skręca konia tyłem do drzwi szałasus, ściga mu cugle i spina go ostrogami. Koń chce się cofać, ale czując za sobą przeszkodę, zaczyna odrzucać tylnie nogi i bić niemi we drzwi z całych sił. Odgłos kopyt rozlega się, jak huk armat. Drzwi trzeszczą, wreszcie pękają na dwoje.

Oficerowie, wycieńczeni głodem, nawpół martwi, z wielkim wysiłkiem wloką się do tego wyłomu, widzą jeźdźców i dwie amazonki. Major poznając jedną i nie mogąc wierzyć własnym oczom, szepce:

— Mary, moje dziecię ukochane, czy to ty, powiedz.

— Tak, to ja, mój ojcze, to ja!

— I ja, ojcze, ja także.

— Patrycy! Mój żołnierzyku! — szepce major ze łzami.

— Ojcze, to nasi dobroczyńcy, nasi wybawcy! — mówi

Mary.

— Mylordzie — woła Bez Szeląga — przybywamy was ocalić lub zginąć z wami. Staraj się wspiąć na wierzchowca Mary, ty, poruczniku, na konia Patrycego i dalej w drogę, co tchu.

Staje się to w mgnieniu oka.

Afrydowie stoją osłupiali, możnaby z tego skorzystać, ale na nieszczęście zły duch czyha.

Ów szatan chciwości i okrucieństwa zwołuje ze dwudziestu ludzi, ustawia ich pomiędzy szafasem a okopem. Dwadzieścia luf karabinowych zwraca się ku zbiegom, osaczonym zewsząd.

Berar pierwszy poznał prześladowcę.

— Bikanel! Znowu ten potwór — woła z wściekłością.

— Ja we własnej osobie — odpowiada nędznik drwiąco.

Europejczycy poznają także swego kata, sprawcę tylu nieszczęść, potwora, który od tak dawna, z szatańską zajądłością, dybie na ich życie. Bez Szeląga wydobywa rewolwer, nabija go i chce położyć trupem wstrętnego prześladowcę.

Ale Bikanel chowa się za Afrydów, którzy go osłaniają swemi ciałami. Tymczasem nadbiegają inni i otaczają kołem naszych przyjaciół, uniemożliwiając im odwrót.

— Widzicie—naigrawa się Bikanel — nie zdołaliście mi umknąć, pędziłem za wami, od świątyni Kali aż do Gaya... Tam wsiadłem z wami do pociągu, skłoniłem zawiadowcę, by mi pozwolił ukryć się w furgonie... Przybyłem do Peshaver razem z wami i wyprzedziłem was tutaj, wyruszając wśród nocy, podczas gdy wyście spali w najlepsze... Teraz mam was w ręku... Jesteście na mojej łasce i niełasce... tak, wszyscy razem, z waszym skarbem...

Oni jednak nie dawali za wygraną. Patrycy i Mary zeskoczyli z koni i padli w objęcia ojca, który całował ze łzami. Porucznik ścisnął ręce swoim wybawcom.

Jako człowiek przezorny, kapitan Pennyless, wyruszając dla ratowania ludzi nawpół martwych z głodu i pragnienia, zaopatrzył się w jedzenie.

Bikanel głosem rozwścieczonym wołał na Afrydów:

— Chwytajcie ich żywcem, słyszycie, żywcem!

Zanim jednak spełniono ten rozkaz, Bez Szeląga podał

porucznikowi butelkę, oplecioną trzcina i kawał mięsa z bułką.

Porucznik zjadł i wypił, dziękując swemu wybawcy w słowach gorących. A nasyciwszy głód i pragnienie, zwrócił się do swego towarzysza niedoli, który w objęciach ukończonych dzieci zapominał o potrzebach natury.

— Mylordzie — prosił go — powinienes się posilić, bodaj ze względu na walkę, która nas czeka.

Ludzie, podżegani przez Bikanela, zbliżali się szybko i docierali już do Europejczyków, którzy z bronią w rękę gotowi byli odeprzeć natarcie.

— Skarb! Słyszysz! Ja muszę dostać wasz skarb — wrzeszczał Bikanel. — Będzie on okupem nie za wasze życie, lecz za tortury, jakie wam zgotujemy, jeśli nie zechcecie oddać go bez oporu...

Cały obóz miotał przekleństwa na Europejczyków. Owych kilka tysięcy ludzi, rozfanatyzowanych przez byłego brama-na, na pierwsze jego skinienie gotowych było rozszarpać naszych przyjaciół. Rozumieli to dobrze, lecz nie upadali na duchu.

Pani Kludja patrzyła pogardliwie na tę tłuszcę. Johnny opluwał ją sokiem z przeżuwanym liści tytuniowych. Marjusz wymyślał jej od mała i szakalów.

Za chwilę biedacy zostaną rozszarpani. Tysiące rąk już się ku nim wyciąga. Przy pierwszym starciu padną wystrzały.

Berar, po krótkiej chwili obawy, czy też wahania, decyduje się na środek ostateczny. Wydobywa z pod kaftana białą materję, rozwija ją i rozpościera nad swymi przyjaciółmi, osłaniając ich, jak tarczą.

Na cieniutkiej materji wymalowanych jest pięć rąk czerwonych, dwie u góry, trzy pod spodem.

Jest to dokładna kopja sztandaru, pod którym Mokrani, Szalony Mollah, nawoływał do wojny przeciw Anglikom. Dwa tylko takie sztandary znajdują się w Indjach angielskich. Głosem grzmiącym Berar woła do tłumu:

— Przybywam w imieniu mojego mistrza, pundity Krishny, który wam rozkazuje wypuścić natychmiast i bez

żadnego okupu tych ludzi białych... Słyszycie wierni... Takim jest rozkaz pundity. Bądźcie mu posłuszni. Biada temu, kto poważy się wyłamać z pod rozkazu trzykroć świętego, trzykroć urodzonego, przewodzącego wszystkim wiernym: bramanistom, muzułmanom i buddystom!

Europejczycy zrozumieli, że Berar stawia wszystko na kartę, i że gdyby ta droga ratunku zawiodła, niema już dla nich żadnej, że będą musieli zginąć z ręki strasznych wrogów.

Instyktownie skupiają się, aby wspólnie stawić czoło niebezpieczeństwu.

Wśród tłumu rozlega się szmer, po którym wszyscy się cisną do owej tajemniczej a świętej oznaki. Potem zalega cisza wielka, uroczysta, nachylają się czoła, uginają się kolana. Wszechmoc pustelnika Świętej Pagody przemogła ślepy fanatyzm.

Pomimo nienawiści, pomimo wstrętów rasowych, różnicy wiary, obyczajów, Berar zwyciężył, wywieszając sztandar swego mistrza.

Bikanel, zawiedziony w swej chciwości, zaniepokojony o swe życie, stoi przez chwilę berzadnie, ale nie trwa to długo. Wraca mu wrodzona bezczelność i piekielna pomyślność. Z za pasa jednego z Afrydów wyciąga pistolet i strzela prosto w piersi Berara, wołając:

— Śmierć oszustowi! Śmierć fałszywemu fakirowi! Śmierć fałszywemu wysłańcowi pundity!

Ugodzony śmiertelnie fakir, chwiejąc się na nogach, tamując jedną ręką krew, tryskającą z rany, drugą powiewa wciąż sztandarem.

— Sahib — szepce do kapitana słabnym głosem — zdradziłem przysięgę krwi... jestem ukarany... umieram... ale wy! zostaniecie ocaleni. Weź ten sztandar pundity Krishny, on osłoni... on was wyprowadzi na wolność.

Europejczycy otoczyli Berara, chcieli mu opatrzyć ranę, zatamować upływ krwi, przywrócić go do życia. Bikanel, rozwścieczony, wiedząc, czym zaszkodzi najbardziej swemu wrogowi w umysłach jego przyjaciół, zawołał:

— Ten człowiek nie zasłużył na waszą litość. To jest Berar Thug, Berar, wódz Dusicieli bengalskich.

Jeden tylko Bez Szelağa znał tę tajemnicę krwawą. Padła ona na innych, jak grom.

Bikanel ciągnął dalej z piekielnem szyderstwem:

— Ks. Richmond, majorze Lennox, dowiedz się, że ten człowiek jest mordercą twojej żony. Poruczniku Taylor, wiedz, że to on zadzierzgnął na szyi twego ojca czarny fular Dusicieli.

Bikanel rzuca się naprzód i chce chwycić święty sztandar, ale nagle rozlega się wystrzał, po którym łotr pada z roztrzaskaną czaszką.

Konający Berar dobył ostatka sił, wyciągnął rewolwer z za pasa, nabił go i ugodził w swego śmiertelnego wroga. Wpatrzony w sztandar zamglonemi już oczyma, głosem doniosłym jeszcze, dusiciel woła:

— Przez całe moje życie byłem tylko ślepem narzędziem... Nie żałuję ani zła, ani dobra... Umieram... powracam do Nicości, do Nirwany.

.....

Mahmud, dowódca buntowników, składa na piasku pałasz a obok niego pistolet, zbliża się do jeńców i uginając kolana przed świętym sztandarem, zabiera głos i przemawia w te słowa:

— Skazaliśmy was na śmierć. Jedna tylko potęga i władza mogła was ocalić. Ta potęga, której znamię do rąk wam się dostało, żąda, byście żyli i zostali obdarzeni wolnością. Życie więc i powracajcie na ziemię angielską.

Mahmud każe przyprowadzić dwa wierzchowce ośiodłane i obdarza nimi oficerów.

Mały oddział ze sztandarem na czele podąża ku angielskim forpocztom.

W dziesięć minut potem łączą się z eskortą i przybawają niebawem do głównej kwatery, gdzie witani są z pałem, wolni od wszelkiego pościgu, zupełnie bezpieczni i gotowi szukać nowych przygód, które może opiszemy niebawem.

Maki azjatyckie.

Kwiaty śmierci ras żółtych.

Wielki i okazały kwiat maku wydaje się, jakby stworzony tylko na rozrywkę dla oka. Tymczasem kryje on w sobie truciznę, jedną z najbardziej zabójczych, opium (makowiec).

Kto raz zakosztuje opium, staje się wnet niewolnikiem tego nałogu okropnego. Całe rasy są na drodze do zaniku, jako ofiary powolnej męki, zabijającej ciało stopniowo, z dniem każdym, po zatraceniu wszelkiego poczucia obyczajowego, rozsądku i woli. Niebezpieczeństwo ztąd wielkie grozi całym krajom dalekiego Wschodu, przedewszystkiem Chinom i Indjom zagangesowym. Zachęcanie do tego handlu zyskowego, wzorem Anglików od lat pięćdziesięciu, jest występkiem; trzeba przeciwnie tamować i zabraniać, skoro tak złybny wpływ wywiera na miliony ludzi.

Człowiek otrzymał od przyrody szacowne dary, energję i cierpliwość; zdaje się jednak, że sam dąży do ich unicestwienia. Gorliwy w tej zagubie własnej, wynajduje męki bardziej zabójcze w przebiegu, niż zaraza i epidemje najstraszniejsze. Męki te znosi się przy pozornej przyjemności, przeciwnej prawom natury, gwałcącej organizm. Takim jest alkohol, a bardziej jeszcze opium.

Opium jest zgęszczonym sokiem rośliny o kwieciu okazałym i ciężkim, liściach modrych, którą świat cały zna pod nazwą maku. Roślina to „fatalna“; kwiat jej usypiający i rozmarzający, a zarazem zabijający, jak pokrewna mu

Mancinella (koniszał); to drzewo legendowe, pod którym umiera nierozsądny podróżnik, zasypiający pod miłą osłoną jego cienia.

Miejscowości, dostarczające tego produktu straszego, leżą przeważnie w Azji Mniejszej, Persji i Indjach. Wiadomo, że opium pochodzi z owocu maku, który się odcina, gdy dojrzeje. Nazajutrz zbiera się płyn gęsty, wypływający z nacięć, który, fermentując w powietrzu, wytwarza tę truciznę.



Fajczarnia opium w Chinach.

Wszyscy bogacze mają w domu isbę, gdzie się zamykają, oddając się natłogowi niszczącemu.

Benares, Panta i Malna, trzy wielkie środowiska indyjskie, wyprawiają od szesnastu do osmnastu setek skrzyń miesięcznie, z kąd niemały zarobek mają hurtownicy angielscy.

Opium używa się trojako. Można je pić przedewszystkiem w postaci *laudanum*, bezpośrednio odeń pochodzącego. Płyn ten puszcza się kroplami z specjalnej flaszeczki, zwanej kroplomierzem. Powoli można dojść do tego, że się wy-

pija wielką ilość (do 8000 kropli dziennie); jakiej więc trzeba roztropności i panowania nad sobą, by nie dojść do takiego nałogu.

Można dalej jeść opium pod postacią gałeczek, lub wrzecie w sposób najbardziej rozpowszechniony, palić je.

Fajka do opium składa się z rury długiej na pięćdziesiąt centymetrów, z materiału mniej lub więcej kosztownego, rzeźbionego i ozdobnego, mianowicie z nefrytu, laki, drzewa lub metalu. Przy końcu rury jest czarka, z którą łączy się kanał wewnętrzny, a która stanowi piecyk fajki.

Bierze się opium mocne, rozmiękczone i naprzód urobione na gałeczki wielkości grochu, a wagi od 10 do 15 gramów. Wtyka się jedną gałeczkę na długą igłę i zbliża do płomienia lampki. Gdy się kruszyć zaczyna, rzuca się ją do fajki, którą się znowu zamyka. Kończąc palenie opium, stawia się fajkę nad lampą specjalną. Wdycha się wtedy dym, uzbierany w rurze powolnie i ciągle. Gałka starczy zaledwie na parę minut, potem bierze się drugą, aż do chwili gdy napada senność, i ręce wypuszczają naczynie. Palacz ma wzrok błędny, umysł jego buja po nad ziemią, a ciało staje się masą bezwładną i nieczułą.

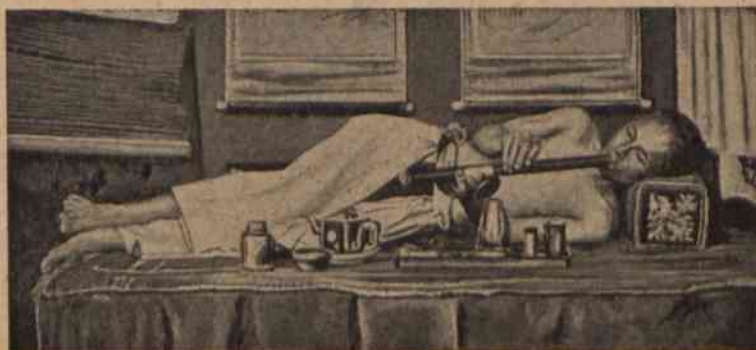
Opium palą głównie w Chinach. Cesarz chiński posiada wspaniałe „fajczarnie“, a wszyscy bogacze mają w domu izbę, przeznaczoną na ten użytek, zaciszną i samotną, gdzie się częstuje przyjaciół „porcją“ opium.

Umeblowanie odznacza się często przepychem niebywałym; obszerne łóżko z drzewa, pociągnięte laką, wysadzone masą perłową, rzeźbione w gałęzie, kwiaty ozdobne i smoki złocone, ciągnie się wzdłuż ściany, zajmując trzy czwarte izby. Słupy unoszą lekką firankę. Nad drzewem łóżka tego rozłożone są maty, po jednej dla każdego; ściany są pokryte bogatą materją jedwabną o fantastycznych haftach.

Dla tych, co nie posiadają w domu fajczarni oddzielnej, są fajczarnie publiczne; mieszczą się one po wszystkich giełdach, jak u nas kawiarnie i szynkownie. Niektóre odznaczają się takim samym przepychem, jak fajczarnie prywatne; te są przeznaczone dla ludzi majątnych i oficerów europejskich marynarki, którzy w przejeździe przez te kraje są tu-

taj aż nadto częstymi gośćmi. Inne mieszczą się w izbach smrodliwych, wstrętnych, pełnych dymu gryzącego.

Paryż ma także swych handlarzy opium przemycanem i kilka osobliwych fajczarni, starannie ukrytych, bo są zakazane przez policję. Czego to niema w Paryżu? Trzeba



Palacz opium z fajką.

Palacz bierze gałkę opium 10 do 15 gramów, wyka na igłę długą i zbliża do płomienia lampki. Potem kładzie ją do piecyka fajki i kończy palenie przy lampie.

tylko mieć kogo, coby wszędzie umiał zaprowadzić i wtajemniczyć we wszystko. Wchodzi się na wskazane piętro i puka do drzwi, gdzie zjawia się prawdziwy Chińczyk w stroju narodowym, o cerze pergaminowej, z długim war-koczem czarnym, z uśmiechem łagodnym. Ujrzawszy twego przewodnika, wpuści cię do skromnego pokoju.



Fajka składa się z długiej rury 50 do 60 centymetrów, oraz czarki, stanowiącej piecyk fajki.

Tutaj na wstępie uderza cię lekko zapach osobliwego rodzaju, przypominający po trosze herbatę, tytoń, laudanum, a właściwie wszystko razem, ze słabym dodatkiem woni juchtowej.

Jeżeli ci się podoba rozkoszować tutaj, to złoty człowiek, zawsze uśmiechnięty zabierze się do nałożenia chudemi palcami fajki i przyniesie ci ją gotową. Gdy wypalisz pierwszą, a potem jeszcze trzy, cztery gałki, jakiż będzie skutek? Silny ból głowy, palenie straszne w gardle i mdłości; otrzymasz wtedy kilka filiżanek herbaty, które ci się bardzo przydadzą. Lecz nie ujrzysz bynajmniej miłych wizji, unoszących się nad tobą.

Chińczyk ma dosyć liczną klientelę; tacy, co palą w domu, przychodzą do niego celem zakupu opium, bo to artykuł dosyć trudny do nabycia we Francji, aptekarze mają prawo go sprzedawać jedynie z polecenia lekarza.

Wystawa 1889 r. przyniosła mu majątek; zarobił wtedy podobno sto tysięcy franków, które stracił później w nieszczęśliwych przedsięwzięciach. Dla pocieszenia się sam zaczął palić. Palił tyle, że niedawno umarł z tego.

W ostatnich czasach policja groziła mu więzieniem. Martwił się przez to srodze i palił fajkę za fajką, tak, iż w końcu stał się szkieletem, okrytym pergaminem.

Wejrzyjmy bliżej, jakie są skutki opium, jak opanowuje swe ofiary i opuszcza je dopiero w grobie.

Anglik, Quincey, który napisał na początku bieżącego stulecia „Zwierzenia palacza opium“, opowiada nam bardzo obszernie swe wrażenia osobiste.

Z początku brał opium jako środek przeciw bólom żołądka. Doznawał naprzód ulgi, której towarzyszyły dziwne wrażenia. Duchowi jego skrzydła urosły. Marzenia przywiodły mu na pamięć wspomnienia z ubiegłego życia, obraz istot drogich a straconych, bohaterów uwielbionych.

Lecz powoli,—opowiada nam pani Arvède Barine w artykule, jaki mu poświęciła w swem ciekawem dziele „o Nerwocach“,—żołądek mu się psuć zaczął, organizm zaś domagał się wzrastających dawek trucizny. We śnie roily mu się teraz strachy, nieskończone pochody dziwolągów. Wszystko się przemieniło w upiory szkaradne; doznawał wrażenia ciągłego spadania, bez końca, w odmęty czarne, po schodach bezgranicznych, jak w chwilowych marach sennych, których wszyscy doświadcniają. Widział ogromne oceany,

po których burzą się bałwany o kształtach ludzkich i obliczach rozpaczliwych i wściekłych, co za każdą falą powstają i jęczą.

Zasłona gęsta padła na jego umysł; mózg nie był w stanie pracować, gdy potrzebny był wysiłek uwagi. Było to prawie niedołęstwo; widział bardzo wyraźnie, co robić powinien, lub czego nie, lecz świadomość ta nie miała żadnego wpływu na jego postępowanie. Samowiedza trwała dalej, była nawet podwójnie czujną, gdy wola, co najokropniejsze, istnieć przestała. W około niego szczęście się zapadało; nędza zawitała do jego domu; widział, jak żona i dzieci cierpią i płaczą, lecz on był paralitykiem, który by chciał coś uczynić, a nie może. Usiłował w końcu popełnić samobójstwo.

I wtedy dopiero odczuł ogrom swego nieszczęścia i ciężar kajdan. Opium to tyran bezlitośny, zajadle dokuczający temu, co pragnie z nim zerwać. Daremnie szedł stopniowo, znosił tortury, które go wreszcie pogrążyły w stałych powrotach choroby. Za każdym razem czuł, że ciąży na nim jarzmo „czarnego bożka“... Trwało to lata całe.

Takie to zaburzenia mózgowe wytwarza opium. W Quincey'u, który nie mógł nigdy dojść do zupełnej równowagi umysłowej, mamy jeden z przykładów wybitnych. Odmienny bywa skutek u ludzi o spokojniejszym systemie nerwowym. Takich nałóg przyprawia o głupotę bierną, bezmyślność najzwyczajniejszą. Zdarza to się dziesięciu lub dwunastu milionom mieszkańców wschodnich, którzy palą opium.

Nie wiercie, że masa tych Chińczyków i Anamitów, czczących „czarnego bożka“, prosi go kiedyś o sny złote i wrażenia duchowe, nieznane ludziom prostym; potrzeba czysto zwierzęca, do której przyzwyczaili się od dzieciństwa przez naśladownictwo, zmusza ich i rozkazuje im palić, gdy nadchodzi godzina właściwa. Albowiem w porze oznaczonej napadają ich bóle okrutne, jeżeli spóźniają się z zadośćuczynieniem nałogowi; muszą koniecznie palić!

Odtąd celem ich życia jest zastąpienie jednego szeregu fajek zużytych przez drugi. Ciało tych nieszczęśliwych

schnie i przypomina mumję, skóra przylega do kości, oczy z jam wychodzą, miny dziwaczne, a zarazem głupowate wykrzywają im twarz, tak, iż niema widoku szkaradniejszego od tego zwyrodnienia ludzkiego. Figurka chińska, jaką tutaj przedstawiamy, wskazuje bardzo wydatnie zwyrodnienie okropne, spowodowane przez opium.

Warto zajrzeć do fajczarni ludowych, w miejscowościach najniższych, gdzie się zbierają ci nieszczęśliwcy. Wewnątrz ciągnie się rząd pokojów podłużnych, zakopcanych dymem gryzącym i gęstym, dusznych, pełnych żaru smrodliwego. Z początku nie podobna nic rozróżnić. Potem przez mgłę ciemną widzi się tu i owdzie stoły oddzielne z filiżankami herbaty i na ziemi rzędy barłogów, na których leży istota, co była kiedyś istotą ludzką, przed lampką olejną lub kokosową, i pali fajkę. „Spójrzcie — pisze Roger de Beauvoir w swej podróży około świata — na te ciała konające, na te ręce drżące, które usiłują rozpalić fajkę na pół zgasłą przy świetle gasnącem; na te palce wychudłe, trzymające się maty, na której się tarzają; na te oczy białe, na ten pot, spływający szybko po ich ciele, z którego wystają żebra; na te wreszcie głowy wykręcone, zawieszane na szyi chudej, na usta, z kąd wydobywa się smród obrzydliwy i trujący!“

Oto jaka smutna i istotna prawda jest udziałem rozkoszy z opium.

* * *

Przez opium Chiny giną.

Dopiero w ostatniem stuleciu nałóg upijania się opium rozpowszechnił się tam, gdzie Portugalczycy zaczęli niem handlować. W r. 1773 rozpoczęła działalność kompanja indyjska, bo Anglja widziała w tem „interes dobry“. Około r. 1800 wyprawiała już cztery tysiące skrzyń rocznie, zawierających po 72 kil. każda. Cena kosztu wynosiła tylko 625 franków; sprzedawali zaś za 3,200 fran.

Od tego czasu Chiny mają opium, jak my tytoń i alkohol; powodzenie było ogromne w tym kraju nędzy, gdzie

wszystko to, co nazywają ludem, zna tylko cierpienia, niedostatek i ucisk.

Rząd chiński widzi złe i usiłuje je tamować; wydaje zakazy sprzedaży opium. Ale Anglja wprowadza towar przemycały. Okazała się więc potrzeba uciekania się do środka radykalnego; komisarz cesarski Lin otrzymał polecenie wykonania go. Zabrał się więc do oblegania w faktoryjach Kantonu kupców europejskich, między innymi naczelnego nadzorca handlu angielskiego, kapitana Elliotta, któremu odebrał w ten sposób dwadzieścia tysięcy skrzyń opium, i kazał je wrzucić do morza, dnia 7 czerwca 1839 r.

Anglicy byli bardzo rozgniewani. Wyowiedzieli Chinom wojnę nieuczciwą, znaną pod nazwą „wojny opiumowej“. Dnia 20 lipca 1842 r. eskadra, złożona z siedemdziesięciu pięciu statków wojennych, ukazała się przy Wyspie Żółtej, przed sławnym miastem Chin - Kiang-Fou. Gdy



Studjum. Palacz opium w Chinach.

Z przerabającym realizmem wskazał nam artysta chiński swyrodnienie, jakiego dokonać może opium. Ciało palacza przypomina mumię, skóra przyrastła do kości, ocsy z jami wychodzą, mina dziwna a sarasem głupowata wykrzywia mu twarz. Noga tego posdąku jest na nieszczęście potamana.

broniący go tatarzy ujrzeni się zwyciężonymi, pośpieszyli do domów, zabili tutaj swe żony i dzieci i powrócili do wroga, by dać się zabić do ostatniego; ci, co przeżyli tę rzeź, sami sobie podcięli gardła. Wynikiem tych czynów rycerskich było zawarcie pokoju w Nankinie, mocą którego Anglja mogła swobodnie zatruwać całą rasę, która jej zawadzała, niszczyć

czyć ją pewniej, niż za pomocą oręża, i robić majątek na sprzedaży.

Odtąd wprowadzanie opium przez Anglików wzrasta znacznie; w r. 1872 osiągnęli dowóz pięćdziesięciu dwu tysięcy skrzyń. Obecnie zmniejszył się nieco, bo Chiny same zaczęły fabrykować własną truciznę, gatunku pośledniejszego zresztą i bardziej szkodliwego jeszcze.

Opiomanów mamy w Europie nader mało. Lecz mamy blizkich im krewnych, morfinomanów, których nałóg, mniej silnie na szczęście rozpowszechniony, jest nie mniej okrutny i zabójczy. Morfinizmowi oddają się setki i tysiące ludzi, przeważnie inteligentnych i wybitnych, tych właśnie, których społeczeństwu najwięcej potrzeba, a którzy smutnym nałogiem, choć zwykle tajonym, dają zły przykład otoczeniu.

I tu czas wielki do zwalczania gangreny, by się nie wżarła powoli w organizmy społeczne.

Dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek, nieszczęśliwe są jednostki i rasy, co marzą, zamiast działać, co trawione gorączką walki o byt, szukają ulgi w nałogach zwyrodniających. Tutaj śmiało przypomnieć należy okrzyk Dantego: „Wy, co wchodzicie, pozostawcie za sobą wszelką nadzieję“.



Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Zefiry, *voile* i grenadina, oto są materiały prawdziwie sezonowe. *Voile* bardzo praktyczny, wymaga prostoty kroju, ulubionymi kolorami dla tej tkaniny, lekkiej i miłej, są: szafirowy, jak chaber, ponsowy, jak mak, popielaty, blado-zielony, lawendowy, hjacentowy — niebieski i t. d. Suknie z woalu robią się na spódniczkach odrębnej barwy, zlewającej się jednak harmonijnie z wierzchem; a więc zielona z niebieską, które w połączeniu tworzą piękny kolor pawi, ponsowa z granatową, tworząc śliwkowy odcień; fioletowa na tle złotem, beżowa na spodzie niebieskim, popielata na różowym. Wszystkie staniki letnie są plisowane w drobne fałdeczki, spódnice fałdowane na boku, z gładkim brytem na przodzie i kontrafałdą Watteau z tyłu. Najmodniejszym fasonem stanika jest marszczony do połowy, od góry luźny; nadaje to pożądaną okrągłość osobom szczupłym. Suknie batystowe robią się marszczone dokoła krojem *paysanne* i przybierają się bardzo obficie czarnymi, wąskimi aksamitkami.

Suknie grenadinowe czarne noszą się na spodach popielatych lub białych, bryty w takich tkaninach nie zszywają się, lecz łączą przy pomocy mereszki lub wstawki, w którą się wciąga aksamitka.

Paniom w pewnym wieku, trochę otyłym, radzę obierać do sukien codziennych krój angielski z długim bolero, zakończonym spiczastymi patkami z przodu. W toaletach strojniesznych można zastosować najnowszy model, wymy-

ślony specjalnie dla osób, które już utraciły młodzieńczą wiotkość figury. Jest to połączenie fasonu *princesse* z *bolero*. Bryt tylni zaplisywany drobniutko, przód stanika bufiasty, bądź z gipiury, bądź z cieniutkiej materji, do tego bolero, spuszczone poniżej pasa, zaokrąglone u dołu, od ramion idą dwie szerokie wstążki, związane na przodzie w kokardę ze spuszczonei końcami.

Parę słów o najmodniejszych rękawach, których wzory załączamy. Nr. 7 z etaminy może służyć za model do sukni lekkiej wełnianej, bądź do fularowej lub z woalu. Część górna przybrana lekką draperją, z małym *chau*, rękaw zakończony



№ 1.



Suknia batystowa.



№ 2.

przezroczystym rękawkiem z tiulu, ujętego czarną aksamitką. Nr. 2 da się zastosować do toalety strojnej. U góry lekko marszczony i zaplisywany w dwa fałdy ukośne, szerokości 2½ cent., poniżej łokcia mankiet odwrócony, od którego idzie także tiulowy rękawek. Wogóle ręce i szyja w letnich toaletach są coraz mniej skrępowane. Dużo bardzo widuje się sukien i bluzek bez kołnierzy, oszytych koronką lub falbanką. Jest to zwrot pożądany, albowiem krępowanie szyi, zwłaszcza latem, przeszkadza swobodnemu krążeniu krwi i szkodę przynosi nerwom ocznym.

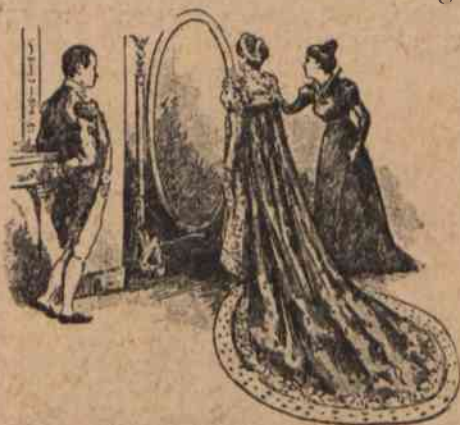
Zresztą mody stają się higieniczniejsze. Zmiana gorsetu wprowadziła wielką rewolucję w tej dziedzinie, krawcy paryscy w pałacu kostjumu przedstawili szereg przyszlých strojów, w których objawia się dążność do draperji luźnych z przodu, przypominających starożytne *peplum*.

Ciekawym jest wogóle ten Pałac Kostjumu. Można w nim oglądać na woskowych figurach wszystkie stroje męskie i kobiece, noszone od czasów zamierzchlých aż do dni dzisiejszych. Przedstawiono tam nie tylko ubiory, ale i otoczenie, wśród którego żyli ludzie danego okresu. Postacie, odtwarzające sceny historyczne, zostały modelowane według natury i ulepione w glinie, a następnie malowane przez pierwszorzędných artystów; dzięki temu wyglądają, jak żywe. Są tam kobiety gallijskie, ukrywające się w jaskiniach przed najazdem Rzymian; jest rzymskie *atrium*, w którym matrona słuha gry aktora, przybierającego rozmaite maski i role. Jest wnętrze pałacu bizantyjskiego: cesarzowa w płaszczu złotym, lśniącym od drogich kamieni, przyjmuje hołd swoich poddanych. Na marmurowych schodach, wiodących do tronu, widzimy biskupa matkę w kornej postawie z dzieckiem przy boku, widzimy giermków, rycerzy i t. d. Wszystkie stroje i hafty zostały wiernie odtworzone, wedle wzorów. Towarzystwo archeologiczne, specjalnie w tym celu wysłane do Damiety, odgrzebało tam stare kostjумы z owej epoki, a modniarki i krawcy odtworzyli je wiernie.



Płaszcz podróżny.

Można oglądać w ślicznem oświetleniu „godzinę kąpieli“ w termach Juliana, mnóstwo postaci ugrupowanych po mistrzowsku. Na tle weneckich lagun, widzimy piękne patrycjuszki w gondolach. Opo-
dal aktorka, Marion Delorme udaje się do Kandji francuskiej w popielatym kapeluszu z białemi piórami i we wspaniałej sukni z brokateli. O pierwszym brzasku Gabryela d'Estries, z ukwieczonego balkonu wita swego królewskiego kochanka, Henryka IV.



W wilję koronacji. Kostjum z I-go Cesarstwa.



Szmizetka.

Katarzyna Medicis w żałobnych zawojach naradza się ze swoim astrologiem Rudgieri. Św. Klotylda, u wejścia do starej świątyni, rozdaje jałmużnę ubogim, nad jej głową fruują ptaszęta, tworząc jakby aureolę. Córki Ludwika XV w saloniku, wysłanym starami makatami, uchwycone są na gorącym uczynku palenia fajki przez Delfina (następcę tronu). Widzimy dalej pokój sypialny wielkiej Idamy z czasów tegoż króla francuskiego; dalej Marja — Antonina przepływa w barce po stawie w Trianon; tu znowu magazyn mód za czasów Dyrektorjatu, z wystawą najdziwaczniejszych kapeluszków. Jesteśmy świadkami ślubu w r. 1820 i chrztu w r. 1830.

Lalki woskowe odtwarzają wiernie kilka słynnych obrazów, między innymi: portret

Marji Leszczyńskiej, pędzla Vauloo, i „W wilję koronacji“. Na tym ostatnim żywym, a właściwie woskowym obrazie, przed lustrem stoi cesarzowa Józefina i przymierza cesarski

plaszcz purpurowy, usiany pszczołami. Krawcowa śledzi wrażenie na jej twarzy. Napoleon, oparty o kominek, patrzy na żonę, ale myśli jego biegną dalej. „Pan świata“ duma o jutrzejszej uroczystości, która mu berło poda w rękę.

Oto ukazuje się nam rok 1830 ze swemi krótkimi sukniami i spiczastymi szynionami. Następnie r. 1855 o strojach szerokich, pękatych. Od r. 1867 do 1889 widzimy same brzydkie suknie.

Szereg biustów odtworza uczesania w ciągu wieków. Jedna sala poświęcona jest nowoczesnym strojom: są tam suknie spacerowe, sportowe, majówkowe, suknie balowa z różowego tiulu, usianego listkami róży, każdy listek przytwierdzony sztucznym brylantykiem, naśladowującym kroplę rosy, listki różowe tworzą bertę. Śliczną jest suknie wieczorowa z sukienka koralowej barwy, pokryta białą koronkową tuniką. Można by jeszcze wymienić wiele innych toalet, ale poco zaostrać apetyt czytelniczek? Zresztą niejedna zobaczy je może na własne oczy.

Moda, zaczynająca chodzić w parze z higieną, po wiekowie bratała się z pięknnością i służyła jej, podnosząc wdzięki. Należy to czynić nie tylko przez strój, lecz i przez odpowiedni tryb życia. Najpiękniejsze toalety, najkosztowniejsze pudry, a nawet różę i bielidła nie zatrą na twarzy śladów zmęczenia lub choroby.

Każdy się życiem męczy, każdy chorobio uledez musi—to nieunikniona konieczność, ale można oddalać ją w imię wielu



Suknie dla pań tęgich.

pożytecznych względów, ale także i gwoli zachowania urody. Jedną z moich łaskawych czytelniczek zapytuje mnie: co robić, by zachować jak najdłużej świeżość, piękność i młodość. Ponieważ odpowiedź na to pytanie może interesować niejedną z naszych abonentek, zasięgałam więc rady doświadczonego lekarza i mogę udzielić pożądaných objaśnień. Przedewszystkiem potrzeba na to zdrowia, lecz nawet przy wątłym organizmie, gdy się żyje odpowiednio, można przez długie lata być ładną, świeżą i młodą. W tym celu trzeba unikać zbytniego zmęczenia, kłaść się wcześniej, trzeba jadać potrawy wzmacniające, lecz nie rozgrzewające: ostre sosy, korzenie szkodzą płci i sprowadzają choroby skóry. Złe działa zwierzyzna, zwłaszcza „pańska”.

Luter dowodził, że jest to „mięso melancholijne“, wytwarzające zbyt wiele żółci.

— Te biedne stworzenia — tłumaczył — żyją w ciągłej obawie, ciągle są ścigane przez myśliwego, to też psują sobie krew strachem.

Kobiety powinny jadać więcej jarzyn, niż mięsa; niezdrowemi dla nich są jednak szparagi, kapusta i ogórki, poleca się natomiast marchew, szpinak, groszek. Niekorzystnem jest jądanie nawpół surowego mięsa, wędliny mają być zupełnie wykluczone z wyjątkiem szynki, i to tylko od czasu do czasu. Wszelkie napoje szkodzą płci i co ważniejsza, zdrowiu. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, wino nie wzmacnia, lecz podnieca, a ze środkami podniecającymi trzeba być ostrożnie.

Z tych samych względów nie dobrze działają: kawa, herbata, czekolada. Najpożądańszem jest mleko. Zapamiętajmy raz na zawsze, że ocet i wszelkie kwasy szkodzą wątrobie, a choroby wątrobiane sprowadzają żółtą cerę, plamy i są wrogiem pięknej płci. Potrawy mączne i ciastka, sery zwłaszcza ostre, powinny być wykluczone. Powstrzymanie się od cukierków i słodczy zapewnia świeżość cery i wonność oddechu. Owoce działają bardzo korzystnie na urodę, zwłaszcza wiśnie, które można jadać całemi talerzami. Pomarańcze nie wszystkim służą; cytryna w limonadzie uspakaja nerwy.

Taki sposób odżywiania się nie jest ani trudnym, ani kosztownym. Gdyby więcej kobiet stosowało się do tych przepisów, wiodąc przytem życie regularne, widzielibyśmy dużo pań świeżych, zwinnych i młodych po za granicę młodości, przytem słyszelibyśmy więcej głosów dźwięcznych. Jest to powab niewieści, na który za mało zwraca się uwagi, a który można utrzymać, a nawet osiągnąć przez odpo-



Suknia batystowa przybrana aksamitką. Suknia pikowa z zakładkiem.

wiedni tryb życia. Największym jednak powabem jest wdzięk, płynący z dobroci, ten najdłużej się zachowuje i nawet zgrzybiałe staruszki upiększa. A dobroć w sobie można wywyczyć tak, jak głos melodyjny lub zwinność ruchów. Stare przysłowie powiada: „gniew piękności szkodzi”. Jest to prawdą niezbitą: naprzód gniew oddziaływa zgubnie na żółć i wątrobę, powtórę w chwili gniewu marszczymy czoło, co pozostawia na niem ślady, wreszcie wyraz twarzy się zaostrza, kąty ust spuszcza, się ku dołowi, szpecą oblicze. Z wszelkich zatem względów moralnych i estetycznych, panujmy nad porywcznością. Kobieta zła jest gorszą klęską od powietrza, głodu, ognia i wojny.

Na zakończenie parę przepisów życiowych.

Żona, która nie rozumie swoich obowiązków gospodyni domu, gorszą jest dla męża od służki, bo jej odprawić nie można.

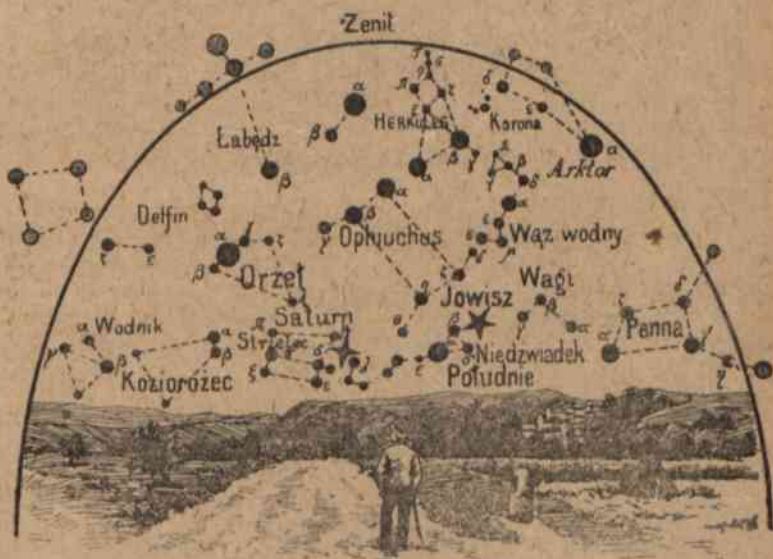
Podstawą szczęścia małżeńskiego jest tabliczka mnożenia. Kobieta, która nie zastanawia się, że 3 od 2 odjąć nie można, że 1 $\frac{1}{2}$ kop. wydane dziennie bez potrzeby, w ciągu roku stanowi procent od 150 rs., taka kobieta, bez względu czy jest ubogą, czy bogatą, postępuje nieuczciwie wobec męża.

Zimne zupy ochłodziły już niejedną gorącą miłość.

Kobieta, która nie pragnie podobać się codziennie swojemu mężowi, tak jak narzeczonemu, niebawem przestanie mu się zupełnie podobać.

E. Żmijewska.

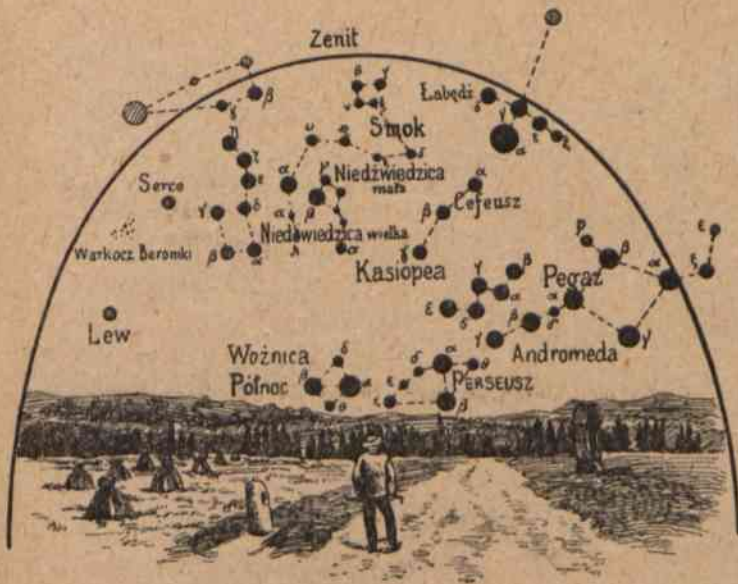
Karta nieba na miesiąc Sierpień.



Widok nieba od strony południowej.

Zwróciwszy się na południe, znajdujemy u zenitu *Herkulesa*, *Wege*, *Lirę*, *Ophiuchusa* i *Niedźwiadka*. Na prawo widzimy *Koronę*, *Weżę*, *Wagę*, *Pannę*. Na lewo mamy *Łabędzia*, *Delfina*, *Orła*, *Strzelca*, *Koziorożca* i *Wodnika*. W tym miesiącu bardzo wyraźna jest *Droga mleczna*.

Z planet widzimy nad ranem *Wenus*, *Marsa* przed wschodem słońca, *Jowisza* w pierwszej połowie nocy i *Saturna*. *Merkury* jest niewidzialny, wskutek zbytznego zbliżenia się do słońca.



Widok nieba od strony północnej.

W sierpniu, zwróceni na północ, widzimy w zenicie naszym czworobok *Smoka*, niżej *Małą Niedźwiedźcę* i nad samym horyzontem *Woznicę*. Na prawo spostrzegamy część gwiazdozbioru *Łabędzia*, *Cefeusza*, *Andromedę*, *Pegaza* i *Perseusza*. Na lewo widzimy *Wielką Niedźwiedźcę*, część konstelacji *Wodnika*, *Serce*, *Warkocz Bereniki* i *Lwa*.

ROZMAITOŚCI.

Kwadrat magiczny.

1	15	14	4
12	6	7	9
8	10	11	5
13	3	2	16

Załączony kwadrat nazywa się magicznym, bo obróciwszy go w jakikolwiek sposób, zawsze sumy liczb w 4-ach szeregach pionowych, 4-ach poziomych i 2-ach przekątnych będą jednakowe, mianowicie będą równe 34. — Jeżeli w tym kwadracie przestawimy liczby np. 15 i 14, to sumy w szeregach poziomych i przekątnych, a także w dwóch pionowych pozostaną te same, we dwóch zaś szeregach, gdzie zamiana liczb uczyniona, su-

my będą 33 i 35. — Jeżeli liczbę 12 postawić na miejscu 8 i odwrotnie, w odpowiednich szeregach poziomych sumy będą 30 i 38. — Przez przestawienie liczb 6 i 7 zmieniają się sumy w szeregach pionowych i przekątnych. — Przy rozmaitem

8	11	12	2
13	1	14	10
7	15	4	9
3	5	6	16
31	32	36	37

34 przestawianiu liczb możemy tak je ustawić, że sumy we wszystkich szeregach pionowych, poziomych i przekątnych będą różne i będą stanowiły jeden z dwóch postępów arytmetycznych: 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, i 38, lub: 30, 31, 32, 33, 34, 32, 36, 37, 38 i 39; np. w niżej przytoczonym kwadracie: we wszystkich szeregach sumy są różne i stanowią postęp, którego pierwszy wyraz jest 29, ostatni 38.

Po tych wstępnych uwagach podajemy:

ZADANIE DO NAGRODY.

1			
			16

W załączonym kwadracie rozstawić liczby od 1 — 16 bez powtarzania, aby liczby 1 i 16 stałe znajdowały się na tem samym miejscu, wskazanem na załączonej figurze, i aby sumy liczb w szeregach pionowych i przekątnych były różne, stanowiąc postęp arytmetyczny z kolejnych liczb od 29 — 38 lub od 30—49.

Kombinacji zadość czyniących warunkom zadania można znaleźć tysiące (byłoby ich więcej, gdyby nie było warunku nietykalności z miejsca liczb 1 i 16), dla tego przeznaczamy 2 nagrody dla tych, którzy nadeszłą najwięcej rozwiązań.

Kombinacje, różniące się chociażby przestawieniem 2-ch liczb, będą uważane za oddzielne rozwiązanie. Gdybyśmy np. mieli kwadrat z ustawionemi w nim liczbami tak jak

1	11	12	
9			2
			15
	5	6	
37	35	36	30

na obok załączonej figurze, i sumy szeregów pionowych były także jak oznaczono, wtedy przestawiając liczbę 12 na miejsce 11, lub 5 na miejsce 6 i odwrotnie, otrzymalibyśmy 2 nowe rozwiązania, różniące się tylko przestawieniem dwóch liczb. — To samo będzie, jeżeli przestawić 9 na miejsce 2-oh i odwrotnie.

Pierwsza nagroda za największą ilość rozwiązań: półroczna bezpłatna prenumerata „Kurjera Polskiego“ z „Miesięcznikiem“. Druga nagroda — kwartalna bezpłatna pre-

numerata tegoż „Kurjera“ z „Miesięcznikiem“. Rozwiązania będą przyjmowane do 10 Października r. b.

Lista nagrodzonych i nadsyłających rozwiązania będzie umieszczona w miesięczniku listopadowym.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

Zegarek, wskutek zmiany temperatury, pospiesza przez dzień $\frac{1}{2}$ minuty, za to w nocy opóźnia się o $\frac{1}{3}$ minuty. Przypuszczając, że zegarek wskazuje dokładnie godzinę 1-go sierpnia we dnie, obliczyć, kiedy pospieszy o 5 minut?

SZARADA.

Gdy kto mówi ci: „*drugie*“ lub też „*trzecie drugie*“,
To czasem użyć musisz *drugiego pierwszego*.
Czwarty zawsze niewinnie na rzeź srogą idzie,
Cały przyjemnie może zabawić każdego.

Rozwiązania

Zagadka arytmetyczna.

$$3^3 + 3 + \frac{3}{3}$$

Dobrego rozwiązania nikt nie nadesłał.

S z a r a d a.

Pa—ro—sta—tek.

Rozwiązanie nadesłał: Adam Kucewicz z Hószczy, Wiktorja Rosicka z Gosławic, M. Hoppe i Marja Jurczyńska z Skrwilna, Julja Tykocinerówna z Włocławka, Adela, Jadwiga i Helenka Babiackie z Koła, Gabriela Janas z Opoczna.

Zadanie arytmetyczne.

Różnica zebranych sum przy płaceniu po 50 kop. i po 40 kop. wynosi 2 rub. 50 kop. Dzieląc tę kwotę przez 10 (czyli przez 50 — 40) otrzymamy 25.

Tyle było osób.

$$25 \times 40 + 1 \text{ rub. } 75 \text{ kop.} = 11 \text{ rub. } 75 \text{ kop.}$$

Tyle kosztowało śniadanie.

Dzieląc 11 rub. 75 kop. przez 25, otrzymamy 47 kop. — Taka powinna była być składka każdego uczestnika.

Rozwiązanie nadesłali: Gabryela Janas z Opoczna, Włodzimierz Eugenjusz Wiśniewski z Sławencinka, Adam Kucewicz z Hószczy, Adela, Jadwiga i Helenka Babiackie z Koła, M. Hoppe i Marja Jurczyńska z Skrwilna, St. Bogdański z Kowla, Franciszek Wolan, Władysław W. z Zdobunowa, Henryk Oleszkowski, Aleksander Granke, M. Andruszys z Łomży, Władysław Jankowski z Janowa.

Jak odmierzyć?

Oznaczamy 3 naczynia, zawierające 12, 7 i 5 szklanek, cyframi porządkowymi I, II, III. Proces mierzenia odbędzie się w sposób następujący:

	Zawartość	12	7	5
	Naczynia	I	II	III
Wino mieści się		12	0	0
Napełniamy III		7	0	5
Przelewamy z III do II		7	5	0
Napełniamy III z I		2	5	5
„ II z III		2	7	3
Przelewamy z II do I		9	0	3
„ z III do II		9	3	0
Napełniamy III z I		4	3	5
„ II z III		4	7	1
Przelewamy z II do I		11	0	1
„ z III do II		11	1	0
Napełniamy III z I		6	1	5
„ II z III		6	6	0

Rozwiązanie nadesłali: W. O. z Warszawy, M. Andruszys z Łomży, Aleksander Granke, Hankiewicz z Małgorzaczina, Adam Kucewicz z Hószczy, Włodzimierz Wiśniewski z Sławenoinka.

4 rb. w roku bieżącym, 4 rb.

rocznie w Warszawie. **1900-ym** rocznie na prowincji

„Kurier Polski”

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Cena „Kurjera Polskiego” w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1*

Przy „Kurjerze Polskim” od Nowego Roku wychodzi:

„MIESIĘCZNIK”

ILLUSTROWANY,

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera”.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego” (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

4 rb.

rocznie na prowincji.

WARSZAWA

Marszałkowska № 141.

4 rb.

rocznie w Warszawie.

Broszurowano w Zakładzie Galanteryjno-Introligatorskim i Broszurowni HENRYKA MEYERA Marszałkowska № 141, m. 27.

Дозволено Цензурою Варшава 19 Июля 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**

TOWARZYSTWO

„L' Urbaine“.

Każdy człowiek, nawet najuboższy, powinien oszczędzać ze swego zarobku, aby złożyć sobie kapitał na starość, zaś na wypadek swojej śmierci uchronić rodzinę od nędzy. Jestto najświętszy jego obowiązek wobec rodziny, ludzi i Boga. Lecz człowiek umrzeć może każdej chwili, nie zebrawszy dla rodziny dość pieniędzy, a wtedy najbliższe dlań osoby zostają w ubóstwie.

Nikt śmierci nie ujdzie, lecz każdy może uchronić rodzinę przed nędzą, jeżeli zabezpieczy swe życie w Towarzystwie „L'URBAINE“.

Niech płaci do tego Towarzystwa małą składkę, a choćby umarł naza jutrz po ubezpieczeniu, to rodzina jego otrzyma natychmiast umówiony kapitał. Jeżeli zaś dożyje do oznaczonego wieku, to może otrzymać sam cały kapitał na starość. W razie dłuższej choroby lub nieszczęśliwego wypadku w terminie płacenia składek, ma prawo nie płacić ich, aż będzie mógł znów pracować. Jeżeli stanie się na zawsze niezdolny do pracy, to natychmiast otrzyma $\frac{3}{4}$ kapitału, a $\frac{1}{4}$ w terminie.

Składki płacą się kwartalnie, półrocznie albo rocznie. Od większego kapitału płaci się większa składka. Starsi płacą trochę drożej, niż młodszy.

Oto przykłady:

Człowiek 50-letni może składać co rok po 23 rub. 30 kop. za 500 rubli, które będą natychmiast wypłacone po jego śmierci. Od 1,000 rubli składa co rok po 46 rub. 60 kop.

Człowiek 30-letni może składać co rok po 19 rub. 50 kop., jeżeli chce, aby 500 rubli wypłacono natychmiast rodzinie po jego śmierci, albo jemu samemu, gdy żyć będzie po upływie 25 lat. Od 1,000 rubli składa co rok po 39 rub.

Wogóło każdy może umówić się z Towarzystwem, jak chce, i dawać składki stosownie do swego wieku, zarobków i położenia rodzinnego. Sposobów umowy jest bardzo wiele, na różne sumy i różne terminy.

Ubezpieczenie na życie jest korzystniejsze od składania pieniędzy na procent, bo zapewnia spokój o los rodziny. Każdy rzemieślnik, oficjalista, robotnik winien się ubezpieczyć.

W celu zapewnienia kapitału dla ubezpieczonych, Towarzystwo „Urbaine“ złożyło do Banku Państwa pół miliona rubli kaucji i składa tamże swoje fundusze zapasowe pod kontrolą Rządu. Ubezpieczeni otrzymują kwity z pieczęcią Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Dla zawarcia umowy przychodzić lub pisać do Tow. „L'URBAINE“ w Warszawie, ul. Nowo-Zielna № 51.

J. Zabokrzecki i S-ka

WARSZAWA

Marszałkowska № 124, (dom Towarzystwa „Rossja“).

Adres telegraficzny: „Warszawa—Zabokrzecki“.

Zamiast miedzianych

WYROBY NIKLOWE

ze znanej największej
walcowni niklu

Fleitmann, Witte & Co.



Naczynia Kuchenne i Stołowe oraz inne w zakres gospodarstwa wchodzące

Naczynia niklowe nie wymagają pobielania, nie oksydują się nigdy i podług badań chemiczno-hygienicznych uznane zostały za zupełnie pewne pod względem zdrowia, czego nie można powiedzieć o naczyniach miedzianych, które, jak wiadomo, bardzo często stają się powodem zatrucia organizmu.



Tamże:

ŁÓŻKA ŻELAZNE,

Pieca, Kuchenki, Wanny, Lodownie, Tace, Wagi,
Naczynia kuchenne

oraz inne przedmioty gospodarstwa domowego
z fabryk krajowych i zagranicznych.



KOMPLETNE WYPRAWY.

Wielki wybór praktycznych podarunków ślubnych i imieninowych
z zakresu gospodarstwa domowego.

Sklep przeniesiony z Senatorskiej na Marszałkowską № 124, do domu T-wa „Rossja“.